KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 4/102 1956



• «La Culture» • Revue mensuelle •

J. CZAPSKI: **KATYŃ I ODWILŻ**

A. WEISSBERG-CYBULSKI: **PO XX ZJEŹDZIE PARTII**

WYWIAD Z GRAHAM GREENE'M

SPIS RZECZY

ARCHIWUM POLITYCZNE

K R A J

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

WOLNA TRYBUNA

KRONIKA KULTURALNA

K S I Ą Ż K I



KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień-Avril 1956



INSTYTUT LITERACKI

DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

E. Sobolewski, Kingwood via Penrith (Australia)	2.000 fr.
Jerzy A. Pretti-Pavletta, Detroit, Mich. (USA), ponownie	1.500 "
J. Korwin Łopuszański, Toronto, Ont. (Kanada)	4.000 "
Juliusz Godlewski, Zurich (Szwajcaria), ponownie	50.000 "
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada)	1.500 "
Ks. Franciszek J. Ladowicz, Chicago, Ill. (USA)	2.000 "
Dr S.N. Korzeniowski, Chicago, Ill. (USA), po raz trzeci ..	1.700 "
Stan. L. Opolski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz trzeci ..	800 "
Ks. Antoni Piekoszewski, Passaic, N.J. (USA)	5.700 "

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

Katyń i odwilż

„Czemu to o tym nie chcecie pisać, panowie".

Fowler, dziennikarz angielski z ostatniej powieści Graham Greene'a, po zburzeniu wieży wartowniczej w Indochinach, w której znalazł się wypadkowo, ukrywa się ciężko ranny, po pas w wodzie, na polu ryżowym.

Przez całą noc, szczękając zębami z zimna, zapada coraz to w półomdlenie z bólu. Mózg jego świdrują jęki, kwilenia dziecinne, głuche szlochania konającego o kilkadziesiąt kroków dalej żołnierza-Vietnamczyka.

„Jakże to dziwne" — myśli Fowler — „ludzie mojego zawodu nie wyciągną z tej nocy więcej jak dwa wiersze prasowej notatki".

Cierpienie ludzkie w powieściach Greene'a nigdy nie jest tylko liczbą, tylko „zawiłym zrównaniem rachunku": każde ma wymiar własny i jedyny. Greene wkłada w usta Fowlera te słowa: „cierpienie nie mnoży się przez liczby, jedno jedyne ciało może zawrzeć w sobie całe cierpienie świata. Wydałem sąd jak dziennikarz, który oblicza przez ilość — *zdradziłem moje własne zasady*" (podkreślenia moje).

Niech więc nie dziwi się Graham Greene-pisarz, że dwa wiersze Graham Greene'a-dziennikarza w „Sunday Times", w których ofiary „oblicza przez ilość" i słowem „insignificance" ustawia Katyń w hierarchii zbrodni (*), wywołały tak liczne reakcje i listy do redakcji (niewydrukowane zresztą gdy były

---

(*) „Katyńska masakra blednie, traci znaczenie (*fades into insignificance*) w porównaniu z sześciu milionami zmarłych". „The Sunday Times", 15. I. 1956.

pisane przez Polaków). Ta góra buciczków po spalonych przez Niemców dzieciach, którą pokazywano Greenowi w obozie-muzeum w Polsce, te krzyże niezliczone, zbite z rur od pieców na placach Warszawy, te materialne ewokujące dowody niemieckiej w Polsce obecności — przy prawdopodobnie jednoczesnym konsekwentnym i *jednostronnym* kierowaniu uwagi pisarza przez goszczących go przyjaciół Piaseckiego — dały to zdanie w którym dziennikarz Greene zdradził pisarza Greene'a.

Tu sześć milionów zamordowanych — tam, w dalekim lesie, tylko cztery tysiące i kilkaset trupów. *Insignificance.*

Już niektórzy komuniści operują nikłością tych cyfr. „Cóż znaczą te cztery tysiące w porównaniu z astronomiczną sumą zlikwidowanych wrogów ludu w... Chinach" — powiedziała memu przyjacielowi pewna polska komunistka.

Ale jeżeli tak, więc może trzeba o tym *zapomnieć*, zapomnieć o Katyniu, zapomnieć o tym, że Katyń dla Polaka to nie tylko trupy w lesie katyńskim, rozkładające się zwłoki, skwapliwie fotografowane i filmowane przez wrogie propagandy („wnętrzności ich włóczyły się po ziemi, słońce świeciło ... byli to *ludzie*, których matki i siostry kochały"), że to *także* i Katynie jeszcze niewykryte, w których wymordowano jeńców z Ostaszkowa i jeńców ze Starobielska (*).

Ale i z tamtymi nawet Katyniami to ciągle jeszcze tylko mniej więcej 15.000! *Insignificance!*

Te tysiące, nie wiadomo gdzie zgładzonych, w okresie — jak się to dziś pisze — „beriowszczyzny", miały swoje podwójne „papki" (teczki) z których jedna była w obozie a druga w centrali w Moskwie z fotografiami, danymi skąd i dokąd ich przerzucano. Te teczki niewątpliwie leżą jeszcze, starannie ułożone w skrzętnych archiwach MWD w Moskwie. Sześciuset młodych lotników, ośmiuset lekarzy. Były wśród nich świetne nazwiska polskiej medycyny : prof. Kołodziejski, dr Stefanowski, dr Levitoux, i takie, w całej Polsce znane z rozmachu i ofiarności jak dr Wroczyński, organizator Kas Chorych, dr Dadej, założyciel sanatorium na Bystrem dla najbiedniejszych dzieci gruźliczych; byli profesorowie uniwersytetów, uczeni jak Pień-

(*) Przypominam : od października 1939 do maja 1940 roku przeszło przez obozy Kozielsk, Ostaszków, Starobielsk ponad 15.000 ludzi (wśród których 8.700 oficerów). Pozostało z nich przy życiu 448 oficerów i żołnierzy (prawie wyłącznie przerzuconych do obozu Griazowieckiego i do więzień moskiewskich). Cała reszta, około 14.500 - 15.000 — zaginęła. Z grobów katyńskich ekshumowano 4.143 trupy, wśród których 70% zidentyfikowano : wszyscy byli jeńcami z Kozielska. Miejsca zagłady Starobielszczan i Ostaszkowców są dotychczas tajemnicą archiwum MWD w Moskwie. Te miejsca nazywam „Katynie".

kowski i Nelken, technicy jak inż. Antoni Eiger, wiceprezes Ligi Antyhitlerowskiej w Polsce. Pamięć o tych ludziach, zgładzonych w przeróżnych Katyniach, wiąże się z około półtoramilionem obywateli polskich, wywiezionych w latach 1939-1940, z których ogromna część wyginęła w zaryglowanych wagonach, w Workutach i Karagandach, na stepach Altajskich czy w głodnych kołchozach Kazachstanu. O tym wszystkim nie mówili Greenowi ani Piasecki, ani jego przyjaciele.

Wyginęła ogromna część tych ludzi, *ale nie wszyscy*.

Dlaczego dzisiaj piszę o tym? Nie chodzi tu o Greene'a. Ten pisarz, dla którego mam zachwyt, sądząc po dwóch króciutkich artykułach a bardziej jeszcze z wywiadu udzielonego „Kulturze" — i tak zobaczył to, czego większość turystów nie dojrzała. Odbudowa Starego Miasta nie zasłoniła mu faktu, że Powstanie Warszawskie zostało wykreślone z historii Polski z tą samą konsekwencją z jaką wykreślono Trockiego z historii WKPb.

Nie chcę również robić propagandy okropności, licytacji okropności — tu tyle, a tu tyle milionów; „cierpienie nie mnoży się przez liczbę". Jeżeli piszę o tym to dlatego, że obserwujemy w Rosji Sowieckiej i w Polsce znaki odwilży. „Kultura" próbując ocenić te znaki, próbując w dzisiejszej, o cień zmienionej sytuacji jawnego dialogu (ciche dialogi między krajem a emigracją ani na chwilę nie były przerwane) jest posądzana z jednej strony o dywersję, o zdradę emigracyjnej niezłomności, z innej zaś o ciężki błąd taktyczny. Zarzuca się nam, że próbujemy mówić o sprawach najdrażliwszych i najboleśniejszych stawiając kropki nad „i". Ale jeżeli chodzi nam o dialog, to właśnie o dialog *bez niedomówień*.

Kosior i Antonow-Owsiejenko w ZSRR, Bela Kun na Węgrzech, Warski, Leński, Bruno Jasieński — cała partia komunistyczna polska w 1938 roku uznana za gniazdo dywersji — zostali przywróceni do czci i sławy rewolucyjnej. Co to znaczy?

„...po zwycięstwie, pewnego dnia, jak to już nie będzie mogło szkodzić, tajemne archiwa zostaną ogłoszone... wtedy wy i paru waszych przyjaciół zostaniecie obdarzeni sympatią, współczuciem, które dziś wam zostały odmówione..." — tak mówi koestlerowski Gletkin Rubaszowowi. Gletkin dziś dotrzymuje słowa, ale to wszystko dzieje się tylko wewnątrz partii komunistycznej... po zwycięstwie. Więc czy *to* jest odwilż, *tylko to?*

Na przykład o rehabilitacji zamordowanych Altera i Erlicha, tych wspaniałych przywódców Bundu, którzy się do niczego „nie przyznali" — jakoś nie słychać.

Pozwólmy sobie na marzenia, *więcej* na myśl konsekwentną : co dalej ? Jeżeli na porządku dziennym jest rewizja szeregu dalszych procesów jakże to odbić się może nie tylko na rodzinach tych ośmiu milionów zgładzonych podczas czystki 1938 roku (*), nie tylko na obywatelach sowieckich, ale i na stosunkach z krajami, które nie są w Związku Sowieckim, ale należą do jego orbity — *na Polsce.*

Nie chodzi tu o ocenę *moralną* pobudek, które wywołały decyzje spektakularnych zwrotów, przeprowadzonych na razie „z iście stalinowską dyscypliną". Owocem jakich „dyskusji" na wierchuszce jest to, że właśnie Gamarnikiem m. in., za którego śmierć ponosi odpowiedzialność Woroszyłow rozpoczęto rehabilitację, albo Kosiorem którego oprawcą był Mołotow, a następcą Chruszczow ?

Jeżeli te rehabilitacje właśnie, jeżeli propozycje pani Pankratowej, (zmiany wszystkich podręczników przez nią pisanych), jeżeli próby odseparowania się od stalinizmu przywódców, którzy ze Stalinem za epokę stalinowską ponoszą odpowiedzialność — oceniamy jako pewne *rysy* na „monolicie" to fakty te mogą przynieść skutki dla samych władców nieobliczalne, a w dalszym rozwoju i w stosunkach sowieckich wywołać zmiany zasadnicze.

Jeżeli tak, to trzeba by zacząć i na odcinku sowiecko-polskim od usunięcia momentów najbardziej trujących. Przemilczenia i zafałszowania, które dziś już nikogo nie łudzą, muszą być wyprowadzone na światło dzienne i gdzie tylko możliwe — naprawione, bo przez Polaków *zapomniane* nie będą.

Czy mógł odgadnąć Graham Greene, przez „PAX" obramowany, czym są dla świadomości polskiej — tak w kraju jak i poza krajem — Katyń, „Katynie", wywiezienie ponad miliona Polaków w 1939-1940, wywózki, skromnie mówiąc, dziesiątków tysięcy Akowców od roku 1944 — kończąc na podstępnym wywiezieniu i uwięzieniu 16-tu przywódców Podziemia z gen. Okulickim na czele. Wiem, że przygniatająca większość tych ludzi już nie żyje, ale NIE WSZYSCY. Są ludzie, którzy żyją na „wolnym" osiedleniu, są inni, którzy żyją i co dzień giną w niezliczonych obozach i więzieniach. Ten łańcuch faktów drąży serce każdego Polaka od siedemnastu lat, drąży nie mniej, nie słabiej niż samotne jęki na ryżowisku drążyły przez jedną noc serce Fowlera-Greene'a.

Dziś mamy o nich szereg nowych informacji, o zesłańcach, którzy JESZCZE ŻYJĄ. Niemcy, Hiszpanie, Włosi, Austria-

(*) Cyfra według oceny A.W. Weissberga-Cybulskiego, jednego z najlepiej zorientowanych znawców tej epoki.

cy wypuszczeni z Rosji przysyłają do Radia Wolna Europa wiadomości o Polakach do dziś tkwiących w obozach. Jeden z nich pisze nawet o jakimś obozie polskich uczonych, drugi (Niemiec) podając listę nazwisk dodaje : „może fakt, że przyczynimy się do uwolnienia Polaków częściowo zgładzi nasze winy wobec narodu polskiego".

Każdy kto był w obozie, wie co znaczy solidarność przyjaźni obozowej. Nie zapomnę tych oberwanych tłumów w Tocku, przybyłych prosto z obozów. Każdy z nich, każdy miał ze sobą listę nazwisk kolegów jeszcze nie wypuszczonych, o nich mówił, o ratowanie ich nalegał. Mówili o sobie wzajemnie z namiętnym naciskiem Polacy, Żydzi i Ukraińcy. Dziś ta solidarność ogarnęła ludzi, którzy jeszcze parę lat temu byli wrogami na śmierć i których po bratersku połączyły łagry.

W dniu 22 sierpnia 1955 roku zapadł dekret Najwyższej Rady ZSSR o przekazaniu władzom polskim wszystkich obywateli polskich, przebywających w Związku Sowieckim. Z kraju wiemy o powrotach z Rosji szeregu Polaków. Pisze się jednak o tym w kraju zadziwiająco mało. Przybywają ludzie dorywczo, nie widać tu ani metody, ani planu — wstydliwie i jakby chaotycznie. (Przykład : żona przybywa bez męża, o którego potem dopomina się miesiącami, bez skutku). Ten bałagan jest tajemniczy ? Czy zwyczajnie biurokratyczny ! Znam to z lat 1941-1942 ! Nie mamy danych czy od przybywających wykorzystywane są wiadomości o towarzyszach pozostałych w obozach. Spisy powracających nie są ogłaszane. Wywiady z powracającymi są rzadkie, dobrane, ufryzowane, albo wprost załgane. Za wywiezienie na lata Józefa Mieszkowskiego odpowiada, jak się okazuje, ambasador Kot i polska „dwójka"!! Czyżby te wypowiedzi były ceną powrotu ?

Ale w Polsce idą, iść muszą, od powracających wieści szeptane, choć może niejednego z nich „pamięć zapisana cała, jak księga herkulańska pod ziemią spróchniała : sam autor zmartwychwstały nie umie w niej czytać, rzekł tylko, będę o to Pana Boga pytać".

Wracający wydają się być wszyscy z „wolnego osiedlenia", czy już znajdujący się na „wolnym osiedleniu", po odsiedzeniu lat obozu.

Nie mamy żadnych wiadomości by Polacy byli wypuszczani z obozów i więzień przed czasem. I to właśnie musi być zrobione. Czym są obozy w Rosji, jaka jest ich śmiertelność i jakie są tam warunki pracy i życia, wiemy wszyscy, tym bardziej wiedzą o tym dziś ludzie w kraju. Tylko niech nie pada znowu słowo : amnestia, słowo oszczercze. Amnestia dla ludzi wywo-

żonych po nocach w roku 1940, amnestia dla żołnierzy, których zamknięto w obozach bo bili się z Hitlerem i wypuszczono by się mogli bić dalej, amnestia dla żołnierzy A.K., amnestia dla podstępnie wywiezionych przywódców Podziemia? To słowo przede wszystkim musi być wykreślone.

Jeżeli odwilż to nie tylko kilka zręcznych gestów propagandowych na zewnątrz i parę lekkich ulg, danych przez zwycięskich Gletkinów ludziom o już przełamanym kręgosłupie, ale pierwsze symptomy może długiego, na pewno niezmiernie ciężkiego, ale organicznego procesu w Związku Sowieckim to cała prawda o Katyniach musi być ujawniona i muszą wrócić do Polski wszyscy Polacy którzy JESZCZE ŻYJĄ. Inaczej w świadomości każdego Polaka solidarność między dzisiejszymi przywódcami a „beriowszczyzną" nie została zerwana.

Jan Kott pisze w „Przeglądzie Kulturalnym" z wzruszeniem, którego akcent nie myli, o wstrząsającym wrażeniu „Dziadów" na scenie warszawskiej. „Mickiewicz jakby chwytał wielką historię na gorąco" — pisze Kott. Nie dodaje, że genialność Mickiewicza tkwi jeszcze w tym, że chwyta on na gorąco także i jakby bardziej jeszcze, historię *dzisiejszą* i że dlatego „każde upuszczenie tekstu odczuwano jak ukłucie w serce", że dlatego płakali wszyscy, szatniarki, maszyniści i nawet ministrowie. Łzom całej widowni warszawskiej jakże się dziwić — nie upuszczono chyba strofy :

„Jeżeli zapomnę o nich, Ty Boże na niebie
Zapomnij o mnie".

Te słowa biją w nas wszystkich, w szatniarki, maszynistów, w każdego Polaka w kraju i na emigracji, w ministrów. Biją swą groźną wymową i gdybyśmy zawołali wszyscy o CAŁĄ PRAWDĘ O KATYNIACH I O RATUNEK DLA TYCH CO JESZCZE ŻYJĄ, może i my byśmy, jak kiedyś Mickiewicz, w przestrzeniach Rosji znaleźli przyjaciół-Moskali i z ich strony dla spraw tych zrozumienie.

Józef CZAPSKI

Marginesy emigracji

„OBRONA KULTURY NA EMIGRACJI"

Do rytuału londyńskich zebrań artystycznych należy pojawienie się choćby w jednym przemówieniu „składu zasad" literackiej emigracji. Obowiązek najczęściej spada na przewodniczącego zbiorowej dyskusji czy odczytu, który pilnuje także aby publiczność pamiętała, że wszystko stanowi część „walki" o demokrację i wolność, nawet łącznie ze skreśleniem z programu otwartej dla wszystkich dyskusji, do jakiej na „zebraniach dyskusyjnych" prawie z reguły nie dochodzi. Gładkich, podniosłych zdań, na ogół podobnych do siebie i uświęconych już zwyczajem, słuchamy jak dobrze znanej melodii hejnału krakowskiego; przestały one ostrzegać o niebezpieczeństwie, są dramatyczną pamiątką — publiczność doskonale wie, że tak należy i że nic z tego nie wyniknie, ale trzeba się wzajemnie zapewnić o niebywałych wysiłkach dla obrony wolnego słowa, nieskalanej polskości literatury, raz jeszcze usłyszeć o chwalebnej niezależności pisarza pracującego poza krajem i o absolutnej niewoli pisarza w kraju. Wtedy bierze czasami przekorny żal, że to nie jakiś autor o znanym nazwisku i niewątpliwej uczciwości osobistej wybrał się w drogę powrotną, a zaledwie „zamkowy" premier. Decyzja p. Hankego nikim nie wstrząsnęła, ponieważ owa zabawa w „rząd" i poza krajem i poza społeczeństwem przestała budzić zainteresowanie i niewielu znalazłoby się ludzi twierdzących z dobrą wiarą, iż Hanke rzeczywiście reprezentował jakiś odłam opinii narodu polskiego. Gdyby zaś był to pisarz, pióro znane i odważne, krok taki musiałby wywołać poważne postawienie pytania: dlaczego? Dlaczego, skoro tak świetnie broni się na emigracji kultury narodowej... Powtarza się zresztą ów pokrzepiający paciorek o wolności i zaangażowaniu naszej literatury od dawna i tak bez zmian, że mimowoli budzi wątpliwość czy autorzy krajowi są tak krańcowo pozbawieni możliwości oddziaływania w pewnym stopniu

na swych czytelników, zgodnie ze swymi zamierzeniami, a czy znów autorzy emigracyjni istotnie trwają w nieustannej służbie, spełnianej wszystkimi siłami z mandatu żądającego jej społeczeństwa.

Dzięki gorliwym staraniom Związku Pisarzy na Obczyźnie, prowadzonym od kilku lat, wtorki literackie w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego w Londynie wyrobiły sobie publiczność i muzealna salka często nie może pomieścić setki przybyłych. Młodych słuchaczy jest co prawda niewielu, ale i tak uderzająca to odmiana że w ogóle zaczęli przychodzić. Co najmniej jednak połowa gości na każdym zebraniu to stali bywalcy i tylko na parę dziesiątków wolno obliczać tych, co zjawiają się od czasu do czasu, przyciągnięci tematem czy osobą prelegenta. Zasięg zatem oddziaływania zebrań jest bardzo wąski i zgoła niewspółmierny z kilkudziesięciotysięcznym zaludnieniem polskiego Londynu, zamieszkałego w znacznym odsetku przez inteligencję. Rodzime kluby brydżowe, urzędujące co wieczór, biją liczbą przysięgłych wyznawców — jeżeli zsumować wszystkie czwórki we wszystkich ogniskach ojczystego obyczaju — najgłośniejszy jubileusz i najciekawszą dyskusję.

Za zdobyciem przez organizatorów londyńskiego życia literackiego stałej publiczności leży wstydliwy sekret prowadzenia tej pracy poniżej wszelkiej rozsądnej kalkulacji. Nikomu nie śniłoby się sprzedawać krakowskiej kiełbasy poniżej ceny kosztu dla utrzymania dawnych zamiłowań kulinarnych, jednakże ludzie pióra zawsze są gotowi albo nic nie zarobić albo nawet stracić. Bilet wstępu wynosi dwa i pół szylinga, czyli mniej więcej 125 franków i nieco ponad 30 centów. Jest to koszt wstąpienia na ciastko i filiżankę kawy do popularnej włoskiej kawiarni w Londynie. Więcej brać nie można, gdyż trzeba się liczyć z kosztem dojazdu przy dużych londyńskich odległościach. W ten sposób, przy 40 do 80 sprzedanych biletów (członkowie Związku mają wstęp bezpłatny), kasa zbiera od pięciu do maksimum dziesięciu funtów angielskich. Odliczmy skromnie dwa funty na niezbędne koszty administracyjne, pozostaje w najlepszym razie cztery do sześciu; gdyby je podzielić między trzech prelegentów, każdy otrzymałby przeciętnie równowartość od 5 do 10 godzin pracy słabo wykwalifikowanego robotnika, chociaż przygotowanie tekstu zajmuje nieraz kilka albo i kilkanaście wieczorów.

W rzeczywistości nie ma jednak i tego, bo pisarze biorą udział w wieczorach bezpłatnie, aby tą drogą uzbierać nieco pieniędzy na potrzeby Związku, z odczytowych bowiem szylingów powstaje doroczna nagroda dla krytyka i świeżo wprowadzona nagroda dla młodych autorów. Trudno powiedzieć że złożyła się na nią społeczność emigracyjna, skoro słuchacze za kupiony bilet wstępu otrzymują z góry określoną wartość w postaci publicznego występu co najmniej trzech znanych autorów. Dla nagrodzenia pisarza, dla dania mu tej chwili pozwalającej

dalej pracować, konieczną sumę zarabiają jego koledzy, podczas gdy publiczność, na ceremonii wręczania nagrody, oklaskuje laureata albo nie zdając sobie sprawy skąd pochodzą pieniądze, albo też, uspokojona w swym sumieniu, sądzi że przychodząc na wieczory literackie Związku dostatecznie przyczynia się do ,,obrony wolnego słowa''. Przy tych trzeźwych refleksjach pozostaje jedna ważna pociecha: myśl iż w kraju, skąd wytyka się pisarzom emigracyjnym ich trudne warunki materialne, nie byłoby tak łatwo, jak łatwo jest u nas, stworzyć nagrodę literacką, ufundowaną dzięki bezpłatnej pracy koleżeńskiej, nagrodę istotnie niezależną.

Tak jest w Londynie. Prowincja angielska jest od tego daleka i daleko. Dzieje się to wszystko bez prawdziwego zainteresowania społeczeństwa okolicznościami pracy emigracyjnego autora, czemu zresztą odpowiada coraz szczuplejszy zasób wiadomości przeciętnego emigranta o sytuacji środowiska literackiego w kraju. Książki polskie z kraju, i książki wydane na emigracji są gorliwie czytane (zwłaszcza gdy można je dostać z bezpłatnej biblioteki), co jednak oznacza tylko zaspokajanie potrzeby rozrywki. Dla szerokiej masy społeczeństwa emigracyjnego literatura nie jest przedmiotem zainteresowania jako wyraz współczesnego życia polskiego, zwierciadło jednocześnie odbijające i kształtujące portretowany przedmiot. Nie ma świadomości, towarzyszącej bądź co bądź literaturze w kraju, że jest ona częścią historii, jedną z kwintesencji życia narodowego, jedną z nielicznych form utrwalania teraźniejszości zdolną do zachowania pełnej barwy i po wielu latach.

Na emigracji literatura trwa, osiąga nawet poważne wyniki, dzięki samotniczym uporom, bezinteresowności i pracowitości kilku działaczy społecznych, wydawców i redaktorów. Pomińmy pisarzy wśród tej pochwały, wierząc że pisarz zabiera głos z konieczności wewnętrznej, wbrew wszystkim przeszkodom, z wyjątkiem jednej: braku dostatecznego odzewu, braku krążenia ogrzewającej krwi między nim a społeczeństwem.

Emigracja, odmówiwszy w przeważającej większości świadczeń na rzecz instytucji politycznych, oderwanych od bezpośredniego kontaktu ze społeczeństwem i nie stosujących zasady wyborów, owego elementarza życia demokratycznego, jednakże w zasadzie uznaje, że działalność polityczna i społeczna wymagają odpowiednich środków. Natomiast ogół emigracyjny nie widzi że działalność wydawnicza wymaga stałej pomocy. Rozwój paryskiej ,,Kultury'', imponujące rozmiarami i szatą zewnętrzną numery londyńskich ,,Wiadomości'', trzy serie wydawnicze (,,Biblioteka Kultury'', ,,Biblioteka Autorów Polskich'' i książki ,,Veritasu'') podtrzymują złudzenie, że wszystko idzie jak najlepiej. Ale trzeba się wreszcie spytać, jakby te sprawy mogły wyglądać gdyby pisarze przestali pracować prawie stale poniżej swych możliwości, tylko w skrawkach czasu, urwanych codziennym kłopotom, słowem gdyby zaczęli robić

to, co powinni robić. Wymagania nie są wielkie, nikt nie szuka przywilejów kosztem funduszów społecznych, i doprawdy stać nas na danie więcej na cele kulturalne niż na przykład dają Estończycy. Nawet nie warto porównywać liczebnego stosunku wychodźstwa estońskiego i polskiego, a przecież autor estoński *może* się utrzymać z pisania powieści i dorywczych szkiców literackich. Co więcej, nakład emigracyjnej powieści estońskiej grubo przewyższa nakład polskiego best-sellera, jakim jest np. ,,Droga do nikąd'' J. Mackiewicza. Pracujący w Sztokholmie Klub Książki Estońskiej ogarnia cały świat i wciąż poluje na rękopisy; wskutek dobrej organizacji i dorobku materialnego emigracji estońskiej sytuacja powieściopisarza staje się w tamtym środowisku lepsza niż przed wojną, w niepodległym kraju Zdaje się, że przyczyna leży w poczuciu konieczności takiej akcji, Estończycy bowiem ratują naród poprzez literaturę. Polacy zaś powołując się na istnienie literatury w kraju i nieprzerwaną działalność wielu najlepszych piór, wolą poprzestawać na frazesie o ,,obronie wolnej kultury''. Gdyby niewielki naród estoński, którego ziemia jest republiką sowiecką i rezerwuarem pracy niewolniczej, pozwolił sobie na załatwianie najważniejszych spraw deklamacją i oklaskami, cóżby z niego pozostało?

Sporo mamy powieści, lecz coraz mniej zbiorów poezji, nie sposób wydać tomu szkiców literackich (zwłaszcza gdy nie pomoże rocznica śmierci Mickiewicza), kolekcji studiów historyczno-literackich, esejów krytycznych czy zebranej publicystyki. W kraju pozycje wydawnicze nie obiecujące szybkiego zbytu wydaje się dzięki dochodom z beletrystyki, nie mówiąc już o wyznaczeniu z kas państwowych, czyli z pieniędzy społecznych, pokaźnych sum na cele kulturalne. Nie ma podobnego funduszu na emigracji. Ruszmy się w Anglii poza Londyn, we Francji poza Paryż, a stwierdzimy, że pisarstwo emigracyjne jest tylko skromnym marginesem życia emigracyjnego. Ozdobą i rozrywką jest w nim czcza polityka wewnętrznych rozgrywek, kultura narodowa słówkiem odświętnym, a treścią praca, pieniądz, ambitny wysiłek zapewnienia dzieciom jak najlepszej przyszłości w obcym społeczeństwie, dbałość o ułatwienie im zewnętrznej asymilacji.

ZMIENNE I STAŁE FIKCJE

Nie łatwo utrzymywać w sobie stale aktualną *wizję* kraju, bez ulegania rodzimej skłonności do fikcji i obu propagandom: jednej przesadnie optymistycznej, drugiej — przesadnie pesymistycznej, albo wręcz złośliwie katastroficznej. O przerażającym wprost oderwaniu się od myśli i uczuć społeczeństwa w kraju świadczą takie np. występy publicystyczne, jak pobożne życzenie by ,,jasne, boskie pioruny spaliły Nową Hutę''.

Następnym życzeniem takiego patrioty może być myśl o wojnie, której skutki zniszczyłyby przemysł wybudowany przez bezbożnych komunistów. Po czym w tak ,,uszczęśliwionej'' Polsce publicysta emigracyjny będzie mógł umartwiać się dowoli, ciesząc się wolnością i nędzą, póki państewka, pozbawionego przemysłu i możliwości oporu, nie połknie łatwo następny rekin. Oczywiście, prasa w kraju dokłada starań, by podobne pomysły przedstawiać jako zapatrywania całej emigracji.

Niestety, długie lata rozłąki robią swoje. Utrzymywanie łączności z nastrojami kraju, a dla pisarza i publicysty nieprzerwane rozumienie atmosfery tamtejszego życia umysłowego wymaga systematycznych zabiegów, ciągłej cierpliwej lektury, zorganizowanego wysiłku. Zmieniło się życie, zmieniają się ludzie. Spotykają nowe zagadnienia, dochodzą do nowego stosunku do starych. Pozostać na emigracji Polakiem nie tylko z paszportu (choć stale maleje liczba polskich ,,bezpaństwowców''), pochodzenia, języka, przeszłości i temperamentu, ale i z utrzymania psychicznego uczestnictwa w istnieniu narodu, udaje się tylko za cenę czujnej obserwacji. Aby mówić o sprawach polskich, nawet aby o nich myśleć, trzeba przede wszystkim o nich wiedzieć. Jeżeli się przerywa trud stałego, możliwie obiektywnego informowania o kraju, popada się w fikcję, w schematy dziwnie bezbarwne bo wypełnione zaledwie podstawowymi elementami sytuacji — że komuniści, że Rosjanie, że biednie i trudno.

Nie łatwo zdobyć się na konieczną energię i zużycie czasu. Powołany niegdyś Instytut Badania Spraw Krajowych nie zdobył sobie powagi naukowej, szybko zeszedł do propagandy, a przy subwencji, wynoszącej £5. miesięcznie w praktyce przestał działać: ani wydawnictw, ani periodyku, ani zebrań publicznych — jedna więcej fikcja, pusta nazwa w pompatycznym rejestrze udawanych wysiłków. W pierwszych latach po wojnie wielu ludzi usiłowało samodzielnie zdobywać wiedzę o kraju, uczyć się Polski na nowo. Uprawiano także baczne śledzenie ruchu literackiego i polemik. Zdławił to socrealizm. Jednak dziś, w dobie ,,odwilży'', mimo ożywienia dyskusji, przybliżającej do nas oblicze kraju, prąd ten nie zdołał odżyć. Ilość czytelników obecnej ,,Twórczości'' (bardzo taniej w prenumeracie) jest o wiele niższa od liczby tych, którym niegdyś zależało na posiadaniu bieżącego numeru ,,Odrodzenia'' czy ,,Kuźnicy''. Nie jest to wyłącznie skutek nudy szerzonej przez długi czas przez wulgaryzmy realizmu socjalistycznego w uproszczonym wydaniu. Od dwóch lat w prasie krajowej toczą się charakterystyczne dyskusje i nie ma wiele sensu wzruszać na nie ramionami: tyle napiszą ile im pozwolą; w ten bowiem sposób nigdy niczego się nie dowiemy. Tego rodzaju postawa wyraża absurdalną myśl, że albo należy uczyć się obrazu Polski od zagranicznego wywiadu albo przestać się zajmować docierającymi do nas echami krajowego życia. ,,Twórczość'' z 1955,

czy 1956 roku jest pismem interesującym, a jej numer mickiewiczowski dałoby się prawie zamienić z książką „Mickiewicz Żywy”, wydaną w Londynie przez Związek Pisarzy, a jednak prasa krajowa nie jest dziś zdolna do odzyskania czytelnika emigracyjnego. Zmienił się czytelnik. Zmienił się tak dalece, że nie dostrzega własnej metamorfozy, podobnie jak nie zauważa występującego coraz ostrzej problemu sensu i roli literatury poza krajem.

Jedną z najbardziej zastanawiających reakcji emigracyjnych jest rozpad pewnej fikcji, aczkolwiek nie zmieniła się jej podstawa która również była fikcyjna. Długo utrzymywano legendę rychłego, ogólnego powrotu do Polski, chociaż nic nie zapowiadało takich radykalnych przesunięć w układzie sił, jakie były warunkiem powrotu. Sytuację powojenną streszczała przecież demobilizacja Zachodu i utrzymanie potężnej armii przez Związek Sowiecki, a najdalej posuniętym przeciwstawieniem się blokowi komunistycznemu była polityka containment. W tej chwili gra polityczna między Wschodem a Zachodem odsuwa w zupełnie nieokreśloną przyszłość legendę powrotu obwarowanego zastrzeżeniami, które na przykład były formułowane w 1948 roku. Tym samym tego rodzaju powrót praktycznie jest zagadnieniem co najwyżej młodego pokolenia, mającego przed sobą dostateczny dystans czasu. Inna sprawa jakie dalsze zmiany wewnętrzne zajdą w ludziach, liczących dzisiaj dwadzieścia parę lat, i czy spadające z kalendarza kartki Polskę do nich przybliżą, czy oddalą. W każdym bądź razie możliwość powrotu do kraju rodzin na dobre osiadłych w Wielkiej Brytanii, w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie czy Australii staje się iluzoryczna. W odpowiednich warunkach politycznych zapewne wracałoby — nie znajdując już dla siebie czynnego miejsca w życiu przeoranym przez wojnę i rewolucję — pokolenie najstarsze, które nie zdołało się dostosować do życia na obczyźnie. Ale nawet i w tym wypadku niejeden człowiek wiekowy i schorowany zastanowiłby się nad zamianą opłaconego mieszkania, zasiłku Assistance Board i bezpłatnej a łatwo dostępnej pomocy lekarskiej na kąt w cudzej izbie i emeryturę, nie zapewniającą najskromniejszego utrzymania. Losy młodych układają się bardzo pomyślnie przy ciągłym korzystaniu z awansu społecznego i materialnego; pokolenie średnie też przeważnie zdążyło znaleźć sobie miejsce i w miarę upływu lat zaczyna się czuć coraz bardziej związane przyszłością dzieci.

W polskiej powojennej „diasporze” nie powtórzono uporu żydowskiego mistycyzmu, wywołującego przez tysiące lat składanie sobie życzeń szczęśliwości największej : powrotu do Jeruzalem. Nawiasem, kiedy stało się to możliwe, burzę protestów wywołał logiczny wniosek Koestlera, iż każdy Żyd europejski albo powinien wziąć czynny udział w budowaniu państwa żydowskiego w Izraelu, albo też pogodzić się z asymilacją i przestać wzdychać do Jerozolimy, dla której nie zrezygnuje ze świetnych

interesów w Anglii, Francji czy Ameryce. Koestler odsłonił wstydliwie ukrywaną prawdę: przekształcenie się emigracji wyznaniowej i narodowej w emigrację handlowo-zarobkową. U nas, w dziesięć lat po zakończeniu wojny, dla innych — w kilkanaście lat po opuszczeniu kraju, zaczęły przygasać świąteczne życzenia powrotu. Po Bożym Narodzeniu urządziłem coś w rodzaju prywatnej ankiety po wielu domach polskich w Londynie, przeważnie znanych z utrzymywania polskich tradycji i na ogół zaangażowanych czynnie w społecznych pracach emigracji: Czy przy łamaniu się opłatkiem, mówiliście, jak dawniej, „na przyszły rok w kraju"? Wszędzie dostałem odpowiedź negatywną. Wszędzie pokiwano głowami: „A, istotnie, zapomnieliśmy jakoś..."

Ta zmiana obyczaju wynikła z naporu rzeczywistości. Nic dziwnego. Po tylu latach kraj urządził się po swojemu, emigracja po swojemu, czego zresztą swoisty symbol znajdujemy w tym, że stęsknione żony powychodziły w końcu zamąż, a mężowie poznajdywali nowe małżonki na emigracji. Walizki rozpakowano na dobre po obu stronach granicy i to co było tymczasowością stało się sytuacją wyjściową dla dalszego kształtowania życia i dla przyszłości następnego pokolenia. Robotnik, kupiwszy sobie domek i samochód, lub co najmniej motocykl, wznosi okrzyki na obchodach narodowych, ale nie spieszno mu wracać do dawnej biedy czy do trudnych wysiłków budowania ciężkiego przemysłu: woli pozostać tam, gdzie ciężki przemysł już jest. Sentyment zaspakajają obchody narodowe i posyłanie paczek, a w razie zmiany politycznej prawdopodobnie zadowoliłby się urlopem w ojczyźnie. Dawny szofer pana majora, dorobiwszy się świetnie idącego zakładu handlowego, domów i paru ciężarówek, nie zamierza oddać wyników dziesięciu lat ciężkiej pracy za przywileje stachanowca, ani za godność szofera „pana" (czy „obywatela") ministra. Spółdzielczość również nie bardzo do niego przemówi, choćby popierała ją większość społeczeństwa w kraju. Młoda inteligencja, przeważnie o wykształceniu technicznym, weszła na drogę błyskotliwej kariery; zdolni, rzutcy, pracowici młodzi fachowcy, swoiści konkwistadorzy zamkniętego dotąd przed nimi świata, wysuwają się na czołowe miejsca, rozumiejąc że nie stoją za nimi żadne przywileje i względy specjalne i że muszą polegać wyłącznie na swych kwalifikacjach zawodowych. Są już w Oksfordzie, w Harvardzie; są w budowie samochodów, w konstrukcji nowych modeli samolotowych. Ameryka starannie wyłuskuje ich z kontynentu.

Powiedzmy ostrożnie: zagadnienie powrotu straciło na ostrości wskutek zapuszczenia korzeni przez emigrację w krajach osiedlenia. Tym samym jednak kurczy się ważna funkcja literatury emigracyjnej, stanowiącej łącznik ze „światem powrotu"; ludzie obiecujący sobie na Wielkanoc, Boże Narodzenie czy Nowy Rok spotkanie w kraju potrzebują na obczyźnie włas-

nej, odrębnej literatury przesyconej patriotyczną religią. Tam gdzie ta potrzeba znika, zaczyna wystarczać literatura w języku obcym i po prostu dobra polska książka bez względu na miejsce wydania: wydrukowanie na okładce ,,Londyn'' albo ,,Paryż'' przestaje dodawać jej w odczuciu czytelnika szczególnej wagi.

Dla ludzi, co całą energię włączyli w życie bieżące, w życie tu — na miejscu, czyli poza krajem, bardzo dalekie i obce staje się zagadnienie literatury emigracyjnej jako świadomie wypełnianego zadania. Pozostawszy na emigracji czy to ze względów politycznych, czy też decyzji rodzinnych, są już dzisiaj z nowym terenem związani wieloma innymi względami, a najmłodsi po prostu dziedziczą sytuację jaką im stworzyli rodzice. Ponieważ nazwa emigracji politycznej brzmi lepiej, będzie się jeszcze długo trzymać, zwłaszcza że nie można sprawdzić jej istotnego charakteru: prawdziwym momentem kontroli byłaby zmiana w Polsce w granicach stwarzających obiektywne możliwości powrotu. Jeśli idzie o literaturę, wracaliby wtedy pisarze, ale czy pociągnęliby za sobą wielu czytelników? Nie twierdzę bynajmniej by emigracja straciła charakter polityczny, bo odmawianie powrotu jest jeszcze w tym pokoleniu gestem politycznym. Idzie o coś innego, o skrzyżowanie się ze sobą dwóch różnych charakterystyk i zanik przeświadczenia o rychłej zmianie, wskutek czego społeczeństwo emigracyjne traci aktywność polityczną. Gdyby ją posiadało, fala protestów zmiotłaby przestarzałe instytucje, zamierzające trwać w nieskończoność bez związku ze społeczeństwem jak gabinet figur woskowych polskiej historii, które ogląda się z sentymentem lub ciekawością, ale od których nie oczekuje się żadnej akcji. Oto więc streszczenie postawy politycznej stale zwiększającej się części emigracji: nie wracamy, ale też nie zamierzamy niczego robić, zajmujemy się własnymi sprawami; reprezentacje nie oparte na zasadzie reprezentowania są psychologicznie niezwykle wygodne — dają złudzenie że ktoś coś czyni ,,za nas''.

Nie jest to podłoże sprzyjające zainteresowaniu problemem pisarza emigracyjnego. Co gorsza zagadnienie kulturalne załatwia tu podwójna legenda: o bohaterskim emigrancie, któremu na ramiona, po napisaniu trzech wierszy na rok, spada niemal wie płaszcz Mickiewicza, i druga o posępnym literacie w kraju ,,zmuszonym do współpracy'' wzamian za ,,miskę soczewicy''. Często także słyszy się banalne, a szkodliwe określenia w rodzaju ,,poszedł na współpracę'', albo ,,oportunistyczna książka'', i to właśnie wobec utworu, nie mającego nic wspólnego z oportunizmem. Lekko szafujący takimi określeniami nie zdają sobie nawet sprawy jakiej ignorancji, jakiej ,,depolonizacji'' dają dowody. Pod rządami dyktatury ideologicznej prawie każdy utwór drukiem ogłoszony (odróżniam to od ,,napisanego'') jest wynikiem pewnego milczącego kompromisu między autorem a państwem jako wydawcą. W okresie zaciskania kontroli

pisanie jest zagadnieniem tworzenia literatury w istniejących granicach, w okresie odwrotnych obrotów śruby jest ciągłym szukaniem granicy do jakiej można się posunąć. Gdyby wartościowi autorzy przyjęli zasadę bojkotowania pracy literackiej, oddaliby literaturę wyłącznie w ręce posłusznych a nieudolnych nałogowców maszyny do pisania, jacy w każdym ustroju zawsze starają się zarobić na miejsca przy stołach rautowych, na ordery i nagrody. Jest to typ niebezpieczny bo świadomość, że nic z nich po śmierci nie zostanie, wytwarza chciwość życia, żądzę znaczenia; muszą ciągle siedzieć na oficjalnym krześle, bo poza tym stale ,,leżą''. Wiedzą o tym i dlatego są chorobliwie zazdrośni o pisarzy prawdziwych. Jaki sens miałoby zostawianie im literatury do wyłącznej, gorszącej zabawy, skoro zarazem na emigracji udaje się zrobić tak niewiele...

,,MISKA SOCZEWICY''

Legendarna, propagandowa ,,miska soczewicy'' wcale nie jest taka pełna, jak to się wydaje z daleka. W sytuacji pisarza krajowego i emigracyjnego jest więcej podobieństw niż widać to na pierwszy rzut oka. Adolf Rudnicki, nie rzucający przecież na wiatr swych szczerych ,,Niebieskich kartek'', zwrócił uwagę na stosunek zarobków pisarzy polskich do dochodów pisarzy sowieckich. W Rosji pisarz otrzymuje za rękopis kilka razy więcej niż w Polsce. Na pozór usprawiedliwiają tę różnicę większe sowieckie nakłady, jednakże z drugiej strony niższa w Sowietach aniżeli w Polsce stopa życiowa i potrzeba powszechnej oszczędności uzasadniałaby skromniejsze dochody pisarzy. Czy więc nie można by pozwolić sobie na polepszenie zarobków ludzi pióra w Polsce?

Ale jest i druga strona medalu. W Rosji uprzywilejowanie pewnych kategorii ludzi sztuki wytworzyło swoistą plutokrację artystyczną, której iście kapitalistyczny tryb życia opisał Ehrenburg w ,,Odwilży''. Można więc powiedzieć, że w naszym kraju pisarz, mając szczuplejsze dochody, bardziej uczestniczy w ogólnych ograniczeniach, w powszechnej ofierze na rzecz uprzemysłowienia, unowocześnienia polskich równin, a także i na rzecz — cukrowni dla Chin i elektrowni dla Korei. Rudnicki mówi o ogólnym osiąganiu koniecznego minimum zarobku. Ale ważne jest czy pisarz zarabia owe minimum swym naturalnym zajęciem, to jest pracą literacką. W tym sedno sprawy; odpowiedź zmienia się procentowo od miasta do miasta, zarobek bowiem jest odwrotnie proporcjonalny do odległości od Warszawy i większych centrów prowincjonalnych, posiadających własne rozgłośnie i własne pisma. W Warszawie łatwo czerpać dodatkowe dochody z radia, teatrzyków, zamówień przekładowych, ministerialnych ,,prac zleconych'', nie mówiąc już o kilkunastu redakcjach; we Wrocławiu jest jako tako, w Krako-

wie słabiej, w Opolu — całkiem kiepsko. Czyżby właśnie dlatego prowincja, o tyle gorzej traktowana od wyróżnianego materialnie środowiska stołecznego, była śmielsza i samodzielniejsza w sądach, mniej „jedząca z ręki"?

Własny wyraz artystyczny i własną myśl łatwiej zachować w powieści, w poemacie, sztuce teatralnej niźli w artykule, reportażu czy pogadance radiowej. Pisarz w kraju nie jest pozbawiony zarobku i daleko odszedł od sytuacji przedwojennej, ale notatki Rudnickiego prowadzą do wniosku, że trzeba zarabiać przede wszystkim dziennikarstwem, propagandą, ponieważ ciągle trudno utrzymać się z prawdziwej pracy literackiej. Z literatury może żyć ten, kto ma w dorobku co najmniej pięć stale wznawianych pozycji wydawniczych. Ba, pisarz emigracyjny uznałby to za raj ziemski i od razu zaniósł wydawcom stos rękopisów, a zaniósłszy zasiadł do przygotowywania nowych. Zasadnicza różnica w warunkach materialnych między pisarzem w kraju a na obczyźnie polega na tym, że w kraju autor na marginesie swej właściwej pracy literackiej musi zajmować się dorabianiem piórem, na emigracji zaś literaturę uprawia się na marginesie innych zajęć, pochłaniających około 10 godzin z 24.

Konieczność dodatkowych zajęć i w kraju i na emigracji jest czynnikiem hamującym pracę literacką. Poza krajem jest to częściowo zrozumiałe, w kraju, wobec ubóstwa prozy powieściowej — niewytłumaczalne. Stawka, płacona autorowi od arkusza druku, jest w Polsce najniższa ze wszystkich republik ludowych Europy Środkowej. Niedawny numer czechosłowacki „Nowej Kultury" i numer polski „Nowin Literarnich" dał sposobność do wymiany wizyt literackich między Warszawą a Pragą. Nasi autorzy wracali z Pragi zaskoczeni dobrobytem swych czeskich kolegów po piórze, Czesi zaś zazdrośnie wspominali burze w szklance wody polskich polemik. Putrament, zestawiający sytuację materialną pisarzy po obu stronach, krajowej i emigracyjnej, nie ma moralnego prawa do wytykania nam ubóstwa i niełatwych okoliczności pracy, póki w kraju trzeba aż „pięciu stale wznawianych książek" by utrzymać się z pisarstwa. Z pisarstwa, to znaczy — nie z dziennikarstwa albo propagandy.

Sytuację materialną pisarza uważa się za sprawę wstydliwą i właściwie drugorzędną, skoro o pisaniu decyduje mus wewnętrzny a o wartościach literackich — talent. Decyduje także kultura, bez której można odkrywać dawno już odkrytą Amerykę. Decyduje także czas, bez którego nie mogą powstawać szerzej zakrojone dzieła. (Ileż to lat pisał Parnicki swą nową powieść historyczną?) Pisarz emigracyjny ma obowiązek uświadamiania społeczeństwa jak wyglądają kulisy jego warsztatu, jego gospodarka, skazana z góry w większości wypadków na marnotrawienie sił. Spośród ludzi pióra najłatwiej — to znaczy bez stałej innej pracy, albo bez sporadycznego nawracania do robót fizycz-

nych — pracuje się dwóm kategoriom starszego pokolenia: dawnym wyższym urzędnikom, którzy zdążyli sobie zabezpieczyć byt oraz tym, którzy egzystują dzięki zasiłkom Assistance Board, jeśli mają szczęście mieszkać w Anglii. Jest to szerokie choć niezamierzone „stypendium literackie", gdyby go nie było, wielu starszym pisarzom groziłaby nędza i los taki w którym by już nie zdołali pisać. Mimo „przymusu wewnętrznego".

W pokoleniu średnim i młodszym nie mają bezpośredniej troski o byt pracownicy stacji radiowych, choć rzecz jasna, że literaturze nic nie przybędzie z podnoszenia się ilości polskich samochodów w Monachium. Zdanie że w ten sposób Zachód zabezpieczył byt wielu pisarzom, przedstawicielom kultury krajów pozostałych za Żelazną Kurtyną, jest pomyłką. Z chwilą oddania się bez reszty pracy dziennikarskiej zamilkli oni prawie całkowicie jako autorzy; nie stać ich już na większy utwór, reportaż stanowi granice możliwości. Programy radiowe bezspornie wzbogaciły się wkładem ich pracy, literatura jest o nich uboższa. W innej skali, w innym układzie, działa ten sam mechanizm o którym pisał Rudnicki.

ZŁUDZENIA NAGRÓD LITERACKICH

Rezerwy literackie na emigracji nie są nieskończone i wieczne. Zgon prof. Strońskiego był symbolem nieuniknionego odchodzenia pokolenia starszego, o znakomitej wiedzy humanistycznej, dużym doświadczeniu politycznym, piórach wytrawnych. Czy wolno mówić o dostatecznym wypełnianiu powstających luk przez pokolenie średnie, o możliwościach uzyskania tak samo rozległej wiedzy, takiego samego zadomowienia się w kulturze europejskiej? Warto pomyśleć o tych sprawach nim będzie za późno. Nic nie zastąpi zacisznych godzin spędzonych w bibliotekach i lat na katedrze uniwersyteckiej.

Jako zjawisko społeczne rozdział między emigracją a jej literaturą jest niepokojący. Mamy przecież emigrację zasobną, a w razie fantazji, wcale nieskąpą, marynarzy z „Puszczyka" zaopatrzyła dostatniej niż zwycięskie państwo weteranów drugiej wojny światowej. Z drugiej zaś strony istnieje inny symbol: oto ani tak zwane „sfery zamkowe", ani grupy objęte zjednoczeniem narodowym nigdy po wojnie nie pomyślały o zrobieniu jakiegoś gestu, który by świadczył że oceniają ważność sprawy. Jakkolwiek w ostatnich latach trzeba stwierdzić stały wzrost zainteresowania książką polską, emigracja nie przeżywa tej pasji czytelnictwa, jaka ogarnęła kraj. Dokonywa się też pewne równanie w dół, schodzenie do poziomu popularnego, będące skutkiem przemian w inteligencji emigracyjnej i w masach pochodzących z proletariatu robotniczego i chłopskiego. Inteligencja znajduje dostateczną lekturę w języku obcym i procentowo więcej wydaje na kupno książki angielskiej czy fran-

cuskiej niż polskiej, podczas gdy dawny proletariat, uzyskawszy awans społeczny odrabia dopiero zaległości w kulturze rodzimej — kupuje stosunkowo dużo, ale przeznaczone dla niego książki nie mogą wykraczać poza łatwych klasyków i dobrą lekturę popularną. Wpływa to na skromne wyniki artystyczne w tych klubach książki polskiej, które najbardziej troszczą się o utrzymanie wysokości nakładu. Są to zjawiska naturalne, lecz pozbawione niestety uzupełnienia, jakim byłaby pomoc dla pozycji o większej wartości literackiej. Ratuje sytuację ,,Biblioteka ,,Kultury'', najlepsza seria książek na emigracji, ale nikt się nie łudzi, by dwa tomy powieści Parnickiego szybko pokryły koszt druku około 600 dużych, gęsto zadrukowanych stron.

Jeżeli kupowanie książek polskich utrzymuje je na powierzchni, to w najlepszym razie opłaca koszty wydawcy i daje autorowi honorarium odpowiadające wynagrodzeniu pięciu tygodni pracy konduktora autobusów miejskich w Londynie. Pisma literackie mogą istnieć dzięki skromności współpracowników, pobierających za duży artykuł honoraria niższe od dwóch dniówek konduktorskich. Stąd wniosek, że należy najpierw być ,,konduktorem'' aby móc pisać i że istnienie literatury emigracyjnej jest pośrednim skutkiem utrzymywania się na Zachodzie pełnego zatrudnienia. A oto ostateczne signum temporis : Związek Pisarzy przygotował specjalne wydawnictwo na rok mickiewiczowski : ,,Mickiewicz Żywy'', wynalazł pomoc dla wydawcy angażującego swój skromny kapitał w tom, nie będący przecież powieścią, wreszcie zebrał rękopisy bez *honorowania* pracy autorów. Gdyby naruszyć ten ostatni warunek, na stulecie śmierci Wielkiego Emigranta nie ukazałaby się zbiorowa książka o stosunku współczesnego pokolenia do dzieła Mickiewicza.

Nie mówi się głośno o tych sprawach w imię potężnego motywu wielu emigracyjnych procesów zakłamania, to jest aby ,,nie dawać żeru wrogiej propagandzie''. Fałszywy to wzgląd, będący właściwie ucieczką przed wstydem i przenoszeniem na Zachód kultu wsi potiomkinowskich; trzymanie się dekoracji zasłaniających rzeczywistość, byle nie trudzić się jej zmienianiem. Nie będę wracał do przykładu estońskiego albo powtarzał wyliczeń Mieroszewskiego ile penów rocznie wynoszą świadczenia emigracji na cele ogólne. Dość stwierdzić, że wcale nie musi być tak, jak jest, i że nie ma to nic wspólnego z ,,polskim losem''.

Ten obraz stosunków materialnych, rozwijany tu z takim natręctwem, dlatego jest istotny, że w zakresie pieniężnym odzwierciadla *zasadnicze* położenie literatury emigracyjnej. Istnieje ona w przekonaniu iż jest potrzebna chociażby dla czytelników w kraju, ale istnieje *na marginesie* życia Polaków na obczyźnie, pozbawiona jednej z najważniejszych prerogatyw sztuki — oddziaływania na to życie.

Jest głównie dokumentem przeszłości — przez innych nieraz rozmyślnie zatajanej — jest wyrazem osobowości autora,

niewiele czerpie z teraźniejszości. Zwężają ją dotkliwe ograniczenia : z trudnością dociera do kraju i nie wpływa tak szeroko na kolegów po piórze po tamtej stronie granicy, jakby tego pragnęła, bardzo też skąpą ma możność wpływu na czytelników z którymi posiada bezpośredni kontakt. Są oni bowiem zanurzeni po uszy w życiu, leżącym poza jej naturalnym zasięgiem; nie może walczyć o sprawy społeczne, polityczne, o stosunki między ludźmi w tej obcojęzycznej sferze od jakiej ją oddziela jej polskość. Stąd ideałem rzeczy pisanej po polsku tu, na Zachodzie, byłaby książka zdobywająca francuskiego, angielskiego, niemieckiego czytelnika, a zarazem poruszająca czytelnika w kraju. Niekiedy to się udaje (Miłosz), każdy taki sukces uzasadnia upór tej literatury i dopominanie się o pomoc. Niekiedy też polski autor, porzuciwszy trud formowania nowego stylu w poezji, wchodzi w literaturę obcą i często dopiero po latach ukazuje się jego rzecz po polsku lub nie ukazuje się nigdy.

Na tym tle jak klejnot musi błyszczeć nagroda dla poety, zebrana ze składek kolonii polskiej w Glasgow. Dzięki przysłanym stamtąd 25 funtom ang. ktoś, piszący wiersze polskie w mglistej Anglii ,,na marginesie'' obowiązków administratora i dozorcy niewielkiego domu, dostrzega dany mu z daleka znak, że przecież są, niewidoczne na co dzień związki. Wydźwięk tej nagrody, jej głos przelatujący z Glasgow do Londynu, można porównać — parafrazując Wańkowicza z opisu bitwy o Monte Cassino — z podawaniem głosu w zamęcie tamtych zmagań ,,żeby wiedziano, że jest'' kto towarzyszy, słyszy i odpowiada.

Wysokość nagrody odpowiada mniej więcej trzytygodniowemu dochodowi bardzo skromnego urzędnika biurowego, a pozostaje poniżej zarobku, za taki sam okres czasu, pracownika obsługującego w Anglii peron kolejki podziemnej. To zestawienie wyznacza proporcję w obie strony — my również nie znamy ,,zagadnienia miliona'' o jakim pisał Rudnicki. W tym zakresie moralność po tej stronie zmieniła się w takim samym stopniu jak i po tamtej. Różnica tkwi gdzie indziej : ta oto skromna nagroda byłaby w kraju niezwykle cenna pochodząc nie ze szkatuły państwa ale z pracy równie skromnie zarabiających ludzi. Glasgow dało piękny przykład, czy powtórzą go inne miasta? Ostatecznie nie byłoby nic dziwnego w pojawieniu się polskich nagród artystycznych większych miast angielskich; mieliśmy już większe osobliwości wykwitające z rzeczywistości osobliwej a prawdziwej : na urządzanych kiedyś w Wielkiej Brytanii dożynkach rolnicze delegacje ,,polskich'' prowincji : Anglii, Walii, Szkocji składały prezydentowi u nóg umajone wieńce.

Ilość nagród rośnie. Moralne ich znaczenie jest bezsporne, trzeba jednak uważać by nie przybrały zamaskowanej postaci odsunięcia prawdziwego obowiązku, rzeczowego podejścia do kłopotów, które przykrywają kwiatami, oklaskami i laurką.

W naszych bowiem warunkach pojęcie nagrody literackiej niesie pożądane i niepożądane skutki. Powstaje niebezpieczeństwo moralnej dewaluacji owych drobnych wyróżnień, doprowadzenie do stanu rzeczy w którym nie będzie czego nagradzać, jeżeli nasza pasja do ceremoniału i efektownego gestu pozwoli zapomnieć o konieczności innej, podstawowej akcji.

Ani poeta z nagrody 25 funtów ang. nie opłaci kosztów druku tomu wierszy, ani esseista otrzymujący nagrodę krytyczną Związku Pisarzy nie zdoła za nią wydać zbioru swych szkiców. (Jeśli nie zasługują na utrwalenie przez ogłoszenie ich w książce, nie należało udzielać nagrody i wprowadzać w błąd opinii). Dlatego też np. subskrycja na książkę Jasieńczyka ,,Słowo o bitwie'', choć pozbawiona rozgłosu nagrody, była zjawiskiem ważniejszym i pozytywniejszym, bo czytelnik nie tylko książkę wydał, ale nawet dopomógł w jej napisaniu, kupując autorowi czas na spokojną pracę pisarską. Tak samo słusznie postawiono sprawę przy nagrodzie ,,Kultury'' z góry zapewniając nagrodzonej pracy wydanie książkowe. Od wszelkiej nagrody praktycznie pożyteczniejsze byłoby znalezienie pracodawcy, mogącego zaofiarować normalną stawkę wynagrodzenia za cztery godziny pracy zamiast ośmiu. Uczynił taki podarek z ,,utraconego czasu'' ktoś na drugiej półkuli i w końcu, wespół z autorem, dał nam ,,Katedrę sandwiczów''. Gdzie indziej znów, także za oceanem, stała opieka kilku przemysłowców i handlowców z miejscowej Polonii zapewniła długi okres studiów i pracy pisarskiej autorowi ,,Końca Zgody Narodów''. Nie jest to powieść, którą można by napisać ,,na marginesie'' innych zajęć, bez względu na ich opłacalność i hierarchię społeczną.

Donioślejsze od nagradzania jest inwestowanie w pracę pisarza i przygotowywanie możliwości wydawniczych. Nagroda jest u nas premią za dokonywanie rzeczy niemożliwych a nie tylko wyróżnieniem wartości artystycznych. Najwyższa z nich (£100.0.0.) zapewnia trzy do czterech miesięcy pracy literackiej pod warunkiem że autor nie naruszył swych ,,obowiązków'' wobec emigracji wpadając na nienaturalny pomysł założenia rodziny. Nie dostaje się zresztą nagród co roku i nie sposób zarozumiale ich oczekiwać jako uzupełnienia skromnych zarobków.

O zarobkach, jeśli pochodzą z honorariów autorskich, jeszcze słowo. Pomyślna koniunktura gospodarcza w Europie Zachodniej usuwa troskę o znalezienie jakiejś pracy, ale zarazem paradoksalnie godzi w interesy pisarza emigracyjnego. Rośnie bowiem wskaźnik cen i zarobków, typowy znak inflacji, ale honoraria autorskie w polskim świecie utrzymują się na tej samej wysokości. Cena naszych periodyków jest na ogół wyższa od periodyków obcych i wydawcy słusznie obawiają się jej podnoszenia. Każdy więc skok w koszcie druku i papieru musi zrównoważyć zdobycie nowych prenumeratorów; nigdy to jeszcze nie zawiodło, lecz wynika stąd że pomyślne rezultaty zwiększonej sprzedaży pisma nie docierają do autora, skoro zjada je

drukarz. Nie nasyci też wydawcy ,,best-seller'' emigracyjny. Gdybyśmy mieli centralny Fundusz Obrony Kultury mógłby on wypłacać dodatki do honorariów autorskich nie narażając się nigdy na zarzut iż rozdaje zapomogi na nieokreślone cele. W każdym wypadku dotacja Funduszu wynikałaby z wykonania rzeczywistej, widomej wszystkim pracy literackiej.

Jak wszystkie inne, sprawy wyciągane spoza dekoracji uroczystych obchodów, spoza kulis ustawianych dla krzepienia serc i pognębiania przeciwników malowaną krzepą, i ta również czeka cudu dostrzeżenia jej oczywistości przez ludzi, upierających się przy odpowiedzialności za emigrację. Na zagadnienia wołające o akcję dziś, odpowiada się : jutro. W nieokreślonym ,,jutro'' ma kiedyś nastąpić stopniowa ewolucja instytucji politycznych emigracji od gerontokracji ku demokracji. Na teraz zaś mamy stałą deklamację o obronie wolnej kultury, setkę wiernych słuchaczy na wieczorach Związku Pisarzy, wzruszający gest Polaków z Glasgow i — złudzenia ,,roku tłustego''.

ZŁUDZENIA ,,ROKU TŁUSTEGO''

Złudzenia niebezpieczne bo opóźniające trzeźwą ocenę. Mamy za sobą rok naprawdę ,,tłusty'' prozą powieściową, bogatszy nawet pod tym względem od literatury krajowej. Dość przypomnieć kilka nazwisk : Miłosz, Parnicki, Mackiewicz, Wańkowicz, Jasieńczyk... Z najlepszymi powieściami 1955 roku na emigracji można zestawić bardzo niewiele nowszych pozycji, drukowanych w kraju. Maria Dąbrowska, Adolf Rudnicki, Parandowski o Petrarce w ,,Twórczości'', tylko w tym zakresie istnieje równowaga lub przewaga kraju. Pomyślny plon roczny był jednak zbiorem kilkuletnim, za jednym zamachem wydobytym ze spichrzy. Jedynie nikła część powieści, wydanych ostatnio w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku, powstała w latach 1954-1956, głównie czerpano z zapasów. Dzisiaj jednak ,,Biblioteka Autorów Polskich'' już pilnie rozgląda się za materiałem do dalszych planów wydawniczych; seria klubu książki, prowadzonego przez katolicki ośrodek ,,Veritas'', wśród 12 pozycji przewidzianych na 1956 rok obiecuje zaledwie dwie nowe powieści : M. Czuchnowskiego i M. Danilewiczowej. Będzie coraz trudniej o dobrą powieść, jeżeli zawczasu nie utoruje się jej drogi. Literaturze emigracyjnej nie grozi zamilknięcie, umiała bowiem znieść o wiele trudniejsze chwile, grozi jej natomiast rozdrobnienie. W skromnych marginesach czasu, pozostających po pracy zarobkowej, nie łatwo rodzą się większe utwory, energii starcza na szkic, artykuł, wiersz — zbyt często braknie jej na duże opowiadanie, poemat, powieść. W stosunku do ilości dobrych autorów przebywających na emigracji, mamy za mało dobrej literatury. Niech każdy z czytelników naliczy kilkunastu utalentowanych pisarzy i wyobrazi sobie, że każdy z nich nie

zajmuje się niczym co by go odrywało od pracy literackiej. Byłoby się czym pochwalić. Sprawa literatury emigracyjnej nie jest brakiem piór, lecz brakiem organizacji, brakiem energii społecznej.

„O ŻOŁNIERZU, KTÓRY NIC NIE UCIUŁAŁ"

Literacką oceną prozy Kowalewskiego zajął się już Michał Sambor. Ale książka opowiadań „O żołnierzu ciułaczu" jest także interesującym materiałem socjologicznym. Autobiograficzne notatki Kowalewskiego, z czasów kiedy autor chwytał się w Anglii przeróżnych fachów, dają obraz losów przeciętnego inteligenta-żołnierza, przepchanego pospiesznie przez PKPR, brytyjską Giełdę Pracy i energicznie „osiedlonego" w Zjednoczonym Królestwie i kuchennej suterynie jednej z wielkich restauracji. W życiu emigracji w Anglii lata które można by nazwać „fazą Lyonsa" albo „fazą zmywania talerzy" są już okresem historycznym, a opowiadania Kowalewskiego, mające ostrość drastycznego dokumentu w chwili ogłaszania ich w pismach literackich, dzisiaj nabrały — jakkolwiek brzmi to paradoksalnie, swoistego wdzięku anegdoty z przeszłości. Tak to odczuwają czytelnicy, ale nie autor i nie jego koledzy po piórze: pisarzowi emigracyjnemu, jako istocie lekkomyślnej, poświęcającej swój czas na nieopłacalną pracę literacką zamiast użycia go na opanowanie nowego zawodu, zawsze grozi powrót do tego typu zajęć. Niejeden i teraz doraźnie dorabia jakąś ciężką robotą fizyczną, stosunkowo dobrze płatną i zawsze dostępną dla dorywczego robotnika.

Pod spodem tej sprawy, jako jej tło społeczne, leży nasza gospodarka inteligencją jako określonym zasobem sił bezpośrednio po wojnie i w początkach emigracji. Inteligent, który nie był oficerem, nie miał szans ani w powojennym okresie pozostawania w wojsku, ani też w służbie w PKPR skorzystania z możliwości, jakie każdemu rozsądnemu i pracowitemu oficerowi pozwalały na utrzymanie się w szeregach inteligencji lub co najmniej zostania wykwalifikowanym pracownikiem.

Wańkowicz, wyliczając w „Monte Cassino" straty ponoszone w poszczególnych atakach, stara się podawać zawody poległych. Była to przerażająca hekatomba inteligencji, dotkliwa wyrwa w zawsze niedość licznej kadrze polskich fachowców, sięgająca od doświadczonych inżynierów, prawników, techników, agronomów (jakże bankrutowały potem polskie farmy w Walii i gospodarstwa rolne w Argentynie) do młodych maturzystów, ledwie co wypuszczonych ze szkół kadeckich w Barbarze (Palestyna). Jeżeli nawet powiedzieć sobie ze ściśniętym sercem „wojna jest wojną" (choć teraz jużeśmy chyba nauczyli się oszczędniejszego gospodarowania polską krwią i zrozumieli że walka dla satysfakcji bicia się z wrogiem może być zemstą, ale

niewiele ma wspólnego z osiąganiem celów politycznych), to jednak, po zakończeniu działań, gdy było oczywiste pozostanie wielu tysięcy na emigracji — należało zawczasu przygotowywać ludzi do czekającej ich przyszłości. Uciekano od faktów ku mrzonkom.

Ochrona inteligencji była ważnym zadaniem. Emigracje, pozbawione poważnego odsetku inteligentów, potrzebują długiego czasu na wytworzenie tej warstwy, nieodzownej dla obrony interesów politycznych i kulturalnych danej grupy narodowościowej; w tym też leży np. przyczyna powolnego zajmowania przez Polonię amerykańską należnego jej, w stosunku do liczebności, miejsca w życiu amerykańskim. Liczenie zaś na podniesienie się procentu inteligentów w drugim i trzecim pokoleniu emigracyjnym jest bardzo zawodne, ponieważ asymilacja osłabia pozytywny skutek wewnętrznego przewarstwowienia.

W tym przejściowym okresie pojęcie inteligenta ograniczono, zgodnie z angielską praktyką wojskową, do pojęcia oficera. Pospieszono się nawet z rozwiązywaniem kontraktów oficerów „czasu wojny", reszty zaś dopełnił pomysł PKPR. Organizacja wojskowa, powołana do przygotowania ludzi do życia cywilnego, była dziwolągiem jaki w samym założeniu skazany był na niewypełnienie swych zadań. Jej konstrukcja, zapewniająca złudne, bo krótkotrwałe, przywileje ograniczonej grupie, była uspokojeniem tych, którzy mogli narobić najwięcej kłopotu. Wyniki w stosunku do kosztów były mizerne. Po pewnym czasie, pod naciskiem interpelacji parlamentarnych, wprowadzono system wielomiesięcznych płatnych urlopów ze służby, zastępujących cywilnym szkoleniem zawodowym absurdy w rodzaju szeroko rozpowszechnionych... kursów grawerskich.

Lecz i tu inteligent bez stopnia oficerskiego był złapany w pułapkę bez wyjścia. Dostęp do kursów zawodowych był w praktyce bardzo trudny wobec przepełnienia kadrą oficerską (kto nie był na kursie, musiał się stawić na Giełdę Pracy, stąd zapał do nauki). Płatny urlop nie miał dla niego znaczenia, skoro nie mógłby się utrzymać z żołdu, a zresztą odmawiały mu go przepisy. Działał też nacisk angielskiego rynku pracy, łaknącego niewykwalifikowanego robotnika i wysysającego żołnierzy z PKPR sprawnie działającymi Giełdami Pracy; nie było natomiast zajęć dla ludzi z kwalifikacjami inteligenckimi, którzy dość długo mogli odrzucać zatrudnienia oferowane im przez pośrednictwo Giełdy z tym skutkiem, że po każdym kolejnym „przeczesaniu" szeregów podnosił się procent inteligentów wśród żołnierzy pozostałych jeszcze w PKPR. Zyskiwali oni szczególną wagę dla dowództw, gdyż ktoś musiał spełniać obowiązki porządkowe i administracyjne. PKPR był w miniaturze znakomitym modelem konfliktów klasowych, demonstrujących obronę stanu posiadania przez klasę górującą, pozbawioną zarazem wizji przyszłości.

Autor opowiadań ,,O żołnierzu ciułaczu'', wyposażony w jedno z najbardziej niefortunnych przygotowań do kariery wojskowej i emigracyjnej, bo w studia polonistyczne, był z góry skazany na najniższą kategorię pracy fizycznej. PKPR nie zamierzał go przygotowywać do czegokolwiek innego. Najlepszą decyzją był szybki skok na głęboką wodę, w nieznane społeczeństwo angielskie. Wbrew tytułowi książki Kowalewskiego niewielu było żołnierzy-ciułaczy, którzy potrafiliby w oparciu o swe oszczędności uzyskać nowy zawód lub własny warsztat pracy. Nie starczało na to oszczędzanie z żołdu, a do przedsiębiorstw i domów dochodziło się innymi sposobami. Przenosił więc PKPR na życie emigracyjne strukturę klasową tkwiącą u podłoża organizacji wojska. Dziesięć lat próby życia niemiłosiernie ją rozbiło, ale wiele z tych lat było dla inteligenta doszczętnie zmarnowane. Obrazki Kowalewskiego mają tę właśnie prawdę społeczną i tylko żywiołowa nienawiść do metod sowieckich i pamięć łagrów mogła tych ludzi zatrzymać na emigracji. Jakże jednak wyraźnie czuje się u Kowalewskiego przedział między jednym a drugim światem emigracyjnym; cokolwiek można tym opowiadaniom zarzucić, są one jedynym dokumentem literackim, pokazującym społeczną podszewkę emigracji.

Autor był kolejno tragarzem w kuchni restauracyjnej, pomocnikiem kuchennym, dozorcą domu, sprzątaczem, robotnikiem w betoniarni pod Londynem, pomywaczem butelek mleczarni mechanicznej, a w tych przeskokach od jednej pracy do drugiej wciąż widać ucieczkę ze złej roboty, już zbyt dojadającej, do innej wyglądającej z daleka na lepszą. Była to praca mięśni bez sposobności osiągnięcia jakichkolwiek kwalifikacji.

Obok nieznajomości przydatnego w tej sytuacji zawodu, wyziera spoza tego także i nieznajomość języka. Nie nauczyło go ani wojsko ani PKPR. Nie pomyślano o kursach językowych po zawieszeniu broni; jak we Wrześniu nie było planów odwrotu, którego należało oczekiwać jako logicznego rozwoju sytuacji, nie było również *planu* emigracji gdy perspektywa pozostania całych tysięcy na obczyźnie stała się podobnie oczywista. Zbyt gorliwe uczenie się angielskiego uważano prawie za szerzenie defetyzmu, choć jednocześnie przestrzegano przed powrotem do kraju. W szkołach można było natrafić na wizytatorów, uważających usilną pracę nad angielskim prawie za popieranie wynaradawiania. Szli potem, jako nieugięci, do zmywania talerzy, a mądrzejsza od nich młodzież zdobywała stypendia na wyższe uczenie. Autobiografia Kowalewskiego, którą można by zatytułować ,,Polak w Anglii'', urywa się na wizycie autora u wice-przewodniczącego Komitetu dla Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii. ,,Anglik wyraził wątpliwość'' — pisze autor — ,,czy takim językiem angielskim potrafię zdobyć dyplom ukończenia szkoły''. ,,Pocieszyłem staruszka zapewnieniem, że zdobywając Monte Cassino jeszcze mniej znałem angielski''.

Klasyczny przykład tromtadracji i błędnego rozumowania. Swoistą zaletą tych jędrnych opowiadań jest ich bezgraniczna naiwność, stawanie przed lustrem z zamkniętymi oczami, przyjmowanie za cnotę akurat tego co nam przynosi porażki. Rozbraja ta autentyczna szczerość. U ,,staruszka'' szczęśliwie udało się: Anglik odparł: — ,,Pan był pod Monte Cassino? Trzeba było od tego zacząć, przyjacielu''. Przypomina trochę ta rozmowa nieskończony łańcuszek petentów o posady w przedwojennej Polsce, z których każdy ,,był w Legionach''. Kowalewski dotknął jednak bolesnego punktu w sumieniu i — dostał się na kurs, do którego u Polaków nie otwierało mu drogi to iż był ,,pod Monte Cassino''. Autor ,,Śmierci tragarza Johna'' dobił się wydania swej pierwszej książki, pisze, zarabia pisaniem, mało mu czasu zostaje na dalszą autobiografię. Gdy trzeba, dorabia robotą fizyczną. Udało mu się więc tylko w połowie, poza tym zaś nastąpił powrót do punktu wyjścia: ,,part time'' zamiast ,,full time'' w pracy mięśni i bez kwalifikacji zawodowych.

Nie idzie mi o budzenie współczucia dla określonej jednostki, która go zresztą nie szuka, przyjmuje swój los z warszawskim humorem, a sytuację pisarza określa trafiającym w sedno aforyzmem: ,,Wyzyskiwaczy nie ma ale wyzysk jest''. Idzie o całość zjawiska. Za istniejący stan rzeczy odpowiedzialne jest społeczeństwo, zaspakajające troskę o kulturę oklaskiwaniem nagrodzonych, po części odpowiedzialny jest w swym własnym, indywidualnym wypadku autor opowiadań, nie zdający sobie sprawy z rzeczywistego układu stosunków.

Jeżeli w najbliższych dziesięciu latach czytelnictwo książki i prasy polskiej na emigracji nie ogarnie młodego pokolenia, zastępującego wyrwy w starszym, można się obawiać że ,,part time'' eks-tragarza Johna zacznie się rozrastać w stronę ,,full time'' zajęcia. I jeszcze jeden czynnik będzie odgrywał rolę — małżeństwa mieszane, proste następstwo przewagi mężczyzn w grupie 25-45 lat. W małżeństwach tych rzadko żona uczy się języka męża, w domu powstaje atmosfera angielska, francuska czy włoska, i w końcu pisarz emigracyjny będzie mógł tam dotrzeć tylko w przekładzie i tylko gdy będzie miał coś interesującego do powiedzenia także i dla obcego czytelnika. Wszystkich, którzy z pogodnym uśmiechem przeczytali dowcipną, tragikomiczną epopeę żołnierza-ciułacza, który nic nie uciułał, niczego się nie nauczył i kaleczy język kraju, w którym mieszka, namawiam, by wyobrazili sobie tę arcycharakterystyczną książkę w przekładzie angielskim i — jej efekt.

CZY ,,POLSKA W FORMIE, ANGIELSKA W TREŚCI''?

Pokolenie, które obecnie zaczęło opuszczać zagraniczne uniwersytety z dyplomami w kieszeniach posiada klucz do przy-

szłości emigracji. Przy procesie, który można nazwać ,,wymianą pokoleń", zmniejszy się liczba humanistów, ilość polonistów będzie znikoma, a polskiego pochodzenia znawcy historii polskiej na Zachodzie — prawie znikną. Studiom polskim grozi zamarcie, ponieważ nawet i tu przytłacza nas olbrzym rosyjski: Studenci, uzyskujący na uniwersytetach amerykańskich doktoraty z historii i literatury polskiej nie znajdują w tym zakresie stanowisk naukowych i idą do prac rusycystycznych. Gdyby pewnego dnia zabrano się z rozmachem do realizowania uchwał strassburskich, gdyby nagle zaczęły powstawać katedry i lektoraty studiów polonistycznych, niezadługo nie bylibyśmy w stanie obsadzić ich ludźmi o dostatecznych kwalifikacjach naukowych i źródłowej znajomości okresu 1945-1955.

Stopniowo zmienia się skład klasowy inteligencji emigracyjnej, przybywa bowiem studentów pochodzenia chłopskiego i robotniczego. W zawodach, wymagających przejścia przez wyższą uczelnię, pozostają często dzieci obecnego pokolenia inteligenckiego, ale łączy się z tym inna niż przed wojną, w Polsce, zasada doboru. Tylko niewiele rodzin z dawnej inteligencji doszło do takiego stopnia zamożności, by opłacić kosztowny okres studiów wyższych. Powstaje więc, w sposób iście idealny i prawie nieosiągalny w ustabilizowanym społeczeństwie, nowa, młoda, ,,poulska" inteligencja: wchodzą do niej najzdolniejsi, najwytrwalsi, najpracowitsi.

Jaki będzie ich stosunek do kultury rodzimej? Historię i literaturę znają ci, co przeszli przez szkoły polskie podczas wojny lub bezpośrednio po wojnie, młodsi tyle będą wiedzieli, ile nauczą ich ciągle kulejące, sobotnie kursy tzw. ,,przedmiotów ojczystych" (kto w końcu będzie na nich wykładał?), chyba że wyjdą z paru polskich gimnazjów, istniejących zagranicą. Będzie to jednak nauka z książki, a nie ,,nauka doznania". Już dzisiaj lekarze i inżynierowie, zbliżający się do trzydziestki, należący do roczników 1927-1932, rzadko mają za sobą bezpośrednie doświadczenie polskiego losu w postaci udziału w ostatniej fazie wojny, wywiezienia w dzieciństwie do Rosji, albo uczestniczenia w zaraniu młodości w ruchu podziemnym. Najbliższe prawdy jest przypuszczenie, że utrzymanie związku z polskością i jej sprawami będzie zależeć od ich własnego, świadomego zainteresowania w ostatecznie formującym dojrzałego człowieka okresie 20-30 lat. Prawdziwą więc niespodzianką jest wyłonienie się właśnie z tych roczników grupy poetyckiej, w której poeci dwudziestoletni są nawet bardziej obiecujący od takich, co jeszcze mogli pamiętać Polskę.

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie urządził im w Londynie wieczór autorski, poprzedzony wstępem własnego krytyka grupy, J. Jaksińskiego. Z wierszy drukowanych w pismach literackich, z artykułów ogłaszanych przez niektórych w ,,Życiu", znamy nazwiska Bohdana Czaykowskiego, Jerzego Sito, Bolesława Taborskiego, Zygmunta Ławrynowicza, Adama

Czerniawskiego i Janusza Ihnatowicza. Studia w tych samych miastach, w Londynie i Dublinie, umożliwiły im spotkanie się i wytworzenie atmosfery, sprzyjającej próbom literackim. Ale i oni już zaczęli podlegać jednemu z praw powojennej emigracji: rozproszeniu. Jeden jest w Niemczech Zachodnich, drugi wyjechał do Kanady. Bez polskiej prasy literackiej, rozchodzącej się po całym świecie, wzajemny ich związek szybko uległby zerwaniu.

Rola debiutantów nie może długo zabezpieczać młodych poetów przed oceną krytyczną na tle tradycji literackiej i współczesnego stanu poezji. Ciekawi jednak najpierw skąd przychodzą i dokąd zdążają ci poeci, narodzeni jako pisarze poza Polską, czyli autentycznie ,,emigracyjni'' albo raczej już ,,polonijni''. W wierszach pisanych polszczyzną czystą i nieubogą, od razu uderza obfite czerpanie ze wzorów poezji angielskiej. Próbując smaku poezji, polonizują oni swój materiał literacki, wyniesiony z lektury. Jest to, oczywiście, głównie lektura angielska — dwóch z nich kończyło anglistykę. Możliwe że w dalszym ich rozwoju czerpanie z obcej tradycji złączy się z odnowieniem tradycji rodzimej, jest wszakże wyraźny przeskok między poezją przedwojenną, nawet między większością wierszy ogłaszanych po wojnie w kraju, czy np. poezją Miłosza, a wierszami Czerniawskiego i Sito, dwóch najmłodszych. Słuchając tych wierszy, czytanych przez autorów i ich koleżanki, zadaje się sobie po cichu pytanie, czy nie byłoby naturalniejsze gdyby debiutanci wybrali język angielski, czy wybór polszczyzny wskazuje na ich siłę czy na ich słabość?

Ważna jest odpowiedź na pytanie, czy wolą się wypowiadać po polsku, czy przychodzi im to łatwiej, czy też chcą świadomie należeć do polskiej literatury, zamiast szukać sobie miejsca w europejskości poprzez język angielski. A może czują, że na gruncie angielskim ich start byłby trudniejszy, że nie znaleźliby tak szybko własnej publiczności? Starsi są niewątpliwie spóźnieni w stosunku do swych angielskich rówieśników, czy dorobku poetów Skamandra, uzyskanego w analogicznym okresie życia. Dziś piszą zapewne dla swych kolegów; jest to poetycka rozmowa tocząca się wewnątrz kręgu jednego pokolenia, odzywające się po polsku echo wspólnego zetknięcia się z kulturą angielską. Przełomową chwilą będzie uświadomienie sobie społecznego znaczenia tej poezji, zastanowienie się nad jej zasięgiem, trwałością, związkami z przeszłością i perspektywą przyszłości. Tak długo trwa rajska niewinność pisarza, póki samego siebie nie zapyta dla kogo pisze.

Zastanawia także pozorna ich nowoczesność. Mistrzem jest im T.S. Eliot z lat trzydziestych, a nie np. Dylan Thomas, powojenny C. Day Lewis albo W.H. Auden ze współczesnej fazy. Zapewne też chciwie chłoną Norwida, upajając się jego trudnościami, żądaniem od słowa by wydało więcej niż zawiera, powtarzając w ten sposób ostatnie lata przed wojną. Rytm, otrzą-

śnięty z dawnych miar i strof, szukający harmonii nowej muzyki dekorują starymi świecidełkami, księżycami, szmaragdami, rekwizytem sielskiej epoki, jak panna dobierająca do najmodniejszej fryzury autentyczną wiktoriańską broszkę.

Reakcja na sztuczność poetyckiego języka wytworzyła manierę prozaizmów, dziś już zostawioną daleko w tyle przez powojenną poezję francuską i anglosaską. Niełatwo jest pisać i bez retoryki, i bez rozłamywania zwykłej prozy na monotonne układy rytmiczne, bez ograniczenia się do prozaicznego stwierdzania faktu pod wpływem ambicji pełnego wykorzystania słowa i odrzucenia wszelkiej frazeologii, słowem — pisać oszczędną, zgęszczoną, lecz i tym silniejszą i prawdziwszą poezją. Współczesna forma wymaga od autora więcej niż ekwilibrystyka Skamandra i autentyzm awangardy; w czasach gładkich strof i rymów łatwiej było udawać poezję. Młodzi autorzy z wieczoru Związku Pisarzy mieszają jeszcze narzędzia prozy i poezji; dla każdego z nich rok prozy narracyjnej byłby znakomitą szkołą.

Odzywa się w tych wierszach powściągliwy erotyzm, niewiele w nich miłości świata i życia, przeważa jakby nieufna rezerwa, z rzadka wraca echo wojny. Nie ujawniają ich utwory na tyle określonego światopoglądu by wolno mówić o postawie wewnętrznej, wspólnej całej grupie. Brak akcentów ideologicznych jest charakterystyczny. W stosunku do poezji, jaką spotykamy na co dzień w pismach literackich emigracji sprawia niemal wrażenie ciszy nie spotykanie motywów patriotycznych, wygrywania na strunach tęsknoty, zawodu, nieszczęścia. Młodzi są wyraźnie odcięci od katastrofy 1939 i 1944 roku, zwróceni ku zupełnie niejasnej dla nich przyszłości, ku własnemu życiu, zupełnie odrębnemu od wszystkiego co było. Nie mają jeszcze jego wizji, jeśli wolno sądzić po utworach usłyszanych w ramach jednego wieczoru. Udany, celny wiersz Taborskiego o „Okularach Towiańskiego", wykorzystanych jako symbol zamętu umysłowego w starszym pokoleniu emigracyjnym uderzał wstecz, nic nie wytyczało dalszej drogi. Chwilami całość przypominała młodzież, której w szkole na próżno np. usiłowano wytłumaczyć pewne prawa gospodarcze i konflikty społeczne: wychowana w wojsku i przez wojsko, bez żadnych trosk materialnych nic z tego rozumiała, nie była w stanie przyswoić sobie np. pojęcia rewolucji.

Grupa młodych poetów wydawała się wyspą, wyspą szczęśliwą, oderwaną w wielkim kataklizmie od starego lądu, poniesioną prądem na szeroki ocean; nie dopłynęła jeszcze do żadnego lądu.

DĄBROWSKA W ROLI ORZESZKOWEJ

Ukazała się w Polsce nowa książka Marii Dąbrowskiej, pierwszy po wojnie wybór jej świeżej prozy. W Warszawie rozchwytano nakład w kilka godzin. Szczęśliwcy i przezorni mieli

znajome w księgarniach, dające znać do domu telefonicznie o nadejściu „Gwiazdy Zarannej”, inni musieli szukać tomu po całym mieście. Na pierwszy ogień — wydrukowano 30.000. Gdyby to było przed wojną cała obecna inteligencja emigracyjna mówiłaby o nowych opowiadaniach autorki „Nocy i Dni”, byłaby ta książka „a conversational necessity”. Jak dziś w Londynie „En attendant Godot”.

Wieczór, poświęcony Dąbrowskiej jako działaczce społecznej i pisarce, urządziło Zjednoczenie Polek, wyręczając mniej rychły Związek Pisarzy. Zbierając pracowicie publiczność, zawiadomiono o wieczorze kierownictwo jednej z większych organizacji młodzieży. Odzew był sceptyczny: — Dąbrowska? Chyba nie przyjdą, kto u nas czyta Dąbrowską? Stare pamiętniki... Czasy po powstaniu styczniowym, rok 1905, organizacje socjalistyczne i niepodległościowe, praca nad zdobyciem dwudziestu lat istnienia, które też już przeminęło. Istotnie — dla słuchaczy urodzonych koło 1935 roku jest to tak dalekie jak treść powieści Orzeszkowej. Nie wiele zmienia fakt, że Dąbrowska była przed wojną wielkim nazwiskiem literackim, że pisze i dziś. Jeżeli młodzież uniwersytecka kiedyś dojdzie do tego kraju, gdzie tak rozchwytywano książkę Marii Dąbrowskiej, wówczas autorka będzie już należała do historii literatury.

Czy tylko młodymi trzeba się gorszyć? Czy starsi czytają Dąbrowską? W zaimprowizowanej ankiecie wśród znajomych okazało się, że dołożyli starań by przeczytać ostatnią powieść Greene'a. Lepiej wiedzą co z nim się dzieje, niż co dziś porabia Dąbrowska. Są także zajęci „obroną wolnego słowa, walką o niezależną literaturę”. Ale chyba dobrze się stało że nad książką znakomitej pisarki, dojrzałego serca, myśli uczciwej, pochyliły się głowy kobiece.

Bo to — jak się mówi — ostatecznie „babska literatura”, więc może załatwiono rzecz we właściwej proporcji, „po babsku”?... Z wieczoru tego warto przytoczyć zdanie z pięknego przemówienia Herminii Naglerowej, przypominającej jak kiedyś we wspólnej pracy w Związku Pisarzy w Warszawie Dąbrowska troszczyła się by „prawo jednostki nie zostało zlekceważone w kompromisie wymaganym przez interes ogółu”. Babskie troski, prawda?...

Zdzisław BRONCEL

Scientyfika i polityka

Ustalmy przede wszystkim terminologię. Spór, w którym obie strony mówią o czymś innym, nie ma sensu. Nie myślę, rzecz jasna, o definicji słownikowej. Tę pozostawmy profesorom gimnazjalnym („Jaka jest różnica między kulturą a cywilizacją?"), amatorom krzyżówek i cioci Andzi („Ojczyzna to jest ziemia ojczysta").

Mówiąc o nauce i naukowcach, mam na myśli nauki ścisłe i tych którzy je praktykują. Ale co to są „nauki ścisłe" i jak nazwać zwięzłą polszczyzną ich kapłanów i proroków? Anglicy mają na to nazwy „sciences" i „scientist" i wszystko składa się jak scyzoryk, precyzyjnie i pewnie. Od razu wiadomo co jest czym i kto jest kim, nawet jeśli nigdy przedtem scyzoryka nie widzieliśmy na oczy. Polski przymiotnik „ścisły" ogranicza jednak „sciences" do matematyki, fizyki, chemii i astronomii, a pozostawia poza nawiasem biologię, geologię i wszystkie nauki o człowieku. A trudność wzrasta gdy podchodzimy do słowa „scientist". „Uczony" i „naukowiec" to jest angielski „scholar" i nie obejmuje ani inżynierów, ani chemików, matematyków i fizyków, którzy nie pracują badawczo. Ksawery Pruszyński ukuł raz słowo „scientyfika" z którego można by wyprowadzić „scientystę" dla ułatwienia życia popularyzatorom naukowym. Ale czy scientysta przeżyje jad czerwonego redaktorskiego atramentu oraz tradycyjny list Tadeusza Felsztyna? Scientysta jest nb. słowem tak nowym, że nawet język angielski zna słowo „scientist" zaledwie od 1840 roku i poza zwięzłością nie posiada zalet które by przenosiły je ponad inne, bardziej złożone określenia. Stwierdźmy więc, jak przystało na semantyków, że „scientyfika", „nauki ścisłe", „wiedza", itd. są tylko skrótami na określenie czegoś, czego żadnym skrótem, żadnym słowem, żadnym symbolem określić nie można. Tak jak nie można drzewa określić fotografią, bo nie widać na niej ruchu gałęzi na wietrze, nie słychać szumu liści, nie sposób określić wieku drzewa, ani naszych myśli i wrażeń gdy na drzewo w danej chwili patrzymy. Słowa są skrótami, stenografią rze-

czywistości, narzędziem wyrażania myśli i jak wszystkie narzędzia są niedoskonałym tworem ludzkim. O tym należy pamiętać jeśli chcemy aby słowa nam służyły.

Scientyfika — jak każde inne pojęcie — zmieniała barwę i kształt w rozmaitych epokach swego rozwoju. Pierwotna scientyfika człowieka przed-greckiego była głównie użytkowa. Jej chlubą było koło, lewar, ogień, rolnictwo, żegluga, zarodki metalurgii. Ale znała także pierwsze wzloty abstrakcji : matematykę i geometrię ! Babilończycy umieli obliczać powierzchnie i znali wartość π a ich astronomia rozróżniała ruchy planet. Egipcjanie celowali w medycynie (w której niestety wzloty abstrakcji były faszerowane magią i niezawsze wychodziły na zdrowie pacjentom) i w astronomii (która śladem medycyny zbyt często wpadała w astrologię). Koniec końców Egipt nie odbiegł więc od użytkowości. Rozdźwięk pomiędzy praktyką budowniczych, rolników, żeglarzy, lekarzy a ,,teorią'' kapłanów, był konfliktem praktycznym. Kapłani mieli także inne cele, które językiem dzisiejszym nazwalibyśmy ,,polityką''.

U Greków spotykamy podobny dualizm. Grecy umieli uogólniać fakty doświadczalne i wysnuwać z praw naukowych wnioski rzutujące w najrozmaitsze dziedziny, ale jakoś nie umieli odwrócić tej metody i tylko rzadko — i podejrzewam, że przypadkowo — szukali doświadczalnego potwierdzenia teorii. Prowadziło to w prostej linii do dociekań filozoficznych w których prawa przyrody grały rolę podrzędną a polityka i etyka królowały samowładnie. Przyroda podlegała bogom, a bogowie — jak już bogowie — czasem zgadzali się z oczywistymi faktami ale częściej naginali fakty do swego widzimisię. Swego... to znaczy do widzimisię filozofa lub wyroczni przemawiających w imieniu bogów. Tak więc Platon wierzy raczej swemu rozumowi niż obserwacjom astronomicznym, a nawet Arystoteles ucieka się do pustego werbalizmu gdy spotyka się z faktami biologicznymi których nie rozumie.

Średniowiecze niewiele zmieniło w tym układzie sił. Zaakcentowało tylko dysproporcję pomiędzy filozofią-teologią a scientyfiką-rzemiosłem. Wprawdzie scholastycyzm, który wierzył, że Boga (i wszechświat) można pojąć rozumem, był w pewnym sensie prekursorem współczesnej scientyfiki która wierzy w logikę wszechświata (i Boga), ale akcent siły wciąż unosił się nad filozofią. Filozofią, której uosobieniem był potężny, uniwersalny kościół. Jedynym niepokojącym objawem w tej bezwzględnej przewadze czystej myśli (,,homo est maxime mens'') był postęp techniczny który w ciemnej, średniowiecznej Europie zadziwiające uczynił postępy. Północni barbarzyńcy zasilili starą cywilizację śródziemnomorską szeregiem innowacji. Nie wiem gdzie w skali wartości umieścić nordyckie portki, które zastąpiły południową togę, ale zastąpienie oliwy masłem, wprowadzenie żyta, owsa, piwa (o tyle bardziej współczesnego w swej złożoności niż łatwe, naturalne, południowe wino), pierwsze od

prahistorii zasadnicze ulepszenie pługu, które umożliwiło wiosenne zasiewy, chomonto, które zastąpiło woły końmi, papier, wrzeciono, to są wcale pokaźne osiągnięcia czysto świeckie, nie filozoficzne. Czy dziwota, że kościół tak przeraził się nauki, że prażył ją rozżarzonym żelazem inkwizycji. Scientyfika porastała w siłę bo dawała postęp materialnym szerokim rzeszom a nawóz tego wzrastającego dobrobytu użyźniał subwersję groźną dla przewagi kościoła. Kościoła czy filozofii ?

To są, rzecz jasna, szerokie uogólnienia. Konflikt nie był tak widoczny jakby wynikało z tego krótkiego wykazu sprzeczności, bo konflikty społeczne nie były dawniej tak oczywiste jak dzisiaj. Przeciętny człowiek żył w ciasnym kole rodziny i sąsiadów i niewiele troszczył się o szerokie powiązania polityczno-społeczne od których odgradzały go trudności komunikacyjne. Niemniej, choć nie oczywisty i nie rozpowszechniony, spór istniał. Z jednej strony wynalazki polepszające ciężkie warunki bytowania, z drugiej lęk kościoła (i filozofii) przed nowym, innym i docześnie bardziej powabnym prądem umysłowym. Pod koniec oficjalnego średniowiecza ten konflikt wybuchnął płomieniem reformacji. Kościół kurczowo trzymał się starych ,,prawd'', uznanych i rozpowszechnionych i panicznie bał się nowatorstwa i postępu. Postęp pachniał subwersją. Subwersja zagrażała władzy.

Konflikt pomiędzy nauką a kościołem nie zakończył się ani zwycięstwem nauki ani zwycięstwem kościoła. Konflikt się nie zakończył lecz jego płaszczyzna przesunęła się tak znacząco, że wydawało się iż powstał nowy spór w łonie samej nauki. Przedstawicielami sporu byli Anglik, Francis Bacon i Francuz, René Descartes. Bacon, twórca metody doświadczalnej (w Polsce lepiej znany jako ten który ,,napisał Szekspira'') i Descartes, twórca metody logicznej. Bacon, który wychodząc z doświadczenia wyciągał swe wnioski indukcją i Descartes, który za podstawę swej metody wziął wszystko obejmujący system z którego dedukcją logiczną budował praktycznie ważne wnioski. Więc znowu doświadczenie przeciw matematyce. Praktyka przeciw teorii ! Ale z wiele znaczącym przesunięciem ! Praktyka Bacona posługuje się teorią a teoria Descartes'a nie odżegnuje się od praktyki. Spór się zwęził, z praktyką wciąż na lewicy a z teorią wciąż na prawicy ale siła odśrodkowa sporu odrzuciła poza ramy scientyfiki rzemiosło i kościół. Po raz pierwszy, nauka i filozofia, choć wciąż jeszcze skłócone znalazły się po tej samej stronie barykady a kościół i pospólstwo po drugiej.

Jest rzeczą ciekawą, choć trudno ocenić bezstronnie wagę i powody tego zjawiska, że od tego czasu zauważono znaczące przesunięcie środka ciężkości scientyfiki z krajów katolickich do krajów protestanckich. Więcej wybitnych uczonych i filozofów rodzi się w Anglii, Holandii i Niemczech niż we Włoszech, Francji, Hiszpanii i Polsce. W krajach protestanckich, szczególnie w Anglii scientyfika i scientyści zyskali także uznanie

społeczne, którego nie zawsze dawały im kraje katolickie. Jakiekolwiek były powody tego pokrewieństwa między scientyfiką a protestantyzmem — a było ich niewątpliwie wiele i nie były koniecznie natury religijnej — bunt nauki przeciw uznanym prawdom i protest reformacji przeciw uznanym autorytetom, dawały doskonałą płaszczyznę porozumienia.

Podobnie także i znowu z powodów nie zawsze uchwytnych choć tak sugestywnych, że kuszą do gołosłownych uogólnień — niektóre narodowości miały większe zamiłowanie czy zdolności do poszczególnych metod naukowych. Anglicy byli głównie eksperymentatorami a Francuzi teoretykami. Francuzi dali scientyfice Laplace'a i teorię mechaniki i astronomii, Lavoisiera i teorię chemii, Lamarcka i teorię ewolucji. Ciekawe jest także, że w XVIII wieku jedynie we Francji „literatura piękna zainteresowała się scientyfiką". A Anglicy ...wynaleźli maszynę parową i zdobyli imperium.

Nasze „rasistowskie" rozważania nie byłyby jednek pełne bez wspomnienia niemieckiej *Naturphilosophie*. Mechanistyczna filozofia Descartesa wywodząca się z kosmologii Newtona patrzała na świat-maszynę w którym materia była martwa i poruszała się popychana zewnętrzną mechaniczną siłą. Witalistyczna *Naturphilosophie* uważała natomiast, że materia żyje, że przenika ją siła żywotna, która rządzi jej rozwojem. Stąd indywidualizm niezależny od pobudek zewnętrznych. Gołosłowne rozważania *Naturphilosophie* nie oparte o naukowe obserwacje mają znaczenie tylko dlatego, że od niej wiedzie droga gładka i ubita wprost w dialektykę heglowską i w nową schizmę między scientyfiką a filozofią. A skoro zapuściliśmy się w gąszcz gołosłowia, czyż tak trudno sobie wyobrazić, że te rozmaite prądy i skłonności narodowe zawiodły Anglię na drogę liberalnego *laissez-fair*, praktycznej, nieplanowanej indukcji, pchnęły Francję w ramiona encyklopedystów i Wielkiej Rewolucji a Niemcy w szarlatańswo mistyki, której ukoronowaniem był Hitler?

I tak wchodzimy do współczesności. Tego zadziwiającego okresu w którym spór pomiędzy scientyfiką a polityką, podniesiony do którejś tam potęgi, przenika wszystkie objawy życia. Religia i pospólstwo, wyrzucone przez determinizm poza nawias ujmujący naukę i filozofię, znalazły się, rozmaitymi sztukami i przedziwną algebrą, znowu w samym środku sporu. Determinizm naukowy, wywodzący swój rodowód od Newtona, znalazł ludzkim, arcyludzkim zwyczajem, entuzjastów pomiędzy filozofami, którzy przełożyli go na materializm filozoficzny, twierdzący, że martwa natura jest jedyną rzeczywistością wszechświata. Skoro prawo przyczyny i skutku tak doskonale działa w scientyfice, dlaczego człowiek miałby się spod tego prawa wyłamać. „Byłoby rzeczą nad wyraz dziwną gdyby cała przyroda i wszystkie gwiazdy musiały być posłuszne odwiecznym prawom a tylko mała istota, pięć stóp wysoka, sprzeciwiając się tym prawom, mogła robić co chce według swego widzi-

misię'' (Voltaire). Przez filozofów do polityków a przez polityków do pospólstwa, czerwień determinizmu zalała kulę ziemską, niepomna tego, że rewolucja naukowa XX wieku, przekreśla kosmologię Newtona, że filozofia XX wieku, znowu dla odmiany ramię w ramię z nauką, odrzuca twardą logikę przyczyny i skutku, że świat jaki widzimy dzisiaj oczami nauki jest światem indeterminizmu, światem który z niepewności i przypadku urobił budulec niewzruszalny, konkretny i tak realnie groźny jak energia atomowa.

Życie nie płynie równo odmierzonymi okresami, których jeden zaczyna się tam gdzie się drugi kończy a nauka i filozofia, niby przyjazne a niby skłócone, nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni łudzą prostaczków sugestywnymi aluzjami. Ale nie jest ważne — życiowo ważne — czy aluzje są prawdziwe a powinowactwo jednej krwi, nie jest ważne czy ktoś ma rację tłumacząc determinizm (lub indeterminizm) z fizyki w politykę. Nie jest ważne czy prawda jest prawdą, lecz, że ktoś w nią wierzy! Historia ludzkości urobiona jest z prawd w które ludzie wierzą, w imię których żyją i za które giną. Prawd zmiennych, prawd ułudnych, prawd niezrozumianych, prawd niezrozumiałych.

◆

Scientyfika wyraża się rozmaicie. Matematyką, wykresami, modelami. Słowa nauk ścisłych uzupełniają tylko matematyczny wyraz, wygładzają chropowatości, ułatwiają zrozumienie. Polityka natomiast zna *tylko* słowa na wyrażanie myśli, a wiemy jak trudnym i jak ułomnym narzędziem są słowa. Same słowa!

Słowa w które wierzymy jak w talizman chybiają celu. Narzędzie staje się panem zamiast być sługą. Niektóre religie np. uświęcają imię Boga. Wypowiedzenie na głos imienia Bożego jest świętokradztwem. Słowo, dźwięk, drganie fal powietrznych, urasta w tych religiach do rozmiarów tak niepojętych i tak rozmaicie pojętych jak Bóg. Jest to podobnym uproszczeniem jak zrównanie sztandaru (który jest kawałkiem kolorowego płótna) z państwem (które jest związkiem geografii, historii a nade wszystko ludzi), lub jak groteskowe pojęcie ,,obrazy narodu'', modne w pewnych sferach przedwojennej Polski. Tak jak gdyby słowo lub gest — symbole obrazy — mogły uszkodzić tak nieokreślone i wieloznaczne pojęcie którego symbolem jest słowo ,,naród''.

Dla endeka w sporze politycznym każdy pepesowiec jest łobuzem a dla socjalisty każdy endek jest draniem jeśli nastąpi mu na polityczny nagniotek. Nawet takie znane zdawałoby się określenia jak kapitalista, komunista, demokrata, proletariusz, faszysta itp. mają najrozmaitsze znaczenie zależnie od tego kto kiedy i w jakim humorze je używa. ,,Komendant'' miał inne rzeczowe i sentymentalne znaczenie dla piłsudczyka a inne dla wyznawcy Dmowskiego. ,,Żyd'' był czymś innym dla hitlerow-

ca a czymś innym dla sjonisty. Cała teoretyczna nadbudowa polityki posługuje się słownictwem tak wieloznacznym, że aż bez znaczenia. W scientyfice także spotykamy rozmaite interpretacje określeń naukowych. Słowo ,,czysty'' ma np. w chemii bardzo szeroką gamę znaczeń. ,,Czystość'' chemiczną mierzy się ilością obcych domieszek, lecz zależnie od celu do jakiego nam dana substancja chemiczna jest potrzebna ,,czystość'' może się wyrazić cyfrą 10%, 1%, 0,1% lub 0,001% obcych domieszek. Czystość można jednak mierzyć jeszcze inaczej. Idealnie czysty wodór może się składać z mieszaniny trzech izotopów (wodoru, deuteru i trytu) i jest dla pewnych niezbyt budujących celów brudny. (Proszę zauważyć subtelną powściągliwość tego opisu bomby wodorowej). Na inne wreszcie szkopuły natrafia problem czystości w biochemii. Czystość preparatów biochemicznych wyraża się ich aktywnością a aktywność jest zależna od metody czyszczenia. Ta rozmaitość ,,czystości'' jest jednak uznana i rozumiana w naukowej dyskusji i nikomu nie wpadnie na myśl posądzenie przeciwnika o ,,parszywość'' tylko dlatego, że jego pojęcie ,,czystości'' oparte jest o inne mierniki. Scientyfika wymaga bezwzględnej uczciwości w opisie i doborze faktów, rozumie jednak, że ich ścisłość zależna jest od bardzo wielu czynników i że nie zawsze warto i nie zawsze trzeba być ścisłym. Fakty polityczne natomiast nigdy nie są ścisłe, rzadko kiedy uczciwe i bezpośrednie mimo notorycznej ,,nieskazitelności'' polityków i zawsze wydają się (politykom) warte aby za nie poświęcić życie (niepolityków). Spróbuj przypomnieć facetowi który przed wyborami obiecywał ci złote góry, że nie dotrzymał przyrzeczenia a natychmiast zaleje cię powodzią frazesów usiłujących rozcieńczyć twe zarzuty, a jeśli się to nie uda, zwyzywa cię od bolszewików z tej — a od faszystów z tamtej strony żelaznej kurtyny. Uczony wątpi, polityk jest nieomylny. Fakty nauki są zmienne, fakty polityki wieczne! Wierz komu wolisz, czytelniku!

Nie dajmy się jednak uwieść łatwiźnie dwuwartościowej logiki. Wybierając naukę z powodu jej prawdomówności nie zaprzeczamy innych wartości polityki. Stwierdzamy tylko, że w doborze faktów, scientyfika jest bardziej wiarygodna.

Scientyfika prowadzi zresztą także podwójne życie. Życie teorii i życie praktyki. Teorii atomowej i praktyki bomby, jeśli koniecznie trzeba przykładu. Nie oznacza to schizofrenii typu dr. Jekyll i Mr. Hyde. Sprawa jest bardziej przemyślnie ciosana. Od dawna zastanawiało mnie dlaczego amerykańskie ,,comics'' przedstawiają uczonego (zawsze w białym kitlu, zawsze w okularach i zawsze w laboratorium) jako mieszaninę wariata, zbrodniarza i geniusza. Może winien jest temu Stevenson, może jakiś kompleks narodowy a może lęk podobny temu, który kazał Wacławowi Zbyszewskiemu marzyć (w liście do ,,Wiadomości'') o zsyłce uczonych na wyspę bezludną. Z kokotami i szampanem ale bez kitlów, okularów i laboratorium. Amery-

kanie boją się teorii, Zbyszewski boi się doświadczenia. Ale czy można upraszczać scientyfikę do dramatycznego: czarne czy białe? Dwa oblicza nauki nie muszą być konfliktem, lecz mogą być jak dwaj bracia nierozłącznie związani ale żyjący życiem własnym; noszący dla świata to samo nazwisko ale tak różni ciałem i duszą jak różnie geny rodzicielskie przemieszały się w ich poczęciu. Niestety nawet scientyści nie zawsze rozróżniają pomiędzy prawem a teorią, regułą porządkującą doświadczenia a koncepcją rzutującą te doświadczenia w przestrzeń; praktyczną i bezwzględnie ważną konkluzją a hipotezą tak długo ważną jak długo jest urodzajna; zbiorową wartością praktyki a kapryśnym indywidualizmem teorii.

Różnica między prawem naukowym a teorią jest różnicą pomiędzy ,,zrobić'' a ,,zrozumieć''. Można zrobić nie rozumiejąc tak jak można rozumieć... intuicją. Mechanik nie musi ,,kapować'' termodynamiki aby naprawić auto. Świat wynalazków praktycznych jest bowiem światem sam w sobie. Światem który można zawsze przełożyć na rzeczywistość uchwytną zmysłami. Teoria, spekulacja umysłowa, ,,zrozumienie'', działają na innej płaszczyźnie. Zbyt mało wiemy o mechaniźmie myśli aby być tak stuprocentowo pewnymi naszej intuicji jak pewni jesteśmy naszego auta. Determinizm skutecznie działa w praktyce, ale teoria — zwłaszcza od czasu gdy zrozumiała powiązania między obserwacją a obserwatorem — wymaga nie tylko matematyki i logiki ale także zrozumienia powiązań pomiędzy umysłem ludzkim a matematyką czy logiką. Zrozumienia którego dotąd nie mamy. To co wiemy jest tak oszałamiające rozmiarem powikłań i skrzyżowań, że nie sposób uchwycić mnóstwa przyczyn i skutków inaczej jak statystycznie. Możemy więc znać tylko prawdopodobieństwo naszych teorii, nigdy ich prawdę. A dzisiaj nie znamy nawet dobrze prawdopodobieństwa.

Tu wyrasta jednak nowa przeszkoda. Nasze nawyki językowe podsuwają nam niewłaściwe słowa. Mówimy o ,,prawdzie'' teorii, tak jak mówimy o ,,prawdzie'' polityki i stwarzamy pozór prawdy semantycznie fałszywy i nieużyteczny. Prawda teorii — podobnie jak prawda polityki — jest tak długo prawdą jak długo *zdajemy sobie sprawę* z tego, że nie jest prawdą ostateczną. Niestety zbyt często o tym zapominamy. Nasze osobiste przekonania ogłaszamy za nieomylne. Allah jest jeden i jeden jego prorok!

Praktyka i teoria wywodzą się z jednego pnia i obie służą nauce, więc w naszej niewiedzy przypisujemy im jedno życie i uporczywie wmawiamy teorii sprawy praktyki a praktyce sprawy teorii. O bombę atomową obwiniamy tajemniczych ,,atomistów'' (niewątpliwie w białym kitlu, w okularach i w laboratorium), bo choć nie znamy atomowego abecadła, rzutując analogią z praktyki wiemy, że to na pewno jakiś ,,ktoś'' lub paru ,,ktosiów'' przemieszało w tyglu czarnoksięskim jad wszystkich przesądów i wszystkich uprzedzeń. Wbrew faktom i logice, na-

wet wbrew chłopskiemu rozumowi, winimy scientystów o bombę, bo nie umiemy rozwikłać semantycznego węzła. Dwa oblicza nauki są w tym związku naprawdę złowróżbne. Półżartobliwa sugestia Zbyszewskiego aby atomistów zesłać na wyspę bezludną (z kokotami i szampanem ale bez papieru, ołówków i innych narzędzi naukowych), jest dlatego niefortunna, że jest wyrazem dość nagminnych przekonań. Ponieważ „praktyka" bomby nas przeraża i ponieważ badania o budowie materii dały teoretyczną podstawę bombie atomowej i ponieważ inżynierowie i technicy budujący bombę posługują się usłużną (choć abstrakcyjną) stenografią matematyki, ergo atomistów na wyspę bezludną! Ponieważ my nie „kapujemy" teorii bomby a atomiści ją „kapują", więc zapominamy, że nie oni kontrolują finanse bomby i nie oni robią politykę bomby lub strategię bomby i nie oni wreszcie są mechanikami bomby. Ergo atomistów na wyspę bezludną!

Głęboko zasiedziała i nagminnie rozpowszechniona nieufność wobec nauki ma prawdopodobnie swe racje w historii i socjologii. Scientyfika przez długi czas była np. utożsamiana (i utożsamiała się sama bardzo chętnie) z magią, sztuką czarnoksięską, zjawiskami nadprzyrodzonymi. To stawiało ją poza nawiasem społeczeństwa i stwarzało uprzedzenia i podejrzenia trudne do odparcia. Stąd także nierozsądna wiara laików w nieomylność nauki! Jest także pewna racja w twierdzeniu marksistów, że „klasowość" nauki — która do niedawna była przywilejem nielicznej warstwy ludzi wykształconych (to jest umiejących pisać i czytać) i protegowanych przez możnych tego świata — stworzyła zaporę trudną do przełamania w jednym czy dwu pokoleniach. Te uprzedzenia były jednak raczej prywatne niż publiczne. Typu: „wszyscy zegarmistrze są złodziejami", „głupi jak aptekarz", „kobiety nie umią prowadzić samochodu". Uczeni byli „roztargnieni", „naiwni", „niepraktyczni", „zadzierali nosa". Polityka i scientyfika nie miały punktów styczności. Nawet zależność sił zbrojnych państwa od potencjału przemysłowego tylko pośrednio zahaczała o scientyfikę. Polityk płacił — technik dostarczał, ale ani technik ani naukowiec nie ponosili odpowiedzialności za użytek jaki politycy i wojskowi robili z ich prac i wynalazków. Ta sytuacja zmieniła się jednak zasadniczo po drugiej wojnie światowej. Dramat narastał powoli ale przełom przyszedł niespodziewanie. Scientyfika, która od dawna zasilała wydatnie sztukę wojenną rozmaitymi narzędziami zniszczenia, stworzyła w bombie atomowej narzędzie tak potężne, że choć różnica była ilościowa a nie jakościowa a zatem problem moralny się nie zmienił, ogrom zniszczenia przeraził nas i oszołomił. A tajemniczość jaką otoczono wszystkie sprawy bomby spotęgowała tylko zamieszanie. Już nie tylko bomba groziła śmiercią i zniszczeniem, ale każdy „atomista" stał się potencjalnym szpiegiem i zdrajcą. Groteskowość tego twierdzenia nie przeszkodziła jego rozpowszechnieniu. Przecięt-

ny naukowo nieuświadomiony chlebojad, dla którego szczytem scientyficznej doskonałości są odkurzacze, lodówki i pralnie elektryczne, łatwo uwierzył, że niepojęta, ale przeraźliwie groźna bomba atomowa, której sekret gnieździł się w mózgach genialnych i wallace'owsko obłąkanych uczonych, może być w jakiejś knajpie podmiejskiej o północy, zdradziecko sprzedana wrogowi. Takie półinteligenckie ujęcie zagadnienia lojalności scientystów sublimują inteligenci w rozsądniej wyglądający argument. Uczenie brzmiący słowami polityki, ekonomii i socjologii podmurowują tą samą paniką jaka wyziera z brukowców. ,,Lojalność'' scientystów jest także w ich wersji semantycznym nieporozumieniem. Ponieważ tajemnica wojskowa i szpiegostwo jednoczą się w naszych gazetach (i w naszych myślach) pod jednym nagłówkiem i ponieważ sztuka wojenna jest dzisiaj nierozłącznie zależna od scientyfiki więc sylogistycznym nawykiem kojarzymy naukowców ze szpiegostwem. Chwila rozwagi uprzytomni błąd takiego zestawienia. Jest ono takim samym uproszczeniem jak twierdzenie że ,,wszystkiemu są winni Żydzi, Niemcy, komuniści itd. Zresztą między tajemnicą wojskową a tajemnią naukową nie ma *tertium camparationis*. Tajemnica wojskowa jest jednokierunkowa i przeważnie negatywna. Wydanie jej zawsze szkodzi ale zachowanie jej nie koniecznie pomaga. Tajemnica naukowa jest obosieczna i wielowartościowa. Zbyt ścisła tajemnica hamuje postęp naukowy nawet we własnym obozie, bo jak można budować skutecznie i szybko dom nauki jeśli cegły nie są dostępne dla każdego murarza. Możliwość sabotażu jest w nauce mniej groźna niż fakt że przez tajemnicę wstrzymuje się postęp budowy. Szkoda wyrządzona przez zdradę Fuchsa, Nunn-May'a i Pontecorvo, nie była naukowo wymierna. Ich zdrada nie opóźniła amerykańskiego postępu atomowego i nie zaszkodziła wiedzy atomowej. Ale panika która powstała częściowo na skutek ich zdrady, panika której dziedzicem był mccarthyzm, odstraszyła od kariery naukowej wielu młodych ludzi którzy w normalnych warunkach poświęciliby się scientyfice lub inżynierii. Przewaga atomowa Zachodu jest mimo szpiegów i zdrajców wciąż jeszcze przytłaczająca, ale jest rzeczą znamienną, że rosyjskie uczelnie wypuściły w roku ubiegłym znacznie większą ilość inżynierów i techników niż uniwersytety Stanów Zjednoczonych.

Scientyfika weszła na arenę polityki dzięki bombie atomowej. Siła jest wciąż jeszcze ostatnim słowem polityki, więc gdy fizyka atomowa stała się z niepraktycznej abstrakcji realną siłą natychmiast zaczęła się liczyć w polityce. Daleko jej wprawdzie jeszcze do politycznego prestiżu jakim w bardziej prymitywnych społeczeństwach cieszą się wojskowi, ale zaprasza się już uczonych do rady. (Amerykańska Komisja Atomowa na pięciu członków ma jednego fizyka, Willarda F. Libby, twórcę radioaktywnej metody datowania przeszłości). Wzrastającą wagę scientyfiki można także mierzyć reakcją po-

lityków na przypadkowe polityczne sukcesy uczonych. Zawiść i lęk przed konkurencją biorą wówczas górę nad rozsądkiem i jesteśmy świadkami nieprzytomnych ataków na... Oppenheimera. Należy się jednak liczyć z tym, że w ,,atomowym wieku'' scientyści będą coraz ważniejsi i coraz częściej będą zabierali głos w polityce. Konferencje naukowe atomistów w Genewie i w Londynie i rozgłos jaki im nadano są jednym tego dowodem. Fakt, że uczeni coraz częściej i coraz śmielej zabierają głos w sprawach politycznych jest drugim. Apele Russella i Einsteina oraz laureatów Nobla w sprawie broni atomowej i próbnych wybuchów są trzecim. A prace naukowe fizyków nad pokojowym zastosowaniem energii atomowej, chemików nad syntezą chlorofilu, genetyków zgłębiających tajemnicę mutacji, są tak pełne implikacji politycznych, że nie można ich stłumić bajeczkami o ,,niepraktycznych'' lub ,,zwariowanych'' uczonych.

I jeszcze jedno. Scientyfika nie jest celem sama w sobie i nie jest pędzona samorodnym perpetuum mobile. Scientyfika zależy od scientystów a scientyści podlegają tym samym wpływom co każdy inny człowiek. Wpływom gospodarczym, politycznym, uczuciowym, umysłowym. Ta zależność scientyfiki od humoru, szczególnych uzdolnień, stanu majątkowego, stanowiska społecznego, życia erotycznego scientystów, zwalniałaby ją od wyłącznej odpowiedzialności za dobro i zło wynikłe z postępu wiedzy. Niestety ludzie, przypisując nauce nieomylność i izolując ją w przestrzeni (,,czysta nauka'') wymagają od niej jakichś ponadludzkich cnót. Scientyfika nie żyje w próżni. Nie jest abstrakcją. Nie ma ,,czystej nauki'', tak jak nie ma ,,czystej sztuki'', ,,czystej poezji'', ,,czystej myśli''. To są slogany na użytek tych którzy stroją się w ezoteryczne szaty ,,nagiego króla''.

Scientyfika będąc sprawą praktyczną, przyziemną i ludzką jest jednak równocześnie czymś więcej niż narzędziem użytkowym. Praktyczność kojarzymy z trwałością. Im trwalsze tym praktyczniejsze! Im starsze tym trwalsze! Konserwatyści wszystkich krajów łączcie się! Ale scientyfika nie jest trwała. Scientyfika nie patrzy w przeszłość. Jej istotą nie jest utrwalanie starych prawd lecz szukanie nowych. Jest dynamiczna a nie statyczna. Nie konserwuje lecz burzy i buduje, jest więc tym samym bliższa lewicy politycznej niż prawicy.

Dla wróżbiarzy wróżących z lotu ptaków lub z wosku lanego na wodę, dla amatorów przepowiedni i astrologii, ta ,,lewicowość'' scientystów tłumaczy ,,wszystko''. Skoro scientyści są lewicowcami więc są ,,komunistami'' lub ,,towarzyszami podróży'' i tylko jeden krok dzieli ich od szpiegostwa. A skoro są oskarżani o szpiegostwo, są niewątpliwie winni, bo ,,tak stojało w gazecie''. Głupota takiej argumentacji jest widoczna ale ...dla ilu? W pewnym sensie scientyści są sami winni tym podejrzeniom i tej izolacji. Ezoteryczna ,,wieża z kości słoniowej'', którą pisarze i artyści odrzucili już dawno jako przesta-

rzałość fin de siècle'u, jest niestety wciąż jeszcze tradycyjną ucieczką uczonych przed burzą co ,,huczy wkoło nas''. Najgłośniejszym jej przykładem była apolityczna młodość Oppenheimera.

Państwo nie może dzisiaj istnieć bez scientyfiki a scientyfika bez państwa. Prace badawcze nauk ścisłych są zbyt kosztowne a ich wyniki zbyt niepewne aby zainteresować kapitał prywatny, a współczesna stopa życiowa wymaga tak wiele od nauki (i od państwa), że bez długoterminowych badań nie można jej zaspokoić. To stwarza zainteresowanie państwa scientyfiką i zależność scientystów od państwa. Państwo płaci więc państwo wymaga! Ale uczony obstaje przy swych prawach indywidualnych. Jednostki, prawdopodobnie nawet w Sowietach buntują się przeciwko samowolnemu dyktatowi mocodawcy i nawet jeśli ten bunt nie może się objawić z powodu terroru machiny politycznej lub opinii publicznej, taki konflikt, aktywny lub drzemiący, istnieje i grozi spójności społecznej. Jako dalszą konsekwencję widzimy już dzisiaj wyraźnie zarysowaną ,,klasę'' scientystów. Grupę coraz liczniejszą, coraz bardziej wpływową i coraz głośniej stwierdzającą swe prawa do rady i do rządów.

Co z tego wyrośnie, jak się ułożą przyszłe stosunki dwu głównych ośrodków siły — polityki i scientyfiki — trudno dzisiaj przewidzieć. Szanse przemawiają na korzyść naukowców, bo łatwiej im przeprowadzić zręczną akcję polityczną niż politykom pokierować projektem naukowym. Ale wiemy z doświadczenia, że logiczne uogólnienia często trafiają kulą w płot bo nie biorą pod uwagę imponderabiliów. A niewymiernością jest w tym wypadku ,,nauka o człowieku'', dziś jeszcze tak zacofana, że byle szarlatan może obalić najbardziej wyszukane obliczenia, a byle Hitler strącić z Olimpu plemię ,,der Dichter und Denker''.

Henryk SCHOENFELD

Fragmenty z dziennika

LA CABANIA

Wtorek.

Wczoraj rano wyjechałem autobusem, przez Necocheę, do estancji Władysława Jankowskiego, która nazywa się ,,La Cabania''.

Jeżeli ten dziennik, już od paru lat prowadzony, nie jest na poziomie — moim, czy mojej sztuki, czy mojej epoki — nikt nie powinien mieć do mnie pretensji, bo to jest praca narzucona mi przez okoliczności mojego wygnania, do której być może nie nadaję się.

Przybyłem do ,,La Cabania'' o siódmej wieczór.

,,Duś'' Jankowski i jego córki, Marisa i Andrea, Stanisławostwo Czapscy (brat Józefa) z córką Leną, oraz Andrzej Czapski z żoną. Kolacja, podczas której wykrzywiałem się połową twarzy do panienek, które chichotały.

Obszerny pokój w zacisznym domku gościnnym w ogrodzie — gdzie rozłożyłem moje bruliony, przygotowując się do decydującej z nimi rozprawy. Kto zawyrokował, że trzeba pisać tylko wtedy gdy się ma coś do powiedzenia? Przecież sztuka na tym właśnie polega, że nie pisze się tego co się ma do powiedzenia, tylko coś zgoła nieprzewidzianego.

Sobota.

Nie ma oceanu, lśnienia, soli, wiatrów. Po owym wzburzeniu, tam, w Jocaralu, tu — spokój. Cisza i odprężenie. Najważniejsze, że samotność mnie opuściła. Wieczorem, przy lampie, nastrój rodzinny jakiego nie zaznałem od lat szesnastu. Przechadzam się po pampie, która tutaj jest pastelowo olbrzymia, jak zawsze, ale ujęta w karby alejami eukaliptusów, bukietami drzew. W dali pasmo gór.

Co zawsze zdumiewa mnie na argentyńskiej wsi : nie ma chłopów, nie ma służby folwarcznej. Na przestrzeniach, które w Polsce wymagałyby wielu, wielu rąk — nikogo. Orze jeden człowiek traktorem. Ten sam człowiek żnie, młóci a nawet pakuje ziarno w worki, sunąc po polu motorową żniwiarką, która jest zarazem młocarnią. Obsługa tych pól, wielkiej ilości bydła i koni, sprowadza się w sumie do kilku ,,peonów'' nie spieszących się nigdy. Co za ulga po tamtej brutalnej wsi, gdzie człowiek musiał być panem dla chama.

Egzystencjalizm.

Chciałbym doprowadzić do jakiegoś finału moje niepokoje z Mar del Plata. Pewne rzeczy muszę zapisać, aby stały się bardziej wiążące.

Poniedziałek.

Egzystencjalizm.

Nie wiem w jaki sposób egzystencjalizm mógłby stać się w moich rękach czymś więcej niż zabawką — w powagę, w śmierć, w wykańczanie się. Moje mniemanie o egzystencjalizmie zapisuję tutaj nie z szacunku dla własnych opinii — dyletanckich — ale z szacunku dla własnego życia. Opisując, jak się da, moje przygody duchowe (jakbym opisywał moje przygody cielesne) nie mogę pominąć dwóch bankructw, które się we mnie dokonały : egzystencjalnego i marksistowskiego. Krach teorii egzystencjalnej stwierdziłem w sobie niedawno, omawiając ją na moim kursiku filozoficznym... *contre coeur*, jakby coś już martwego.

,,Ferdydurke'' pisałem w latach 1936-1937, kiedy o tej filozofii jeszcze było głucho. Mimo to ,,Ferdydurke'' jest egzystencjalna do szpiku kości. Krytycy, dopomogę wam w ustaleniu dlaczego ,,Ferdydurke'' jest egzystencjalna : ponieważ człowiek, stwarzany przez ludzi, ponieważ ludzie, wzajemnie się formujący, to właśnie egzystencja, a nie esencja. ,,Ferdydurke'' to egzystencja w próżni, czyli nic prócz egzystencji. Stąd w tej książce grają fortissimo wszystkie prawie zasadnicze tematy egzystencjalne : stawanie się, stwarzanie siebie, wolność, lęk, absurd, nicość... Z tą jednak różnicą, że tutaj do typowych dla egzystencjalizmu ,,sfer'' życia ludzkiego — życie banalne i autentyczne Heideggera, życie estetyczne, etyczne i religijne Kierkegaarda lub ,,sfery'' Jaspersa — daje tutaj znać o sobie inna sfera, a mianowicie ,,sfera'' niedojrzałości''. Ta sfera czy też raczej ,,kategoria'', to wkład mej egzystencji prywatnej w egzystencjalizm. Powiedzmy od razu : to mnie najbardziej oddala od klasycznego egzystencjalizmu. Dla Kierkegaarda, Heideggera, Sartra im głębsza świadomość tym bardziej autentyczna egzystencja, oni natężeniem świadomości mierzą szczerość, istotność przeżycia. Czy jednak na świadomości zbudowane jest nasze człowieczeństwo? Czy raczej świadomość, ta wysilona, krańco-

wa świadomość nie powstaje między nami, a nie z nas — będąc tworem wysiłku, wzajemnego doskonalenia się w niej i utwierdzania, czymś do czego filozof zmusza filozofa? Czy więc człowiek nie jest w prywatnej rzeczywistości swojej czymś dziecinnym i zawsze poniżej swojej świadomości... która jest wprawdzie jego świadomością... ale którą odczuwa zarazem jako coś obcego i narzuconego i nieistotnego? Jeśliby tak było, to skryte dzieciństwo, ta utajona degradacja, gotowe rozsadzić wam prędzej czy później wasze systemy.

Nie warto rozwodzić się nad „Ferdydurke", która przecież jest cyrkiem a nie filozofią. Lecz pozostaje faktem, że ja już przed wojną byłem jak kot, chodzący własnymi ścieżkami po egzystencjalizmie — dlaczego więc, kiedy później zapoznałem się z teorią, to nie przydało mi się na nic? A i teraz, gdy egzystencja moja, z każdym rokiem potworniejąc, już tak zmieszana z konaniem, wzywa mnie, zmusza do powagi — dlaczego ta ich powaga jest mi nie do użycia?

Może wybaczyłbym tym profesorom wewnętrzny skręt kiszek ich myślenia, które nie chce być myśleniem, ich szprynce z logiki w alogikę, z abstrakcji w konkret i vice versa. Ich myśl, wymiotującą myśl, która rzeczywiście „jest tym czym nie jest i nie jest tym czym jest" — tak głęboko sięgają jej rozdzierające sprzeczności. Myśl autodestrukcyjna, która sprawia takie wrażenie jakbyśmy używali rąk po to żeby odciąć sobie ręce. Ich dzieła są jednym krzykiem zrozpaczonej impotencji, najkunsztowniejszym wyrazem plajty, tu walenie głową o mur staje się metodą, jedyną jaka pozostała. Ale to bym im wybaczył, to nawet mi odpowiada. A także przeszedłbym do porządku dziennego nad zarzutami ściśle profesjonalnymi, które stawiają im ich koledzy po fachu, dotyczącymi, na przykład, relacji subiekt-obiekt, czy też ich obciążeniu klasycznym idealizmem lub ich nieprawych związków z Husserlem. Albowiem już przyzwyczaiłem się do tego, że filozofia musi być klęską i wiem, że w tej dziedzinie możemy rozporządzać tylko myśleniem roztrzaskanym, wiadomo, że jeździec, który tego konia dosiada, musi spaść. Nie, nie jestem wymagający. Nie dopraszam się absolutnych odpowiedzi na absolutne pytania, zadowoliłbym się w biedzie mojej choćby dialektycznym ochłapem prawdy, który by chwilowo głód oszukał. Tak, gdyby to mogło choć tymczasowo mnie zaspokoić, jabym nie wzdrygał się nawet przed takim pokarmem — zwymiotowanym.

Zadowoliłbym się tym łatwiej, iż — muszę przyznać — ta filozofia, zbankrutowana już w samych swoich punktach wyjściowych, staje się mimo to niezmiernie płodna i wzbogacająca, jako próba usystematyzowania najgłębszej naszej wiedzy o człowieku. Po odrzuceniu tej swoistej scholastyki, spekulującej w abstracji (to czego egzystencjalizm nienawidzi, a czym żyje), pozostanie przecież coś bardzo ważnego, konkretnie, praktycznie ważnego: pewna struktura człowieka, powstała w wyniku moż-

liwie najgłębszej, najbardziej ostatecznej konfrontacji świadomości z egzystencją. Rozmaite tezy egzystencjalistów okażą się może profesorskim ględzeniem, ale człowiek egzystencjalny, taki, jakiego zobaczyli, pozostanie wielką zdobyczą świadomości. Zapewne, przepaścisty to model. Zapadając się w tę przepaść, wiem, że nie osiągnę dna, ale jest to, jednak, otchłań nie obca mi, otchłań mojej natury. I, być może, ta metafizyka człowieka i życia do niczego nie doprowadzi — jest jednak nieuniknioną koniecznością naszego rozwoju, czymś bez czego nie dotarlibyśmy do pewnego maksimum naszego, jest tym najwyższym i najgłębszym wysiłkiem, który musiał być dokonany. A ileż luźnych intuicji, tak obecnych w powietrzu, którym oddychamy, że one codziennie niemal mnie nawiedzały, odnajduję tutaj wplecionych w system, zorganizowanych w całość rozpaczliwie ułomną i ledwie zipiącą, ale przecież w jaką taką całość. Egzystencjalizm, jaki by nie był, jest ufundowany na naszym istotnym niepokoju. Wyzwala nasz *dernier cri* metafizyczny. Precyzuje nam naszą ostatnią półprawdę o nas. Tak dalece, że człowiek Heideggera czy Jaspersa, musi zastąpić inne przestarzałe modele, narzuca się wyobraźni określając nasze samopoczucie w kosmosie. Tu więc egzystencjalizm staje się groźną i dostojną siłą, na linii tych wielkich aktów samookreślenia, które modelują co pewien czas twarz ludzkości. Pytanie tylko — na jak długo starczy nam tego ostatniego modela? Gdyż tempo nasze jest przyśpieszone, wskutek czego definicje stają się coraz lżejsze i bardziej zwiewne...

Męcząco niejasny i napięty jest mój stosunek do egzystencjalizmu. Sam go uprawiam, a jednak nie wierzę mu. Wdziera mi się w egzystencję, a jednak nie chcę go. I nie ja jeden jestem w tym położeniu. Dziwne. Filozofia, nawołująca do autentyczności, wprowadza nas w fałsz gigantyczny.

Wtorek.

Opowiadaliśmy sobie sny. Nic w sztuce, nawet najbardziej natchnione misteria muzyki, nie może równać się ze snem. Doskonałość artystyczna snu! Ileż nauk daje ten nocny arcymistrz nam, dziennym fabrykantom marzenia, artystom! We śnie wszystko jest brzemienne straszliwym a niedocieczonym znaczeniem, nic nie jest obojętne, wszystko dosięga nas głębiej, poufniej, niż najbardziej rozpalona namiętność dnia — oto nauka, że nie wolno artyście ograniczyć się do dnia, musi on dotrzeć do nocnego życia ludzkości i szukać jego mitów, symbolów. A także: sen burzy rzeczywistość dnia przeżytego, wydobywa z niej jakieś ułomki, dziwaczne fragmenty i układa je niedorzecznie we wzór arbitralny — ale dla nas ten bezsens jest właśnie najgłębszym sensem, pytamy w imię czego zniszczono nam zwykły sens, wpatrzeni w absurd, jak w hieroglif, usiłujemy odczytać jego rację, o której wiemy, że jest, że istnieje...

Sztuka więc także może i powinna burzyć rzeczywistość, rozkładać ją na pierwiastki, budować z nich nowe światy niedorzeczne — w tej dowolności ukryte jest prawo, naruszenie sensu ma swój sens, szaleństwo niszcząc nam sens zewnętrzny, wprowadza nas w nasz sens wewnętrzny. I sen ujawnia cały idiotyzm owego żądania, stawianego sztuce przez poniektóre nazbyt klasycyzujące umysły, że ona powinna być „jasna". Jasność? Jej jasność jest jasnością nocy, nie dnia. Jej jasność jest akurat taka, jak latarki elektrycznej, która wydobywa z mroku jeden przedmiot, grążąc resztę w jeszcze bezdenniejszej ciemności. Powinna być — poza granicami swojego światła — ciemna, jak orzeczenie Pytii, o twarzy zasłoniętej welonem, niedopowiedziana, mieniąca się wielością sensów i obszerniejsza od sensu. Jasność klasyczna? Jasność Greków? Jeśli wam to wydaje się jasne to tylko dlatego, że jesteście ślepi. Idźcie w pełne południe przypatrzeć się dobrze najbardziej klasycznej Wenus, a zobaczycie najczarniejszą noc.

Dusiowi śnił się biskup Krasicki, który jednak przy bliższym wejrzeniu okazał się Witkacym. Witkacy wysunął usta w rurkę, która wydłużyła się w pyszczek i pyszczkiem tym szeleszczącym wyraził życzenie żeby mu skomponować wiersz „sz", wiersz „sz-sz". Duś stał się szyszkowaty i szypułkowaty i jął układać poemat, z którego kilka strof pozostało mu w pamięci po obudzeniu.

Szeptali
W podszytej szuwarem szopie Szlomy Szakala
Szczepan Sowizdrzał i Szymon Szowispon...

Sowizdrzał, Szowispon... W Sowizdrzale przeważa groteska — lecz w Szowisponie ona już się staje najeżona grozą, ma szpony... Wspaniałość tych nazwisk, które prześladowały mnie długo!

Przypomniałem sobie i zadeklamowałem wiersz, który Witkacy ułożył o mnie, a w którym dopatruję się potężnego proroctwa (bo wtedy, jeszcze przed napisaniem „Ferdydurke", ani mnie, ani nikomu nie było wiadomo że niedojrzałość stanie się moim *cheval de bataille*).

Na imię mu było Witold, nazwisko — Gombrowicz
Z pozoru był to sobie zwykły spacerowicz
Lecz tkwiła w nim dzika dziwność nieświadoma siebie
Z tego konia kiedyś będzie niezłe źrebię!

Następnie Duś (bo z Edith — ta Edith to nauczycielka dziewczynek, studentka filozofii, po amerykańsku chłonna — omawialiśmy pewne zagadnienia „transcendentalne") ułożył fraszkę:

Odłóż fajkę na chwilę
I na serio, dla psoty
Zachłysnąwszy się chłystem głupoty
Opowiedz im bardzo zawile
O istotności istoty
Po czym z fajki pyknąwszy bajkę
Dopadnij znowu ich jaźni
i rozsadź im wyobraźnię!

Czwartek.

Jak wytłumaczyć dlaczego egzystencjalizm mnie nie uwiódł? Byłem może niedaleki od tego aby wybrać egzystencję, którą oni nazywają autentyczną — w przeciwieństwie do lekkomyślnego życia doraźnego, doczesnego, które nazywają banalnym. Tak wielkie jest ciśnienie ducha powagi ze wszystkich stron. Dziś, w surowym czasie dzisiejszym, nie ma myśli ani sztuki, które by nie krzyczały ci wielkim głosem: nie uchylaj się, nie igraj, podejmij rozgrywkę, przyjm odpowiedzialność, nie wykpiwaj się, nie uciekaj! Dobrze. Ja przecież, pomimo wszystko, także wolałbym nie kłamać własnemu bytowi. Więc spróbowałem w sobie tego życia autentycznego i pełnej lojalności wobec egzystencji. Ale cóż chcecie? Nie da się. Nie da się, ponieważ ów autentyzm okazał się bardziej skłamany niż wszystkie moje poprzednie finty, igraszki i skoki razem wzięte. Ja, z moim artystycznym temperamentem, nie wiele rozumiem się na teorii, ale mam trochę nosa gdy chodzi o styl. Kiedy zastosowałem do życia maksymalną świadomość, próbując ufundować na tym moją egzystencję, spostrzegłem iż dzieje się ze mną coś głupiego. Trudno i darmo. Nie da się. Jest niepodobieństwem podjąć wszystkie wymogi Dasein'u a zarazem pić kawę z rogalikami na podwieczorek. Lękać się nicości, ale bardziej bać się dentysty. Być świadomością, która chodzi w spodniach i rozmawia przez telefon. Być odpowiedzialnością, która załatwia drobne sprawunki na mieście. Dźwigać na sobie ciężar bytu znaczeniowego, nadawać sens światu, i wydawać resztę z 10 pezów. Cóż chcecie? Wiem jak te kontrasty godzą się w ich teorii, powolutku, stopniowo od Descartes'a poprzez idealizm niemiecki oswoiłem się z tą ich strukturą, ale śmiech i wstyd miotają mną na jej widok z równą siłą, jak za pierwszych dni, kiedy jeszcze byłem zupełnie naiwny. I choćbyście tysiąc razy mnie „przekonali" zawsze pozostanie w tym jakaś elementarna śmieszność nie do zniesienia!

Nie do zniesienia zwłaszcza w egzystencjalizmie. Póki filozofia spekulowała w oderwaniu od życia, póki była czystym rozumem snującym swoje abstrakcje, nie była w tym stopniu gwałtem, obrazą, śmiesznością. Myśl była sobie, a życie sobie. Mogłem tolerować spekulacje kartezjuszowskie czy kantowskie, ponieważ były tylko dziełem rozumu. Ja zaś wyczuwałem, że

poza świadomością jest byt. Czułem się nieuchwytny w bycie. W gruncie rzeczy nigdy nie traktowałem tych systemów inaczej, jak tylko jako twór pewnej władzy mojej, władzy rozumowania, która jednak była tylko jedną z funkcji moich; która była, w ostatecznym sensie, ekspansją mojej żywotności; której przeto mogłem się nie poddawać. Ale teraz? Ale egzystencjalizm? Egzystencjalizm chce dobrać się do mnie całego, on już nie przemawia tylko do mych władz poznawczych, chce mnie przeniknąć w najgłębszym moim istnieniu, chce być moim istnieniem. Tu więc życie moje staje dęba, zaczyna wierzgać. Bardzo mnie bawią intelektualne polemiki z egzystencjalistami. Jak można polemizować z czymś co cię dosięga w twoim bycie? To już nie jest teoria tylko, ale akt zaborczy istnienia w stosunku do twego istnienia i na to nie odpowiada się argumentami, lecz żyjąc inaczej, niż oni chcą — i dość kategorycznie aby twoje życie stało się dla nich nieprzenikliwe.

Historycznie biorąc, zabrnięcie ducha ludzkiego w ten skandal egzystencjalny, w jego specyficzną bezradną zaborczość i mądrą głupotę, było — chyba — nieuniknione. Dzieje kultury wykazują, że głupota jest siostrą bliźniaczą rozumu, ona rośnie najbujniej nie na glebie dziewiczej ignorancji, lecz na gruncie uprawnym siódmym potem doktorów i profesorów. Wielkie absurdy nie są wymyślane przez tych, których rozum krząta się wokół spraw codziennych. Nic dziwnego zatem, że właśnie najintensywniejsi myśliciele bywali producentami największego głupstwa — rozum jest maszyną, która dialektycznie sama siebie oczyszcza, ale to oznacza, że brud jest jej właściwy. Ratunkiem naszym przed tą brudną niedoskonałością rozumu było, że nikt nigdy zanadto nie przejmował się rozumem — począwszy od samych filozofów. Co do mnie, nie mogę uwierzyć aby Sokrates, Spinoza czy Kant byli ludźmi naprawdę i całkowicie poważnymi. Twierdzę, że nadmiar powagi jest uwarunkowany nadmiarem niepowagi. Z czego rodziły się — także, poza tym, skądinąd — owe majestatyczne koncepcje? Ciekawość? Przypadek? Ambicja? Dla korzyści? Dla przyjemności bodaj? Nie poznamy nigdy brudów tej genezy, jej skrytej, poufnej niedojrzałości, jej dzieciństw, jej wstydu, ponieważ o tym nawet samym twórcom nie wolno wiedzieć... nie poznamy dróg na których Kant-dziecko, Kant-młodzieniec przemienił się w Kanta-filozofa... ale dobrze byłoby pamiętać, że kultura, wiedza, są czymś o wiele lżejszym niż się wydaje. Lżejszym i bardziej dwuznacznym. Niemniej imperializm rozumu jest straszny. Gdy tylko rozum spostrzeże że jakaś część rzeczywistości mu się wymyka, natychmiast rzuca się aby ją pożreć. Od Arystotelesa do Descartes'a rozum zachowywał się na ogół spokojnie ponieważ sądził, że wszystko może być zrozumiane. Ale już Krytyka Czystego Rozumu a potem Schopenhauer, Nietzsche, Kierkegaard i inni zaczęli wyznaczać tereny niedostępne myśleniu i odkrywać że życie śmieje się z rozumu. Tego rozum znieść nie mógł i od-

tąd zaczyna się jego udręka, która w egzystencjalizmie osiąga tragikomiczną kulminację.

Tu bowiem rozum spotyka się już oko w oko z największym i najbardziej nieuchwytnym z szyderców — z życiem. I on sam odkrył i skonkretyzował sobie tego wroga, można by powiedzieć iż tak długo myśleli aż w końcu wymyślili coś o czym już nie mogą myśleć. Dlatego wobec tworów tego wynaturzonego rozumu ogarnia wstyd — gdyż tu mocą jakiejś złośliwości, ohydnej perwersji, wielkość w diabelskim zwichnięciu staje się wielką śmiesznością, głębia prowadzi na dno impotencji, celność uderza wprost w głupstwo i absurd. I przerażeni widzimy że to, im poważniejsze, tym mniej poważne! To nam nie zdarzało się w tym stopniu z innymi filozofami. Stawali się bliżsi śmieszności w miarę przenikania na teren życia, i tak Nietzsche jest bardziej komiczny od Kanta, ale wobec nich śmiech nie był jeszcze koniecznością — gdyż myślenie to było przecież oderwane, jeszcze w pewnej mierze przynajmniej oderwane, ono nas tak nie angażowało. Dopiero gdy teoretyczny problem stał się ,,tajemnicą'' Gabriela Marcela, tajemnica okazała się śmieszna do rozpuku!

Spróbujmy określić naturę tej śmieszności. Tu nie tylko chodzi o ten rozpaczliwy kontrast pomiędzy ,,zwykłą rzeczywistością'' a ich rzeczywistością ostateczną, kontrast tak masywny i druzgocący że żadne analizy go nie załatają. Śmiech nasz w tym wypadku jest nie tylko śmiechem wspartym obiema nogami na ,,zdrowym rozsądku'', nie, jest okropniejszy bo bardziej kurczowy, jest niezależny od nas. Kiedy mówicie mi, egzystencjaliści, o świadomości, lęku i nicości, wybucham śmiechem nie dlatego abym się z wami nie zgadzał, lecz dlatego że z wami muszę się zgodzić. Zgodziłem się i oto — nic się nie stało. Zgodziłem się, ale nic we mnie nie zmieniło się ani na jotę. Świadomość, którą zastrzyknęliście memu życiu weszła mu w krew, ona momentalnie stała się życiem i teraz trzęsie mną w podrygach chichotu prastary triumf żywiołu. Dlaczego zmuszony jestem śmiać się? Dlatego po prostu że w świadomości również się wyżywam. Śmieję się ponieważ rozkoszuję się lękiem, bawię się nicością i igram z odpowiedzialnością, a śmierci nie ma.

Wtorek.

Mimo to muszę powiedzieć, że nie wierzę aby jakakolwiek kultura, sztuka, literatura, mogła dziś pozwolić sobie na pominięcie egzystencjalizmu. Jeśli polski katolicyzm, czy też polski marksizm, odgrodzą się od tego niemądrym lekceważeniem, staną się zaułkiem, podwórkiem, prowincją.

W niedzielę Duś i ja pojechaliśmy w sąsiedztwo z wizytą.

Pani domu, Angielka (żona zamożnego maklera giełdowego z Buenos Aires, który kupił tutaj nieduży kawałek ziemi i wybudował ,,chalet'') potraktowała mnie z miejsca z dziwną agre-

sywnością, tym dziwniejszą że zupełnie byłem jej nieznany. — Pan musi być egocentrykiem, wyczuwam w panu egocentryka!... Po czym nie przestaje w ciągu całego wieczoru dawać mi do zrozumienia czegoś mniej więcej w tym sensie: — Wyobrażasz sobie, że jesteś kimś, ale ja wiem lepiej! Jesteś pseudo-intelektualistą, pseudo-artystą (gdybyś był coś wart, byłbyś sławny!) to znaczy, jesteś pasożytem, trutniem, teoretykiem, lunatykiem, anarchistą, włóczęgą i, na pewno, pyszałkiem! Trzeba pracować! Żyć dla społeczeństwa! Ja pracuję, ja się poświęcam, ja żyję dla drugich, a ty jesteś sybaryta i Narcyz!

Do tych ,,ja'' którymi niszczy mój egotyzm, dośpiewuje sobie jeszcze kilka innych ,,ja'': ja jestem Angielka! Ja jestem dystyngowana! Patrz jaka jestem szczera i swobodnie impertynencka! Ja mam wdzięk! Ja jestem urocza, zabawna, estetyczna, a także moralna! Ja mam swój rozum! Mnie byle kto nie zaimponuje!

Kiedyś, już nie pamiętam kto, Sabato czy Mastronardi, opowiadał, że na pewnym przyjęciu podszedł do znanego pisarza argentyńskiego jeden estanciero (osoba skądinąd dobrze wychowana) i powiedział: — Pan jest bałwan! Zapytany, co mianowicie w twórczości tego autora wzbudza w nim taką abominację, zeznał, że nigdy nic jego nie czytał i że zbeształ go ,,por las dudas'', na wszelki wypadek — żeby ,,za dużo sobie nie wyobrażał''.

To zjawisko ma swoją nazwę tutaj. Nazywa się ,,argentyńska defensywa''. Defensywa tej damy, raczej sympatycznej, choć może troszeczkę zmanierowanej, nie była groźna, gdyż widać było że chce się podobać i że stosuje ten ,,genre'' ponieważ uważa go za uroczy i dystyngowany. Czasem jednak Argentyńczyk w defensywie staje się naprawdę niegrzeczny — rzecz rzadka w tym uprzejmym kraju.

Poniedziałek.

Uważam, że absolutnie nie da się zignorować egzystencjalizmu, ani wyminąć go jakąkolwiek dialektyką. Sądzę, że artysta, literat, który nie zetknął się z tymi wtajemniczeniami, nie ma w ogóle pojęcia o współczesności (marksizm go nie zbawi). A także uważam, że brak tego przeżycia — przeżycia egzystencjalnego — w kulturze polskiej, zawartej dziś bez reszty w ramach katolicyzmu i marksizmu, opóźni ją znowu o jakie 50 lub 100 lat w stosunku do Zachodu.

Egzystencjalizmu nie można przeskoczyć; trzeba go przezwyciężyć. Ale nie przezwyciężycie go dyskusją, gdyż on nie nadaje się do niej — nie jest przecież problemem intelektualnym. Egzystencjalizm przezwyciężymy tylko namiętnym i kategorycznym wyborem innego życia, innej rzeczywistości. Wybierając tę inną rzeczywistość, sami nią się stajemy. W ogóle należy pożegnać się w świecie nadchodzącym z metodami ,,obiektyw-

nej'' dyskusji, perswazji i argumentacji. Intelektem nie rozwiążemy naszych węzłów gordyjskich; będziemy je przecinać własnym życiem.

Opieram się temu egzystencjalizmowi filozofów, teoretycznemu i systematycznemu, ponieważ świat który z niego powstaje jest sprzeczny z moim życiem, nie nadaje się do mego życia. Dla mnie egzystencjaliści są ludźmi sfałszowanymi — oto wyczucie mocniejsze od mego rozumu. Zauważcie, iż nie podaję w wątpliwość dróg myślowych oraz intuicyjnych, na których oni doszli do tej doktryny. Odrzucam ją ze względu na jej wyniki, którym, jako egzystencja, nie mogę sprostać, których w ogóle nie mogę zasymilować. Mówię więc, że to nie dla mnie i odpycham to. A z chwilą kiedy, namiętną decyzją, odrzucę tę ich noc egzystencjalną jedynej świadomości, przywracam do życia świat zwykły, konkretny, w którym mogę oddychać. Nie idzie bynajmniej o udowodnienie, że ten świat to najprawdziwsza rzeczywistość — idzie o ślepą, upartą afirmację doczesnego świata wbrew tamtej intuicji, jako jedynego w którym życie jest możliwe, jedynego zgodnego z naszą naturą.

Egzystencjalizm musimy przyjąć do wiadomości, podobnie jak musieliśmy przyjąć do wiadomości Nietzschego lub Hegla. Co więcej, trzeba wyciągnąć z tego wszystkiego co się da — wszelkie możliwe pogłębienie i wzbogacenie. Ale nie wolno w to uwierzyć... Owszem, posługujmy się tą wiedzą, wszak to najlepsza wiedza na jaką nas stać... ale groteskowo sztywny, martwo ociężały, niezręczny i niezdarny ten kto uwierzy! Zachowajmy tę świadomość na drugim planie, jako coś pomocniczego. I, choćby nawet egzystencjalizm oślepiał nas blaskiem najwyższej rewelacji, musimy nim gardzić. Trzeba go zlekceważyć. Tutaj nie ma miejsca na lojalność.

Środa.

List od J. Kempki z Monachium. Cytuje ustępy z przedmowy Zbigniewa Mitznera do nowego wydania w Kraju ,,Dwudziestu lat życia'' Uniłowskiego.

,,W okresie wystąpienia Uniłowskiego na polu literatury tendencjom postępowym przeciwstawił się znów bezwzględny kult oderwania literatury od życia. Był to czas, w którym Gombrowicz chciał ,,upupić'' polską literaturę, wywierając niestety duży wpływ na rówieśników swoim pisarstwem zdziecinnienia i podświadomości''.

W swej powieści, której tytuł już stanowił program (,,Ferdydurke'' bowiem nie znaczy nic), sprowadzić chciał życie ludzkie do dziecięcych odruchów. Uniłowski pragnął pokazać rozwój i dojrzewanie dziecka w surowym i złym świecie. Gombrowicz odwrotnie: sprowadzić chciał zagadnienia życia, zagadnienia społeczne do epoki dzieciństwa, w strefę podświadomych odru-

chów... Uniłowski był pisarzem idącym w odwrotnym kierunku niż Gombrowicz i jego adherenci"...

Czy Mitzner jest zwyczajnie i prostodusznie głupi? Czy też to reżym zmusza go do głupoty? Czy może Mitzner jest mądry, ale mnie ogłupia i upupia, żeby łatwiej zniszczyć? Ludzie! Zarzynajcie mnie, jeśli tak wam nakazano, ale nie tak tępym, tak strasznie tępym nożem!

Dodam, ze skarbnicy mych wspomnień, że Uniłowski, kiedy dałem mu po czytania ,,Ferdydurke" jeszcze w maszynopisie, zakipiał rozkoszą. Nie taił że ten utwór podziałał na niego wyzwalająco. Z wdzięczności zaprosił mnie do Adrii i upił.

Jednocześnie z tym listem nadszedł wycinek z ,,Dziś i Jutro". Wielki artykulas Zygmunta Lichniaka ,,Spojrzenie z ukosa ale nie zezem". Mowa o literaturze emigracji, ale obstrzał koncentruje się na Miłoszu i na mnie. Ja występuję tutaj jako ,,anarchista" nieuznający żadnego prawa.

Ta poczciwość — jak słusznie zauważył A. N., omawiający w ,,Kulturze" inną wypowiedź tegoż Lichniaka o mnie. Poczciwość — dodam — ośla. Pytał Nietzsche: — Czy może być tragiczny osioł? Tak, gdy upada pod ciężarem, którego nie może udźwignąć.

Ale jest coś niskiego w tej ich potulności wobec losu, w tej ich ,,poczciwość", ich ,,dobroci", ich bardzo swoistej ,,zacności"... To ciekawe. Zdawałoby się, że tam żyje się na ostro. Tymczasem te dusze są jak ciepłe kluski, te książki i artykuły tchną rozlazłą miękkością, która dawniej była cechą zapadłej prowincji. Miękkość ich nie jest skłamana, ani nie jest tylko następstwem tego że ostrzejsze elementy odsuwane są od głosu. Prawo jest takie, że gdy życie zbiorowe staje się wszystkim, jednostka flaczeje. Obawiam się że niejeden budowniczy nowej Polski — to pod względem osobistym, duchowo i intelektualnie — purée, papka lub kompot.

Oprócz powyższych wycinków dwa biuletyny rozgłośni ,,Kraj", wydawane w Warszawie, gdzie również mowa o mnie. Ta sama serdeczność — zmieszana z kłamstwem, ale też rozlazłym i prawie niewinnym w swoim otępieniu. Cytuje się parę zdań wyrwanych z tekstu, przeinacza się sens i kropi komentarz. Ale przecież sam wicepremier Cyrankiewicz wyciągał w ten sposób zdanka z mojego dziennika, aby, potrząsając nimi przed narodem, krzyczeć: potworność! Boże wielki, wyciągnij nas kiedyś z bzdury!

Witold GOMBROWICZ

Stroński

Człowiek, publicysta, polityk. Te trzy postacie łączyły się dla nas, w jedną, póki żył. Nieboszczyk podlega jednak zawsze sekcji. Nekrologista — to zawiadowca prosektorium.



Starszy pan z brzuszkiem, z małą bródką, z rzadkim profesorskim wąsem, z różowymi policzkami. Niskiego wzrostu, pucołowaty, z cwikierem, czyli pince-netem bez oprawy, ubrany na czarno przeważnie, w pasiastych spodniach, dopiero później w swetrze wiejskiego bohème'a. Człowiek był miły, pogodny, przyjazny, trochę staroświecki, bardzo dixneufcents : trochę francuski bourgeois, trochę austriacki profesor, bardzo galicyjski inteligent. Uśmiechnięty, wesoły, dowcipny. Może zanadto : chwilami robił wrażenie wiecznego polowania na kawały. Pewna dama, co go nie lubiła, twierdziła, że jest ,,libidineux''. Jak wszyscy ludzie, których życie upłynęło zbyt cnotliwie, niemal ascetycznie, Stroński może przesadnie uganiał się za tłustym dowcipem, za dwuznacznym kalamburem. Odbijał słowem, czego nie dokonał uczynkiem.

Nade wszystko był Stroński człowiekiem dobrym. Naprawdę zacnym, kochanym. Ta dobroć go deklasowała jako polityka. Przechodziła w naiwność, w bezradność, w bezbronność. Odbierała mu kły. Ale dawała mu urok. Wspominamy go z mniejszym podziwem, za to z o ileż bardziej szczerym żalem, niż ,,mężów stanu'', którzy większą od niego zrobili ,,karierę''.



Oto wiązanka osobistych wspomnień, które może, choć błahe, choć bardzo personalne, uprzytomnią tym co Strońskiego nie znali, Strońskiego-człowieka.

Poznałem go na jakimś posiedzeniu Ligi Narodów w Genewie w roku 1925. Przybyłem tam jako korespondent ,,Czasu'',

ale jeszcze jako ,,akademik'' czyli student, słuchacz wydziału prawa UJ. Miałem 20 lat, wierzyłem, że jestem bardzo przystojny, nosiłem czarne, strasznie obcisłe ubranko, sztywne kołnierzyki, dętciak, laskę, monokl, słowem wszystko co trzeba, by zrobić z siebie małpę i błazna, do tego byłem zakochany we własnym cudownym akcencie francuskim, którym i dzisiaj czasem lubię się popisywać : co tu gadać, musiałem być gagatkiem zupełnie nie do zniesienia.

Ktoś przedstawił mnie Strońskiemu, który z miejsca mnie najpoważniej zapytał :

,,A czy to ojciec pana napisał te artykuły o Piłsudskim w ,,Czasie''?

Trzeba w tym miejscu przypomnieć, że właśnie przed paru miesiącami napisałem byłem wówczas dwa artykuły w ,,Czasie'' o odczytach Piłsudskiego w Krakowie : były pełne komplementów, ale kończyły się proroczym stwierdzeniem : ,,Pierwsze czterolecie naszej niepodległości pozostanie na zawsze cokołem jego (Piłsudskiego) pomnika. Tego cokołu nie należy szpecić dobudówkami, które by nie miały historycznej miary minionej bezpowrotnie przeszłości''. Słowem dowodziłem, że Piłsudski był bardzo wielkim człowiekiem ale skończonym. Teraz w Genewie Stroński dopytywał się o ten artykuł, tak jak mi poprzednio gratulował go na AB krakowskim prof. Kot. Jeden tylko ekscelencja Władysław Leopold Jaworski po przeczytaniu tych proroctw pytał mnie swym przejmującym, syfilitycznym, świszczącym tenorem :

,,Więc pan uważa, że Piłsudski jest człowiekiem skończonym?''

Spojrzałem na niego ze szczerym zdumieniem.

,,Naturalnie. A Ekscelencja?''

Jaworski zarechotał swą tubką w przeżartym gardle :

,,Piłsudski? Wie pan, a może prędzej Witossssss?''

W rok później nastąpił przewrót majowy. Do przepowiedni jakoś nigdy nie miałem ani drygu, ani szczęścia.

Ale wówczas w Genewie, na pytanie Strońskiego odpowiedziałem z odpowiednio skromną minką :

,,Te artykuły, to ja pisałem, panie profesorze''.

,,No, no, powiedział Stroński, no, no. Taki młody. I już takie wyrobienie. Szczęśliwi ci Stańczycy, zawsze im się rodzą jakieś niezwykłe talenty. Tarnowski, Koźmian czy Klaczko?''

Poczułem do Strońskiego żywą sympatię.



Rok 1940. W Angers Stroński urzędował jako minister informacji Sikorskiego. Ja pracowałem w BBC w Londynie. Rocznica śmierci Piłsudskiego. Pierwsza na emigracji. Do wojny niejako urzędowy Wielki Piątek. Mur Płaczu, rzęsiste łzy wszystkich proszących o posady, awans czy subwencję. Teraz

nic. Otaczający mnie eks-zawodowi piłsudczycy, eks-fagasy Becka ani mrumru. Nagle odezwała się we mnie rogata dusza kozacza czy szlachecka. Nigdy piłsudczykiem nie byłem, ale teraz ja im wszystkim pokażę. Chwyciłem za pióro i machnąłem panegiryczek na pół strony. Że cała Polska pamięta, płacze... Poszło. Front się walił, Francja się waliła, świat się walił, co tam Anglików mogły te polskie Zaduszki obchodzić...

Ale Stroński czuwał!

Już nazajutrz od rana wszystkie telefony z Francji do Anglii, które nie były zajęte rozpaczliwymi wołaniami Gamelina o ratunek i pomoc, zarekwirował Stroński i jego urząd: skąd ten bunt, co to za spisek, kto śmiał, dlaczego, kto winien, ukarać śmiałka itd. Naturalnie w ciągu kwadransa stałem się nowym Kordianem, Łukasińskim itp. Po tygodniu przyszedł wyrok samego Sikorskiego: zakutego w kajdany odstawić do szeregów we Francji. Pierwszym transportem. Miałem zawsze kategorię E, ale kto się o takie rzeczy troszczył. Niestety Francja rozleciała się zanimem do niej odpłynął. Ale i na Wyspie Stroński czuwał. Ciupasem odstawiono mnie do Szkocji. Razem z Deutscherem. Dwóch dezerterów. Tam nietyle broniłem wybrzeża, ile pracowałem jako tłumacz. Oprócz mnie w tej kompanii rekruckiej byli sami Żydzi. Ślepi, kulawi — mniejsza o to, ale gorzej — nie mówili słowa po polsku. Z ghetta londyńskiego. Sierżant Zarzewa, typ grottgerowski, blondyn o marzących oczach, bardzo podobny do Arciszewskiego, ale nie Tomasza, lecz Mirosława, ongi posła R.P. w Buenos Aires, o płowych włosach i bladej cerze (podobno biedak gdzieś zginął w roku 1944) wykładał arkana celowania i strzelania po polsku, a ja musiałem w pocie czoła obcą mi sztukę balistyki tłumaczyć na angielski i na francuski, bo mieliśmy też w drużynie czy kompanii (już nie pamiętam) „Francuzów", czyli Żydów polskich z Francji, co uciekli z Paryża przed Hitlerem i znowu po polsku ani Be, ani Me. Służba wojskowa zostawiła mi na ogół przyjemne wspomnienia. Tak się człowiek czuł spokojny i bezpieczny, tak odpoczywał po nalotach londyńskich. Gdym wreszcie wrócił do Londynu, BBC mnie znudziło, zgłosiłem się do Strońskiego, który tymczasem zapomniał o mych „zbrodniach" i przyjął mnie na tłumacza w swym ministerstwie. Tak się zaczął „Strattoński" okres mego życia.



Stroński był fatalnym ministrem. Nikt nie może być dobrym ministrem informacji: bo jest to stałe złudzenie wszystkich bankrutów, że propagandą można zastąpić politykę i dyplomację. Podobno baron Louis, minister skarbu Ludwika XVIII (à propos jedynego króla Francji, który w życiu prywatnym nazywał się Stanislas: Louis Stanislas-Xavier brzmiały jego oficjalne imiona, ale ponieważ starszy brat Ludwik XVI był

Lulem, drugi musiał kontentować się Stasiem), otóż baron Louis miał mawiać: *donnez-moi une bonne politique et je vous donnerai de bonnes finances*. Jeżeli chodzi o finanse, to bym raczej odwrócił to twierdzenie, bo jak nędzarze, jak np. Polska przedwojenna, mogą prowadzić dobrą politykę — ale w każdym razie aforyzm ten brzmieć musi akurat odwrotnie, gdy chodzi o propagandę: bez sukcesów politycznych dobrej propagandy być nie może, mogą być tylko same klęski. Polacy stale prowadzą utopijną politykę, a potem mają pretensję do propagandy. Stroński nic nie wymyślił poza krzykiem, żadnego manewru. Ale w tej sytuacji, co innego można było wymyśleć? Co mogło pomóc przegranej od pierwszego dnia sprawie?

Na razie jestem jednak wciąż przy rozdziale Stroński-człowiek. Przy całym niemożliwym bałaganie Strattonu, Stroński tam utrzymywał nastrój salonu. Ostatni salon polski. Gdy na pierwszym piętrze Strattonu, w nieszczęsnym ministerstwie spraw wewnętrznych panowała atmosfera dintoiry i meliny, spelunki i karczmy, mordowni i chłopskiego wychodka, u Strońskiego zachowały się jakieś resztki dawnej Polski, pustej, próżnej, ale dwornej i wytwornej. Stroński miał kilka sekretarek, wszystkie z tzw. dobrych rodzin. Jedna z nich, młoda, hoża i nawet przystojna Krysia B. przybiegła kiedyś do mnie 13 marca: ,,Słuchaj Waciu, szepnęła, wiesz, że minister nam daje na imieniny po 5 funtów, ja tak strasznie potrzebuję pieniędzy, może będziesz aniołem i mu przypomnisz, że dzisiaj św. Krystyny...

,,Ależ Krysiu, zawołałem naprawdę zaskoczony, przecie obchodzisz imieniny w lipcu, sam pamiętam...

,,No tak, no tak, odparła Krysia, ale może minister zapomniał. Błagam cię, spróbuj...''

Wskoczyłem do gabinetu i szepnąłem Strońskiemu na ucho:

,,Panie Ministrze, Krysia B. obchodzi dzisiaj imieniny, może by pan minister miał dla niej 5 funtów...''

Ze zdumienia Stroński aż ściągnął cwikier z nosa, co mu się rzadko zdarzało, i popatrzył na mnie kurzym wzrokiem:

,,Ależ, panie Wacławie, panna Krysia zawsze obchodziła swe imieniny w lipcu, więc to chyba jakaś pomyłka?''

,,No tak, tak, Panie Ministrze, powiedziałem bezczelnie, ale widzi pan, ona jest tak pobożna, że obchodzi obie swe patronki, i tę w lipcu, i tę marcową...''

Poczciwy Stroński rozchichotał się, wyjął 5£, mrucząc:

,,Och, ta dzisiejsza młodzież, ta młodzież...''

O mały włos nie rozbiłem nosa uroczej Krysi, która podsłuchiwała pod drzwiami. Zapłoniła się, zarumieniła, i zawołała: ,,Ależ ten nasz minister, to naprawdę porządny człowiek.''

Jeszcze z tej samej branży: już po wojnie zapoznałem Strońskiego z pewną Polką, naprawdę zresztą bezkonkurencyjnie najpiękniejszą Polką na emigracji. Nazwijmy ją, tak by się nikt nie mógł domyśleć o kogo chodzi, panią Niną. Stroński

przypatrywał się jej mrużąc oczy, zdejmując i wkładając cwikierek, wreszcie powiedział: „Proszę pani, jak to się stać mogło, by tak piękna osoba nie pracowała u mnie w Strattonie?"
C'était un galant homme, a takich jest mało.



Stroński potrafił ocenić urodę oraz dobry dowcip, ale nie znał się na ludziach. Wszystko na świecie jest relatywne: naturalnie Stroński nigdy nie stoczył się do poziomu nieszczęsnego Kota, który potrafił zrobić swym zastępcą w ministerstwie informacji taką superkanalię, jaką był Drohojowski, wyrodek i zboczeniec, prowokator i łaps, którego nawet w końcu już i Bezpieka nie mogła strawić. Ale któregoś dnia Stroński wezwał mnie urzędowo do swego gabinetu:

„Panie Wacławie, rzekł mi głosem, który miał być surowy, a brzmiał raczej komicznie, Litauer mi się skarżył, że pan mu nie podaje ręki i nie wita się z nim. Czy mogę zapytać, co jest powodem tak niewłaściwego zachowania się wobec kolegi?"

Odpowiedziałem z właściwym mi tupetem:

„Po prostu dlatego, że uważam Litauera za zwyczajnego szpiega sowieckiego".

Na to Stroński zawołał: „Nie słyszałem pana odpowiedzi, bo gdybym ją słyszał musiałbym pana natychmiast zwolnić za nieuzasadnione oszczerstwa pod adresem wzorowego urzędnika..."

Później, gdy fakt pozostawania Litauera na usługach NKWD nie mógł już dla nikogo być tajemnicą, znajdywałem pewną przyjemność w wypominaniu Strońskiemu jego zaślepienia na tym punkcie.

Wówczas Stroński zwykle ciężko wzdychał: „Ależ któż to mógł przypuszczać, kto mógł przypuszczać?..."

Na co naturalnie z wewnętrznym poczuciem wyższości i zadowolenia mówiłem z udaną skromnością: „Więc jakto, ja mały urzędniczyna mogłem Litauera przejrzeć, a inni nie mogli?..."

Stroński kiwał głową: „No tak, to prawda, ale pan, panie Wacławie, pan wszystkich uważa za idiotów, a co drugiego za kanalię..."

Co prawda, to prawda.



Stanisław Mackiewicz zawsze twierdzi w rozmowach — a może to i kiedyś napisał — że nie można sobie wytworzyć obrazu kogokolwiek — męża stanu, pisarza etc. — jeżeli się nie zna jego życia prywatnego, intymnego. Jak zwykle w tego rodzaju teoriach i uogólnieniach — jest i w tej źdźbło prawdy, ale relatywnej. Stroński nie był typem hipochondryka, neuraste-

nika, nerwowca — sądzę, że jego życie prywatne nie wykraczało poza ramy rodzinne: był dobrym mężem, kochającym ojcem, życzliwym krewniakiem. W całej postaci Strońskiego nie było absolutnie nic, co by wykraczało poza dobrą przeciętną, co by predystynowało go do odegrania roli w czasach burzliwych, niespokojnych. Gdyby się był urodził o trzydzieści lat wcześniej, byłby przeszedł normalny, tradycyjny *cursus honorum* monarchii habsburskiej: doktór, profesor, hofrat, poseł na sejm galicyjski, poseł do rady państwa w „Widniu", minister dla Galicji, może, może austriacki minister oświaty na bardzo stare lata. A że był dowcipny, przy czym z lekka ze staropolska rubaszny, więc łatwo by przeszedł do legendy i potomności, jako nowa edycja, mniej szlachecka, bardziej burżuazyjna Wojciecha Dzieduszyckiego, z którego, nie wiadomo dlaczego, zrobiono Sokratesa i Rabelais'go.

Ale pokolenie Strońskiego pod złą urodziło się gwiazdą.

◆

Stroński dziennikarz. Są pewne genry, które trwają, które samymi rozmiarami są imponujące: np. obraz olejny, freski, monumentalne kościoły. Ale już jak trudno napisać panegiryk miniaturzysty. Na miliony karykaturzystów któż został? Na dobrą sprawę Goya, może Hogarth, może znalazłoby się paru innych, podczas gdy portrecistów dworskich można liczyć na kopy. W literaturze dziennikarz to jest miniaturzysta. Jego twórczość jest z natury rzeczy przemijająca. Jak suknia Diora, jak omlet czy deser wielkiego kucharza. Zbiory artykułów, zwłaszcza z prasy codziennej, zwykle wywołują „anticlimax", wrażenie zawodu. Nie mają należytego oddalenia, dystansu. Co tu mówić: rodzaj to bardzo podleńki.

Stroński należał na pewno w Polsce do czołowych dziennikarzy. Trudno nam dzisiaj sobie z tego zdać sprawę, bo jego twórczość na emigracji była słabiutka, płytka i nudna. Ale okres od 1920 do 1926 roku, od wyprawy kijowskiej do zamachu majowego był niewątpliwie jego „złotym wiekiem", jego „Sturm und Drang Periode". Stroński zohydził Polsce wyprawę kijowską. Zohydził program federacyjny, a przede wszystkim program ukraiński. Stroński zohydził Locarno, zohydził próby dogadywania się z Niemcami, zohydził nade wszystko Piłsudskiego jeżeli nie całej Polsce, to bardzo znacznej jej części. Tuzinkowy dziennikarz by tego nie dokonał. Na czym polegał sekret dziennikarza Strońskiego?

Tych sekretów było parę, ale było ich jednak mało. Po pierwsze Stroński miał talent niemal wyłącznie negatywny, to znaczy depopularyzowania, można by omal powiedzieć: zohydzania, choć to wyrażenie byłaby za silne! — zohydzanie imputuje jakąś demoniczność, a w Strońskim cienia demonizmu nie było; zjadliwe, kąśliwe pióro nigdy nie potrafiło przesłonić do-

brego dziadzi, poczciwego spiessbuergera. Po drugie Stroński był jednym z pierwszych dziennikarzy w Polsce, który nauczył się pisać zwięźle i krótko: talent ten co prawda z kretesem stracił na stare lata. Ale po kobyłach takiego Ehrenberga, i wielu innych, jego cięta proza była ożywcza, niczym natrysk zimnej wody z mocnego szlaucha. Po trzecie Stroński — znowu za swych dobrych czasów — umiał się ograniczyć do jednego tematu: *il savait sérier les questions* — pisał prosto, o jednej tylko sprawie, w pierwszym odstępie przesłanki, w drugim obraz sytuacji, w trzecim — wnioski. Józio Czapski, zawsze lubujący się w Moskalach, jak wszyscy Polacy wychowani w Petersburgu, opowiadał mi kiedyś, jak ongi Fiłosofow zwierzył mu się, iż nienawidzi Francuzów. Dlaczego? Bo po dziesięciu minutach już taki przeklęty Francuz przerywa i woła: *Et alors?* Owe *et alors,* to właśnie te wnioski, które są istotą jasności myśli, a więc i jasności pisania, a więc i dobrego dziennikarstwa. Stroński umiał wyciągać nie tylko wnioski, ale i przez sześć lat wyciągać *jeden* wniosek: trzeba obalić Piłsudskiego, względnie za żadną cenę nie dopuścić do powrotu Piłsudskiego do władzy. To przynajmniej było proste i jasne. Był i drugi wniosek, który Stroński wmawiał społeczeństwu polskiemu już nie lat sześć, ale lat trzydzieści: Germania delendam esse. I tak przechodzimy do charakterystyki Strońskiego, jako polityka. Jak się w tej dziedzinie zapisał?

◆

Stroński polityk. Zacznijmy od tego, że każdy zawód wytwarza pewne deformacje profesjonalne. Polityka jest akcją, jest sztuką czynu. Proust gdzieś genialnie zauważył, że „ludzie z towarzystwa" są ludźmi czynu, na skalę mikroskopijną, ale jednak czynu. Składanie wizyt, ułożenie listy gości, odsadzanie jednych, zbliżanie się do innych — to są wszystko pewne formy aktywności. Zawodową deformacją polityków jest brak myśli, brak programu, brak poziomu: widzimy to wyjątkowo jaskrawo u senatorów amerykańskich, a może najbardziej u kardynała Spellmana. Inna deformacja zawodowa zawodowych polityków — od dyktatorów do drobnych kombinatorów — to kłamstwo: facety łżą niczym piękne kobiety. Profesjonalną deformacją businessmenów jest wulgarność: wulgarność myśli, uczuć, nawet form: przypuszczam, że nie można zrobić milionów bez przymieszki prostactwa. Intelektualiści — a do nich zaliczał się Stroński — wpadają bądź w histerię, jeżeli są naturami skomplikowanymi, bądź w pewną powierzchowność, okazują bezradność, naiwność. Człowiek pióra napisze artykuł, książkę, i wydaje mu się, że swoje zrobił: a w polityce, to tylko początek akcji politycznej. Między akcją Strońskiego jako ministra informacji a Mackiewicza jako premiera — pomimo różnicy charakterów, pomimo kolosalnej różnicy zakresu możliwości i znaczenia w roku 1940-ym a w roku 1955-ym — zacho-

dziły zdumiewające analogię: przeświadczenie, że sformułowanie własnego stanowiska jest już załatwieniem sprawy. To bardzo ciekawe i zabawne: zły dziennikarz może łatwiej stać się dobrym ministrem, niż dziennikarz znakomity: tak trudno bowiem dojść do prawdziwej wirtuozerii w kilku dziedzinach. To kiedyś Edward Raczyński trafnie powiedział: ,,właściwie każdy może się nauczyć — i to normalnie za młodu — jednego tylko zawodu, jest urzędnikiem, czy dyplomatą, czy wojskowym, czy dziennikarzem, i potem właściwie do końca tym jednym zawodem jedzie; reszta to puc''. Stroński był dziennikarzem, a politykiem właściwie nie stał się nigdy. Nie potrafił.

To się wyczuwało, patrząc np. na rozmowę Strońskiego ze St. Grabskim. Obu widziałem kilka razy razem w Londynie w 1944 roku. Grabski był o dobrych dziesięć lat starszy. Ale do końca wyczuwało się w nim zamiłowanie do polityki, ciągnęło go do niej, jak starego szulera do zielonego stolika. Gdy pytałem się Strońskiego o zdanie o Głąbińskim czy Witosie, to widziałem od razu, że Stroński cały swój mózg wysila, by na poczekaniu wykombinować jakiś dowcip, jakiś kalambur: nie zawsze mu się to udawało. Natomiast Grabski mówił nawet o ludziach dawno zmarłych, jakby miał zaraz siąść z nimi do roberka, do nowej partyjki, liczył się z każdym słowem, tak jakby własnych kart bał się pokazać. Widać było, że Grabski jednej rzeczy nie mógł odżałować: że w 1926 roku Piłsudski jego, Grabskiego, tak nabił w butelkę, robiąc zamach stanu, gdy on, Grabski, przysięgał swym kolegom w rządzie na podstawie 30-letniej znajomości, że Piłsudski tylko straszy. Grabski, rasowy polityk, wierzył, że potrafi Stalina oszukać: w tej właśnie myśli (naiwnej zresztą) wyruszył z tępawym Mikołajczykiem do Moskwy. Stroński odmówił ambasady w Moskwie, gdy Kota stamtąd Stalin kazał odwołać. Sam mi wówczas mówił z machnięciem ręki: ,,Panie, co tam można w Moskwie zrobić?'' Pewno, ale tym niemniej Stroński graczem nie był. A więc nie był i politykiem.

Ale do tego samego dojdziemy wniosku, analizując postępowanie Strońskiego i z innej strony. Walką jego życia była walka z Piłsudskim. Temat to trudny i niewdzięczny, bo dla wielu Polaków — to nie jest problem polityczny, a więc rozumowy, ale uczuciowy: każda krytyka jest przez nich odczuwana, jak rzucenie potwarzy na ukochaną kobietę. Powiem więc tylko oględnie i zwięźle, że w perspektywie lat sądzę, iż Stroński miał rację, uważając Piłsudskiego za postać szkodliwą i zgubną, że konserwatyści natomiast popełnili błąd złowieszczy i złowróżbny. Piłsudski doprowadził do zwyrodnienia życia politycznego w Polsce, socjalnie i gospodarczo stworzył tylko — w najmniejszym stopniu tego nie chcąc ani nie rozumiejąc co robi — państwo urzędnicze, skazał Polskę na nędzę, politykę zagraniczną prowadził ,,na wyrost'', jakieś łamańce à la Tito, ale w dużo groźniejszej sytuacji. Notabene, tę politykę, którą z tak kata-

strofalnym skutkiem prowadzili Piłsudski i Beck, mogłyby prowadzić dzisiaj tylko Niemcy, zresztą z większymi szansami powodzenia, niż Polska — ale właśnie Adenauer prowadzi wręcz odwrotną, bo nie chodzenia po linie, wykręcania się w obie strony i quasi-sfinxa, ale *lojalności*. Ale przy wszystkich swoich katastrofalnych barkach, Piłsudski miał silną, nawet potężną indywidualność, miał tę bezgraniczną wiarę w siebie, ten chorobliwy egocentryzm, który stanowi o popularności dyktatorów i o powodzeniu pięknych kobiet. I tutaj do walki z tym Goliatem wystąpił miły, milutki, milusi Dawid-Stroński, prawdziwy Dawidek, choć zacny, choć dobry, ale nie tej miary, nie tego kalibru. Trudno — nie każdy aniołek, a już zwłaszcza pucołowaty, może się mierzyć z samym Belzebubem, z księciem ciemności. Rola, która spadła na barki Strońskiego, a także Nowaczyńskiego, rola czołowego antagonisty Piłsudskiego, była na jego barki za ciężka, a więc była dla niego krzywdą. Znowu czyjaż to wina? Dmowskiego, tej drugiej katastrofalnej postaci dwudziestolecia. Dmowski był antagonistą na miarę Piłsudskiego, przynamniej jeżeli wierzyć jego hagiografom: bo też roznosiła go pycha, wiara we własny geniusz i własne przeznaczenie. Gdyby Dmowski stał się Foxem Piłsudskiego, może by ze starcia dwóch silnych indywidualności mógł wyrosnąć zdrowy ustrój parlamentarny, co było niemożliwe przy antagonistach klasy Korfantego, Witosa itd. Zamiast jednak stanąć w szranki otwartej walki, Dmowski zaczął się dziwaczyć: nie ma innego właściwego słowa. Wybrał jakiś wielkopolski Aventyn, potem zaczął robić propagandę idei faszyzmu i dyktatury, jakby nie zdawał sobie sprawy, że dyktatura nie spada nigdy na leniwych Merowingów, *les rois fainéants,* ale zawsze na agresywnego Pipina. Dzięki tej karencji, tej absencji Dmowskiego Stroński został wypchnięty na rolę, która przekraczała jego możliwości, do której nie dorastał. Stroński mógł mieć rację, miał rację, ale gdy widziano z jednej strony postać niesamowitą, a z drugiej zacnego profesora — no trudno, partia była nierówna, to znaczy z góry przegrana. Fakt, że Stroński uniknął ohydnych rękoczynów sanacji, których ofiarami padli Zdziechowski i Nowaczyński, nie był aktem uznania, był dyplomem nieszkodliwości politycznej z punktu widzenia zamachowców. Trafnym.

Przejdźmy do drugiej wielkiej maroty Strońskiego, to znaczy do jego fobii niemieckiej. O ile ją doskonale rozumiem u Wielkopolan, o tyle mnie zawsze dziwiła u Kresowiaków: przecie Lwów był na pewno w tymże stopniu zagrożony przez Ukraińców i Rosję co Poznań przez Germanów. A ostatecznie patriotyzm lokalny zawsze wydaje mi się najbardziej logiczny, naturalny. Szał antyniemiecki — przed 1939 r. naturalnie — lwowiaków à la Stroński wydawał mi się dziwaczny. Ale mniejsza o to. Dużo dawniejszą była nonszalancja czy zgoła nieodpowiedzialność Strońskiego w tej materii. Gdy rozmawiałem z polskimi antysemitami, zawsze mówiłem to samo: myślcie so-

bie co chcecie, ale nie zapominajcie, że walka z Żydami, to nie walka z chałaciarzem, to walka ze straszliwą potęgą, bo Ameryka to są Żydzi, bo wielki kapitał — to są Żydzi, bo bolszewicy — to Żydzi, bo masoni — to są Żydzi, bo prasa — to Żydzi, bo opinia publiczna — to Żydzi. Śmiano się ze mnie: co pan też wygaduje, Żydy to Żydki, pejsy i jarmułka, i jest o czym gadać? Że jest o czym gadać przekonano się w 1945 r. kiedy wszystkie wpływy światowego żydostwa biły w Polskę jak w bęben. Otóż tak samo wygląda sytuacja z Niemcami. Można powiedzieć: ,,Niemcy są naszym wrogiem śmiertelnym, nie ma pardonu, nie ma kompromisu, nie ma współżycia'', dobrze, ale trzeba wiedzieć czym to grozi i czym to pachnie. A Stroński całe życie podchodził do tego problemu bez tego poczucia, że idzie tu o życie milionów, o egzystencję państwa. Głośny dziennikarz monachijski, Immanuel Birnbaum, opowiadał mi następujący incydent: gdzieś koło roku 1931 niejaki Treviranus wygłosił w Berlinie mowę, żądającą rewizji granicy na Pomorzu. Stroński zorganizował wielki wiec w Warszawie, z klaką, która na każde jego retoryczne pytanie: jak na to odpowiemy — ponuro intonowała: śmierć Niemcom. Birnbaum siedział w czasię tej manifestacji w pierwszym rzędzie. Stroński ciągle na niego patrzał. Po odśpiewaniu budującej, pięknej i tak mile łechtającej dumę narodową ,,Roty'' Stroński podszedł do Birnbauma i zapytał go: ,,No jak się panu podobało?'' Birnbaum odparł: ,,Ostatecznie jestem Niemcem, trudno, żeby te krzyki 'śmierć Niemcom' mnie zachwyciły''. Na to Stroński zaprosił go na śniadanie, i był bardzo zdziwiony, gdy Birnbaum odmówił. Ta lekkomyślność w kwestiach życia i śmierci narodu jest bardzo dla Polaków typowa. Iluż dzisiaj tzw. poważnych polityków woła: ja pragnę wojny, ja chcę wojny jak najprędzej. Jeżeli wojna, to jakaś bomba wodorowa — sowiecka czy amerykańska — może spaść na Polskę, i wykończyć połowę narodu polskiego. Czy to się może opłacić? Nikt się nad tym nie chce zastanawiać. A potem wymyślamy Zachodowi od krótkowzroczności.

◆

Gdy w maju 1943 roku Stroński został przez Sikorskiego brutalnie usunięty z gabinetu, by zrobić miejsce dla Kota, zadzwoniłem do niego do domu z kondolencjami. Ale Stroński już był odzyskał humor: ,,Cóż to, wołał w telefon, to pan uważa, że to tak wielki zaszczyt być kolegą Stańczyka?''

Miły, dobry człowiek. Kulturalny. Inteligentny. Wykształcony. A jako polityk? Wszyscy polscy politycy kończą zawsze przegrani. Polska widocznie nie umie wydawać innych.

W.A. ZBYSZEWSKI

Po XX Zjeździe Partii

Na przestrzeni czterdziestu lat od chwili wybuchu rewolucji propaganda bolszewicka często zmieniała swe oblicze. W październiku 1917 roku bolszewicy proklamowali nowe prawdy, a cały świat pilnie ich nadsłuchiwał. Błyskotliwe przemówienia miały patos Wielkiej Rewolucji. Głoszono postulaty: ,,Fabryki własnością robotników'', ,,Ziemia dla włościan'', ,,Wolność i niepodległość uciśnionym narodom'', ,,Równość dla wszystkich ras i ludzi'', ,,Precz z wojną''. Hasła te zdolne były do wzbudzenia sympatii we wszystkch krajach świata. Potem przyszła wojna domowa, intrygi w walkach wewnętrznopartyjnych, terror policyjny Stalina. Rewolucja światowa odeszła na dalszy plan, a budowanie socjalizmu we własnym państwie stało się nowym programem. W 1928 roku Stalin rzucił hasło ,,Dogonić i przegonić'' — Związek Sowiecki w przeciągu nadchodzących 10-15 lat powinien gospodarczo prześcignąć wszystkie kraje kapitalistyczne. Wypadło to trochę inaczej. Kolektywizacja zniszczyła podstawy sowieckiej gospodarki rolniczej i w końcu 1932 roku gdy 10 milionów ludności wiejskiej zmarło z głodu Stalin musiał ograniczyć swoje żądania. Nie należało dopędzać już wszystkich krajów kapitalistycznych, lecz jedynie dogonić gospodarczo Stany Zjednoczone. W 1936 roku nowa plaga: Wielka Czystka. Ponad 8 milionów najlepszych ludzi Rosji powędrowało do obozów koncentracyjnych na dalekiej Północy. Ciężki cios dotknął gospodarkę państwa i hasło ,,Dogonić i przegonić'' przycichło. Druga wojna światowa przyniosła Stalinowi nieoczekiwane możliwości.

Naród rosyjski — jedyny — wytrzymał, natarcie nazistowskich zdobywców. Militarne osiągnięcia Czerwonej Armii pozwoliły zapomnieć o tym co zaszło w latach 1933 i 1937. Sowiecka propaganda odniosła zwycięstwo zarówno w Ameryce jak i w Wielkiej Brytanii.

W dwa lata po śmierci Stalina komuniści powrócili do propagandy wielkich cyfr gospodarczych. Na nowo odżyło hasło przegonienia Ameryki, które słyszeliśmy już w 1932 roku.

W okresie drugiej pięciolatki Rosja produkowała 18, a Stany Zjednoczone 43 miliony ton stali. Obecnie Rosjanie produkują 45, podczas gdy Ameryka ponad 100 milionów ton. Różnica w cyfrach produkcji wzrosła, ale zarówno komuniści jak i pewni liberalni ekonomiści zachodni jak Whiles i Bergson, oraz znawca Rosji Izaak Deutscher nie biorą pod uwagę cyfr absolutnych, lecz tylko tempo wzrastania produkcji. U schyłku trzydziestych lat rosyjskie statystyki — z wyjątkiem skąpych publikacji tyczących kluczowych przemysłów — zaprzestały podawania cyfr absolutnych, ograniczając się do procentów. Dopiero na XX Zjeździe Rosjanie podają znowu trochę cyfr absolutnych.

Z oceną tempa rozwoju produkcji możemy wyczyniać najpiękniejsze łamańce. Już jako dzieci obliczaliśmy co by się stało, gdyby Karol Wielki złożył tylko jednego centyma do kasy oszczędności na oprocentowanie 6% z przeznaczeniem dla narodu francuskiego. Dochodziliśmy wtedy do wniosku, że każdy Francuz otrzymałby obecnie kilka bilionów franków. Do podobnych wniosków dochodzą teoretycy tempa rozwoju produkcji, rozpatrując perspektywy rosyjskiej gospodarki.

Gdyby w takich krajach jak Nepal czy Saudyjska Arabia, które nie produkują stali, powstała stalownia, tempo wzrostu produkcji, w roku jej powstania, przegoniłoby najbardziej uprzemysłowione kraje. Biorąc te cyfry procentowe za podstawę można twierdzić, że ciężki przemysł Nepalu po kilkudziesięciu latach pobiłby na głowę wszystkie kraje świata. Metoda ta używana jest często przez niektórych liberalnych ekonomistów. Stosując ją do Związku Sowieckiego wzmacnia się świadomość siły u tych komunistów, którzy już nie wierzą w zbrojne powstania robotników i w światową rewolucję. Nadzieją ich jest to, że ,,Sowiecka gospodarka za kilka lat pobije gospodarkę wolnych narodów. Jeśli to się uda, zwycięski pochód komunizmu jest zabezpieczony".

Sowiecka statystyka pomaga wszechstronnie panom Whilesowi, Bergsonowi i Deutscherowi. Stanowisko wyjściowe zmienia się stale przy obliczeniach tempa rozwoju. Raz jest to rok 1929, kiedy indziej 1937, 1940 czy 1951. Jeśli chodzi o Rosję, to porównuje się najniższy poziom w okresie kryzysu z najwyższym w okresie koniunktury, natomiast gdy rozpatrywana jest produkcja amerykańska czyni się odwrotnie. Zachodnia nauka przygląda się tym sztuczkom bezsilnie.

Teoria gospodarki narodowej zaczyna się od pytania Adama Smitha: Skąd pochodzi bogactwo narodów? Czytamy przemówienie Chruszczowa na XX Zjeździe Partii Komunistycznej ZSSR i porównujemy podane przez niego cyfry z niewymownie niskim poziomem życia mieszkańców Związku Sowieckiego. Zadajemy sobie wtedy pytanie, gdzie znika bogactwo narodowe? Chruszczow wyjaśnia, że ogólna produkcja sowieckiego przemysłu podniosła się 20-krotnie w stosunku do

1928 roku. Podaje on cyfrę globalną, nie wyjaśniając jak rozwijały się poszczególne gałęzie przemysłu. Wiemy, na podstawie innych publikacji, że silniej rozwinęła się wytwórczość poświęcona środkom produkcji, aniżeli dobrom konsumpcyjnym. Ale ta niewspółmierność nie jest tak gwałtowna jak to sobie na Zachodzie wyobrażamy. Chcąc być bardzo ostrożni musimy przyjąć, że wzrost przemysłu lekkiego pozostaje najwyżej o 40 procent za wzrostem przemysłu ciężkiego. Poziom życia w okresie ,,Nep'u'' był w Rosji prawie tak wysoki jak w krajach wschodniej Europy. Gdyby dzisiaj każdy sowiecki obywatel miał do swej dyspozycji dziesięciokrotnie więcej dóbr konsumpcyjnych niż w roku 1929, to jego poziom musiałby być znacznie wyższy niż poziom życia zachodnich europejczyków, a może nawet Amerykanów. Można fałszować statystyki, ale na przykład poziom życia mieszkańców Moskwy jest znany akredytowanym tam dyplomatom zachodnim. Znane są zarówno ceny wolnorynkowe jak i płace stenotypistki czy niewykwalifikowanego robotnika. Wszystkie informacje stwierdzają zgodnie trudną do wyobrażenia nędzę ludu rosyjskiego. Na co więc zostało zużyte bogactwo narodowe?

Do jakiego stopnia wzrósłby aparat produkcyjny Stanów Zjednoczonych, jeżeli jakiś system — przy pomocy terroru i metod policyjnych — zmusiłby obywatela amerykańskiego do rezygnowania w ciągu trzech dziesiątków lat z dużej części dochodów na rzecz rozbudowy przemysłu? Na pewno zabrakłoby robotników do obsługi nowo wyprodukowanych maszyn. Niewątpliwie komunistom udało się zmusić naród rosyjski do głodowania i wyrzeczeń przez ćwierć wieku, aby zbudować potężny aparat produkcyjny. Ale czy jest to dowodem wyższości ich metod gospodarczych? Nie, to jedynie dowód przewagi ich policji.

Dopóki Rosjanie rozporządzają olbrzymim rezerwuarem nieefektywnie zatrudnionych robotników rolnych zawsze będą mieli możność budowania nowych fabryk. Ale właściwy wyścig rozpocznie się z chwilą, gdy środki produkcyjne osiągną poziom kraju uprzemysłowionego. Czy może wtedy potrzeby ludności będą lepiej i taniej zaspakajane niż w krajach wolnych? Każdy znawca nienależący do partii musi w to wątpić.

W 1931 roku inżynierowie z koncernu Forda wybudowali w Gorkim fabrykę samochodów według modelu jednej z fabryk w Detroit. Te same maszyny, ten sam typ samochodu, te same metody produkcji. Dwa lata później zastępca szefa ,,Gospłanu'' (Państwowej Komisji Planowania) wyjaśnił: ,,Zanalizowałem cyfry tyczące fabryki i stwierdziłem że samochód kosztuje nas siedem razy drożej niż w Detroit''. Powodem tego stanu rzeczy nie była nieporadność rosyjskiego robotnika czy też brak wiadomości technicznych, ale przede wszystkim niechlujstwo i dezorganizacja całej rosyjskiej gospodarki, zaopatrującej fabrykę w Gorkim w surowce, półfabrykaty i środki transportowe.

Ani ekonomiczne ani polityczne wywody Chruszczowa i Bułganina nie odbiegają bardzo od tonu poprzedniego Kongresu Partii. Jeżel XX Zjazd oznacza jednak zmiany w historii rosyjskiej Partii, to dzięki kilku zdaniom w przemówieniu Chruszczowa i wyjaśnieniom Mikojana.

Chruszczow domagał się nowego podręcznika historii, Mikojan natomiast rozpoczął od rehabilitacji przywódców bolszewickich, których Stalin wymordował w czasie Wielkiej Czystki.

Ludzie, którzy śledzili to co się działo w Rosji od 1936 do 1939 roku, którzy przeżyli fantastyczny proces likwidacji warstwy inteligenckiej tego kraju, wiedzą, że chodziło wtedy również o wymazanie tego okresu z pamięci narodu rosyjskiego. W miejsce rzeczywistej historii dano historię fikcyjną. Ta fałszywa historia, której autorem był sam Stalin, obowiązywała od tego czasu we wszystkich szkołach i zakładach naukowych ZSSR i była oficjalną wersją. Wymuszone torturami zeznania starych bolszewików w czasie moskiewskich procesów, były podstawą tej fikcji. Dzieci w szkołach uczyły się, że Trocki w 1923 roku wstąpił na służbę niemieckiego wywiadu, że Bucharin już w 1918 roku gotów był zamordować Lenina, że starzy bolszewicy sprzysięgli się by wprowadzić z powrotem kapitalizm, którzy sami szesnaście lat przedtem obalili. To policyjne ujęcie historii było nie do zniesienia nawet dla obecnych członków prezydium partii. Przez trzy lata nie odważali się dotknąć tej sprawy. W przede dniu otwarcia Zjazdu czasopismo sowieckiej Akademii Nauk poświęcone zagadnieniom historii ogłosiło artykuł rehabilitujący między innymi generała Gamarnika — przyjaciela Tuchaczewskiego, Czuby — premiera Republiki Ukraińskiej, oraz Postyszewa — sekretarza Ukraińskiego Centralnego Komitetu. Na jawnym posiedzeniu Zjazdu Mikojan zajął się przywróceniem czci Antonow-Owsiejence, człowiekowi, który w październiku 1917 roku zdobywał Pałac Zimowy i Kosiorowi, generalnemu sekretarzowi ukraińskiej partii. Wszystkich tych ludzi Stalin skazał na śmierć w drodze administracyjnej i zlikwidował. Wielu członków obecnego Politbiura brało czynny udział w wielkich zbrodniach Stalina w okresie 1937-1939 (*). Czemu Mikojan nie zostawia zmarłych w spokoju? Czemu stara się — zapewne z polecenia Politbiura — odgrzebać problemy wielkiej czystki?

(*) Do tej pory nie zajęto się rehabilitacją wielkich postaci wewnętrznej opozycji w łonie rosyjskiej rewolucji. Bucharin, Rykow, Kamieniew, Zinowiew, Piatakow, Sokolnikow, Murałow, Krestinskij i wielu innych zostało skazanych w procesach pokazowych. Nie można rehabilitować poszczególnych osób, nie rehabilitując pozostałych i nie podnosząc straszliwego oskarżenia sprawiedliwości sowieckiej o popełnienie sądowego mordu. Dowody winy we wszystkich wypadkach są jednakowe: oskarżony dobrowolnie przyznaje się do imputowanych zbrodni. Rehabilitując jednego, który do winy się przyznał, nasuwa się wniosek, że wszystkie zeznania były wymuszone torturami.

Po śmierci Stalina jego następcy znaleźli się między Scyllą a Charybdą. Nowego dyktatora nie chcieli. Przeżyli dojście do władzy Stalina i wiedzą, że dynamika walki o władzę zmusi każdego dyktatora do fizycznego zniszczenia swoich przeciwników. W żadnym wypadku nie dopuściliby do tego, by jeden człowiek koncentrował władzę, łącząc w swym ręku zarówno armię jak i tajną policję. Dlatego władza jest stale dzielona przynajmniej między dwóch ludzi : Malenkow-Berià, Malenkow-Chruszczow, Chruszczow-Bułganin. Całe Politbiuro zazdrośnie śledzi tych, którym powierzyło władzę, czy nie próbują oni za wzorem Stalina obsadzić aparat rządowy swymi ludźmi, czy nie traci nad nimi kontroli. Kiedy Beria zaczął opanowywać tajną policję Ukrainy i Gruzji został natychmiast obalony przez innych członków Politbiura. Dyktatura kolektywna jest chwiejnym systemem rządzenia.

Kiedyś muszą wypłynąć konflikty, które rozsadzą solidarność grupy. Walki diadochów grożą powstaniem mas ludowych.

Ludzie z Politbiura obawiają się ruchów społecznych w tym samym stopniu co nowego dyktatora. Znają oni nastroje w kraju. Są współodpowiedzialni za zbrodnie Stalina. Szukają elastyczniejszych form panowania i szerszego zespołu rządzących do rozstrzygania wewnętrznych konfliktów. Dlatego zdecydowali się — nie ze względów moralnych, lecz na skutek chwiejnej struktury podziału sił — na pójście drogą prowadzącą do powolnego odprężenia. Bardzo ostrożnie, w małych dawkach, chcą dać narodowi rosyjskiemu trochę więcej wolności i trochę więcej chleba.

To ostatnie jest łatwiejsze. Malenkow sprzedał część zapasów złota aby zakupić zagranicą artykuły żywnościowe i materiały włókiennicze. Jednocześnie rzucił na rynek część zapasów ,,Komitetów Rezerw''. Ceny uległy obniżeniu, standard życiowy podniósł się. Jest to krótkotrwały środek zastępczy, ale na razie skuteczny. Wprowadzenie atmosfery wolności jest trudniejsze. Dwa przeżycia pozostawiły urazy w pamięci narodu rosyjskiego : Wielka Czystka i kolektywizacja. Jeżeli rząd pragnie zawrzeć pokój z narodem — musi rany te wyleczyć.

Gdy cały kraj opanowany jest przez olbrzymie kłamstwo powrócenie do form istniejących za czasów Lenina jest niemożliwe. Wówczas w pewnych granicach dopuszczalna była dyskusja, a przynajmniej była możliwa rozbieżność zdań wewnątrz partii bolszewickiej. Nawet czasem burżuazyjni profesorowie zwalczali w prasie stanowisko Lenina. Bucharin na Kongresie Partii poświęconym pokojowi Brzeskiemu, podarł swą legitymację partyjną na znak protestu przeciwko polityce Trocki-Lenin. Przywódcy opozycji robotniczej w Baku nazwali publicznie Komintern pasożytem, żądając jego rozwiązania.

Powstanie na nowo takiej atmosfery przy jednoczesnym istnieniu legendy moskiewskich procesów jest niemożliwe. Nie można dać wolności i jednocześnie żądać od masy członków

partii, aby wierzyła w to, że cała stara gwardia bolszewicka, z wyjątkiem dwóch ludzi, składała się ze szpiegów i zdrajców. Zerwanie ze stalinizmem wymaga zerwania z fikcjami, których fundament stanowi Wielka Czystka.

Ale czy ludzie zasiadający obecnie w Politbiurze są zdolni tym procesem pokierować? Większość z nich w czasie czystki brała udział w zbrodniach Stalina. Wszyscy — może pod przymusem — uznawali ją za potrzebną. Mikojan żądał rehabilitacji Kosiora. Ale przecież w obecnym Politbiurze zasiada dwóch ludzi, którzy odegrali czołowe role w likwidacji Kosiora: Mołotow i Chruszczow. Mołotow z polecenia Stalina pojechał do Kijowa i zwołał posiedzenie Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Ukrainy. Żądał na nim wykluczenia Kosiora z Partii. Usunięcie z Partii w tamtych czasach oznaczało uwięzienie. Centralny Komitet odmówił; wobec tego Mołotow zwołał posiedzenie Politbiura Ukrainy, które również sprzeciwiło się wydaniu swego sekretarza generalnego. Rozwścieczony Mołotow wraca, a w kilka dni później Kosior i dwaj inni członkowie Politbiura otrzymują rozkaz stawienia się na naradę do Moskwy. Więcej ich już nie oglądano. Następcą Kosiora został Chruszczow. Żelazną ręką, w myśl dyrektyw Stalina, przeprowadził czystkę na Ukrainie. Wykluczone jest, aby nie brał czynnego udziału w przygotowaniach prowadzących do upadku Kosiora.

Gamarnik był szefem wychowania politycznego Czerwonej Armii i zastępcą Komisarza Ludowego, współpracując ściśle z GPU. Stalin i Jeżow zawiadomili go o planach likwidacji Tuchaczewskiego i wybitnych dowódców Czerwonej Armii. Jeżow pokazał mu zbiór listów jakie rzekomo wymienił Tuchaczewski z oficerami Reichswehry, a które miały udawadniać zdradę Tuchaczewskiego, Korksa i ich przyjaciół. Gamarnik wiedział, że dowody są sfałszowane. Z rozmowy ze Stalinem musiał zrozumieć, że to nie Jeżow a Stalin był organizatorem fałszerstwa. Odmówił współpracy. Gdy czekiści przyszli po niego do mieszkania wystrzałem w skroń popełnił samobójstwo. Jeżeli rehabilitacja Gamarnika ma mieć sens to jedynie jako przygrywka do rehabilitacji Tuchaczewskiego.

Wyrok na Tuchaczewskiego zapadł na tajnej rozprawie. Przewodniczącym sądu był marszałek Woroszyłow, ówczesny Komisarz Ludowy Obrony Państwa, a obecny prezydent ZSSR, a do kolegium sądu wojennego należał Budienny. Woroszyłow nie mógł wierzyć w to, że dlugoletni jego współpracownik Tuchaczewski i wybitni dowódcy Czerwonej Armii jak Putna, Jakir, Uborewicz, Gamarnik, Eidemann, Feldmann i inni byli płatnymi agentami niemieckimi. Nie trudno było zerwać tę pajęczynę oszustw, tym niemniej Woroszyłow wiernie wykonał polecenie mistrza skazując Tuchaczewskiego i innych na śmierć; w ten sposób Armia Czerwona została pozbawiona dowództwa.

Z jakimi uczuciami Woroszyłow ma przyjąć wznowienie sprawy Tuchaczewskiego?

Nie wszyscy członkowie Politbiura tak czynnie współpracowali w tych zbrodniach. Do najmniej obciążonych należą tacy jak Mikojan, Bułganin i Andrejew. Może się zdarzyć, że procesy rehabilitacyjne rozsadzą solidarność grupy przywódczej, jeśli rozwiną się gwałtownie. Natomiast tak jak planuje Politbiuro — nie osiągnie się celu : zmiany atmosfery.

Kolektywizacja, ten drugi uraz narodu rosyjskiego, z jej ponad 10 milionami ofiar, jest nie do wyleczenia ze względów ideologicznych. Tutaj chodzi już o najpoważniejszy problem gospodarczy Związku Sowieckiego. Historia ostatnich trzech lat potwierdza że kołchoz okazał się nieużyteczną formą gospodarczą. Od chwili kolektywizacji naród rosyjski nigdy nie jadł do syta. Jeżeli przeanalizujemy tę niewielką ilość cyfr absolutnych, tyczących produkcji artykułów żywnościowych, jakie opublikowały rosyjskie statystyki, stwierdzimy, że w Związku Sowieckim spożywa się 8 gramów masła na głowę ludności dziennie. Chruszczow obiecał, że do końca szóstej pięciolatki ilość ta wzrośnie do 13 gramów. Dodać należy, że w tych nienormalnie niskich cyfrach mieszczą się również i przetwory mleczne. Przy przeglądaniu zarządzeń i ustaw republik sowieckich na przestrzeni ostatnich trzech lat rzuca się w oczy, że ogromna ich ilość tyczy zagadnień wiejskich. Reorganizacja trwa nieustannie i każde żniwa powodują zmiany w decyzjach ustawodawczych. Chłopi nie chcą pracować w kołchozach. Na swoich małych poletkach uprawianych indywidualnie mają dziesięciokrotnie większe zbiory niż na tej samej powierzchni, należącej do kołchozu.

Jedynym wyjściem z sytuacji jest zlikwidowanie gospodarstw kolektywnych. Tito opowiedział się za tym otwarcie w artykule ogłoszonym w jednym z czołowych czasopism sowieckich.

Niedawno podróżowały po Stanach Zjednoczonych delegacje rolników sowieckich i członkowie ich byli pod silnym wrażeniem tego co tam widzieli. Maszyny obsługiwane przez jednego człowieka umożliwiają uprawę 120 ha jeśli chodzi o zboże, a 50 ha jeśli tyczy to uprawy mieszanej. Na takim obszarze pracuje farmer z żoną, bez pomocy siły najemnej. W Rosji Sowieckiej 120 ha uprawia 120 ludzi. Z tego przykładu trudno Chruszczowowi wyciągnąć wnioski. W tej sprawie jest on zaprzysiężonym stalinistą i jego celem jest wzmocnienie centralizacji, a nie powrót do indywidualnych gospodarstw.

Ale w takim wypadku, na dalszą metę, konieczności gospodarcze okażą się silniejsze aniżeli zamierzenia Generalnego Sekretarza. Obecny system rządzenia jest chwiejny z każdego punktu widzenia.

Któregoś dnia ktoś wstanie w Politbiurze i złoży swój sprzeciw, żądając, aby dyskutowany problem przedłożyć Komitetowi Centralnemu. Nie możemy przewidzieć dzisiaj, jaki problem doprowadzi do walnej rozprawy. Może nim być żądanie

zerwania z ohydnym kłamstwem procesów moskiewskich, sprawa rozwiązania kołchozów, czy też dopuszczenie do wolnej dyskusji wewnątrz Partii. Ale Komitet Centralny liczy wraz z zastępcami około 200 członków. Prawdziwe starcie poglądów w łonie Partii przeniknie niewątpliwie do prasy. Dopuszczenie zaś do dwóch odmiennych legalnych poglądów rozsadzi jednolitość ideologiczną panującą dotychczas. Uczciwa, niekierowana dyskusja, tycząca zagadnień kluczowych Rosji nawet prowadzona jedynie w ramach Partii, może doprowadzić do skutków, których dziś przewidzieć nie podobna.

Paryż, 14 *marca* 1956.

Kilka dni po napisaniu tych słów prasa doniosła o sensacyjnym przemówieniu Chruszczowa na tajnym posiedzeniu Zjazdu.

Zgodnie z rytuałem Komunistycznej Partii ZSSR przemówienie to ma być odczytane na zebraniach komórek partyjnych w całej Rosji. Jest to niewątpliwy wstęp do pełnej rehabilitacji ofiar procesów moskiewskich i Wielkiej Czystki. Jeżeli porównamy nieśmiałe podejście Chruszczowa do tego zagadnienia na początku Zjazdu z atakiem na Stalina przy jego zakończeniu — można przypuścić, że nie było ono uprzednio ustalone.

Wydaje się, że po wystąpieniu Mikojana Chruszczow przestraszył się, że dalszy przebieg wypadków może się wymknąć jego kontroli. Przypuszczalnie postanowił wziąć byka za rogi i odebrać inicjatywę tym, którzy byli najmniej skompromitowani w zbrodniach Stalina. Stąd też jego próba przedstawienia najbardziej współwinnych : Mołotowa, Woroszyłowa i siebie, jako niedoszłe ofiary szalonego dyktatora. Jakby nie było, rewelacje Chruszczowa wywołać muszą głęboki wstrząs w całym kraju.

Lenin określał stan rewolucji następująco : ,,Rządzący sądzą, że starymi metodami rządzić nie można, a rządzeni nie chcą być rządzeni starymi metodami''. W świetle tej teorii możemy oczekiwać nadejścia w Rosji sytuacji rewolucyjnej. Broń terroru stępiała, rządzącym drżą ręce, a naród ma możność wyzwolenia. To jest rezultat XX Zjazdu Partii.

Alexander WEISSBERG-CYBULSKI

Materiały do refleksji (2)

Politycy emigracyjni są zachowawcami z urzędu, gdyż w gruncie rzeczy są tylko powiernikami pewnego spadku. Powiernik jest przechowawcą i zachowawcą a nie reformatorem.

W miarę jak oddalamy się od września 1939 — zachowawczość emigracyjnych kół oficjalnych proporcjonalnie wzrasta. Zachowawczość mierzy się bowiem szczeliną pomiędzy pozycjami wyjściowymi a współczesnością. Ta szczelina poszerza się i pogłębia z każdym miesiącem.

Nie jest rzeczą złą mieć panoramę racławicką i od czasu do czasu spojrzeć na nią w historycznej zadumie. Ale jest rzeczą złą panoramę uznać za mapę operacyjną.

Zachowawca brytyjski z prawego skrzydła partii konserwatywnej pragnie zachować i uchronić przed reformą pewne rzeczy, które realnie istnieją. Nasi zachowawcy emigracyjni pragną zachować rzeczy, które w 80 wypadkach na 100 już dawno przestały istnieć.

Przełom, który dzieli wiek XX na dwie epoki zrodził się na wschodzie Europy i w pierwszym rzędzie dotyczy wschodniej Europy. Jest rzeczą zdumiewającą, że zdali sobie z tego sprawę Anglicy, Amerykanie, Niemcy — tylko nie Polacy zagraniczni.

Przed kilku tygodniami ukazała się w Londynie książka prof. G. Barraclough pt. ,,History in changing World''. Jakże charakterystyczne jest następujące wyznanie brytyjskiego uczonego:

,,Jeżeli chodzi o mnie — pierwsze podejrzenie fatalnej 'ograniczoności' Historii jakiej mnie uczono wynikło z faktu uświadomienia, że to studium uczyniło mnie całkowicie nieprzygotowanym do życia w świecie w którym kraje Europy wschodniej przeznaczone są odegrać rolę znacznie donioślejszą niż ta, którą przewidywał historyczny schemat w jakim mnie wychowano. W tym sensie nie będzie przesadą jeżeli powiem, że zwycięstwo Rosjan pod Stalingradem w roku 1943 — przekonało mnie, iż całkowita rewizja europejskiej historii jest koniecznością. Z konsternacją stwierdziłem, że po trzech latach spędzonych na angielskim uniwersytecie i po dwóch latach na niemieckim uniwersytecie — praktycznie biorąc byłem ignorantem w odniesieniu do problemów historycznych wschodniej Europy''.

Tak myśli Anglik i to nie ,,fantasta'' Toynbee. My jednak stoimy na stanowisku, że ani rewizja historii europejskiej, ani rewizja czy re-orientacja historii polskiej nie są potrzebne. Nas obowiązuje makieta racławicka sprzed 1939 roku.

Oczywiście to nie jest tylko problem historii. Tu chodzi o politykę i jeszcze o coś więcej — o odnalezienie ,,miejsca pod

słońcem" dla Polaków w tym przemienionym świecie. „Miejsca pod słońcem" w sensie narodowym, politycznym, kulturalnym.

Nie jestem zwolennikiem determinizmu historycznego w sensie marksistowskim — ale niewątpliwie układ geopolityczny jest jednym z głównych reżyserów procesu historycznego. Układ geopolityczny stanowi wyzwanie a historia jest wypadkową wyzwania i odporu na jaki zdobywa się dany naród. Najbardziej dynamiczny odpór nie zda się na nic, jeżeli oparty jest o fałszywe rozpoznanie elementów geopolitycznych. Ryzykuję pogląd, że 60% naszych klęsk można przypisać fałszywemu rozpoznaniu.

Jak wyglądają fakty? Geopolityczna sytuacja wschodniej Europy uległa radykalnej przemianie. Nazwy: Niemcy czy Rosja oznaczają dziś zupełnie coś innego niż 30 lat temu. Anglicy zdają sobie z tego sprawę — my nie. Może brytyjski historyk domagać się rewizji poglądu historycznego na wschodnią Europę — dla nas jednak nadal ważny jest Dmowski. Fakt, że Dmowski pisząc słowa: Rosja i Niemcy myślał coś zupełnie innego niż my dziś — nikogo nie martwi. Nas na emigracji współczesność nie interesuje. My trwamy i czekamy aż niegrzeczna Historia skończy ten obłędny taniec i wróci do makiety z 1939 roku. Nie wolno reformować Dmowskiego. To Historia musi się tak ustatkować, by znów była w zgodzie z tekstami Dmowskiego.

Powoływanie się na Piłsudskiego jest takim samym nonsensem. Rosja, którą Piłsudski zwyciężył i Rosja dzisiejsza — to są dwa różne pojęcia i terminy.

Można rozważać wszystkie możliwe rozwiązania. Zwycięstwo Amerykanów — zwycięstwo Sowietów a nawet wodorowy koniec świata. Ale oczekiwać, że Rosja dzisiejsza stanie się kiedyś Rosją z epoki Dmowskiego i Piłsudskiego jest maniactwem.

Osobiście nie mam nic przeciwko Dmowskiemu czy Piłsudskiemu. Pragnę natomiast wykazać, że wszystkie polskie doktryny polityczne sprzed 1939 roku mają dziś wartość jedynie muzealną. Nie odpowiadają bowiem współczesnej geopolitycznej sytuacji.

Krytyczny Czytelnik może w tym miejscu wykrzyknąć: „Kto ma koncepcję stanowiącą odpowiedź na sowieckie zagrożenie niech pierwszy rzuci w nas kamieniem!"

Tak to prawda. Nie my jedni nie mamy koncepcji. Toteż nie winię polskich sfer oficjalnych i nieoficjalnych za to, że nie wypracowały nowej koncepcji polskiej polityki. Winię natomiast naszych zachowawców oficjalnych i nieoficjalnych za to, że reprezentują pogląd, że nowa doktryna jest nam zgoła niepotrzebna. Ów brak koncepcji a co ważniejsze brak uświadomienia, że nowa koncepcja jest koniecznością, odcina nas od Kraju. Na pytania krajowe nie umieliśmy w niczym odpowiedzieć.

Polacy w Kraju są świadkami głębokich przeobrażeń i przesunięć potencjałów siły na obszarach wschodniej Europy. Oni znają ten spektakl z widowni — my z recenzji.

Obserwuję z niepokojem proces ,,odwilży'' w Polsce. Przeczytałem dziesiątki artykułów w prasie krajowej od Chałasińskiego po Kotta, od Putramenta, Żółkiewskiego, Kijowskiego po Brandysa i Konwickiego.

Odwilżową dyskusję rozważać można z różnych punktów widzenia. W tym artykule nie interesują mnie sprawy kulturalne i literackie lecz nurt polityczny.

Jeżeli założeniem operacji ,,Odwilż'' było wykazanie inteligencji w Kraju — że albo marksizm i przywództwo partii, albo intelektualna kręgielnia bez składu i ładu — w takim wypadku operacja ,,O'' uwieńczona jest sukcesem.

Patrząc na to widowisko z politycznej perspektywy należy wnioskować, że marksizm po dziesięciu latach wywarł minimalny wpływ na inteligencję w sensie pozytywnym. Przede wszystkim jest ciągle bardzo mało znany i wyznaje go tylko nieliczna elita. Natomiast wpływ marksizmu w sensie negatywnym jest olbrzymi.

Przytłaczający procent odwilżowców to nie są marksiści. Ale również to nie są liberałowie, nie są katolicy, nie są demokraci. I dlatego im dany intelektualista dalej stoi od marksizmu, tym mniej ma do powiedzenia. Bo taki pan wyzbył się wszystkich wiar, przekonań politycznych i ideologii nie zyskawszy wzamian nic.

Marksistowska krytyka przeszłości odniosła poważny sukces. Nie było to zresztą zadanie trudne. Cały tradycyjny porządek rzeczy legł w gruzach a pośmiertną sekcję przeprowadzili marksiści we własnym zarządzie.

Na emigracji powtarzamy mnóstwo frazesów na temat wolności. W gruncie rzeczy nie każdej wolności ludzie pragną. Wolności pustyni nikt nie pragnie. Ci co są prześladowani pragną wolności od prześladowań. Ale odwilżowych intelektualistów w Kraju nikt nie prześladuje ani nikt nie głodzi. Ci ludzie mogliby tylko pragnąć wolności nie ,,od czegoś'' lecz ,,dla czegoś''. Dla wprowadzenia ustroju demokratycznego, dla zrealizowania innej koncepcji politycznej i ustrojowej niż komunizm.

Jakiej koncepcji? Czy ci ludzie mają jakąś inną koncepcję Polski niż ta w której żyją?

Na emigracji namaszczone typy powtarzają w kółko: niepodległość. Lecz odwilżowcy zapytają: jaka niepodległość?

Emigranci zgodziliby się na niepodległość z BBWR, z Sławojem-Składkowskim — wszystko po staremu. Inteligencja w Kraju tego modelu niepodległości nie pragnie. W tej materii nie należy mieć żadnych złudzeń.

Negatywny wynik odwilży jest w pewnym sensie konsekwencją politycznej jałowości Emigracji. Koncepcji ,,budowy

socjalizmu'' i ,,orientacji rosyjskiej'' *nie* umieliśmy *niczego przeciwstawić*. Nie umieliśmy stworzyć wizji *innej Polski* i skupić na niej uwagi Kraju. Jesteśmy propagandystami ale nie politykami.

W sumie wszystko się sprowadza do problemu ,,Obrony Grenady'' Brandysa. Bunt, krytyka, zarzewie... po to by móc wystawić ,,Łaźnię'' Majakowskiego. Walczy się o poszerzenie sfery wolności by móc być.. lepszym komunistą.

Nawet ci, którzy chcieliby ,,reformować'' marksizm i dławią się fermentem, który od lat nie znajdował ujścia, nawet ci, którzy z charakterystycznym pośpiechem chcą wykorzystać ,,odwilż'' by wyrzucić (póki czas i póki wolno) wszystko co ich gniecie — nigdy i w niczym nie wybiegają poza łuk horyzontu Polski ,,ludowej''. Mówiąc zwyczajnie ci ludzie wierzą, że z tego coś wyjdzie. Jest źle, jest głód mieszkaniowy i tysiące innych braków — ale z tego coś wyjdzie. Z ,,tego'' a nie z czego innego.

,,Budowanie socjalizmu'', przy równoczesnym rozkołysaniu uczuć nacjonalistycznych do granic endeckich wytwarza atmosferę — jakże miłą Polakom — że w Kraju wbrew wszystkiemu dzieją się rzeczy... wielkie. Nie wszyscy budują socjalizm ale wszyscy o socjaliźmie mówią i piszą i to jest najważniejsze.

Komunizm przyjmuje się najlepiej w krajach o kompleksie niedowartości. Nie mamy frizyderów, samochodów, telewizji, luksusów ale budujemy socjalizm. Wyższym stopniem moralnego credo politycznego niedoboru materialnego nie można wprawdzie wyrównać, ale go można usprawiedliwić. Jest przykro jeść nieomaszczone ziemniaki, ale jest wielką i ludzką pociechą wiedzieć w imię czego tak jest. Politycy zachodni nigdy tego nie pojmą ale przecież chodzi zawsze o jedno : aby jedzenie nieomaszczonych kartofli nie upakarzało i społecznie nie deklasowało.

Robotnikom, którzy raz na tydzień spędzają noc ze swymi żonami na wspólnej sali hotelów robotniczych, przywódcy partyjni mogą powiedzieć : towarzysze — wasze prywatne szczęście poświęcacie dla budowy socjalizmu, dla rewolucji.

Cóż chłopom poleskim, którzy rozszczepiali z nędzy zapałki na cztery części mógł powiedzieć gen. Sławoj-Składkowski... budujecie OZON i sławojki ?

Dla emigracyjnego inteligenta sedno rzeczy zwęża się do osądu czy to jest — czy nie jest socjalizm w zachodnim tego słowa znaczeniu. Łatwo udowodnić, że to nie jest socjalizm demokratyczny. Ale cóż stąd ? Dla ogółu ważne jest zaangażowanie wielkiej idei w polityce wewnętrznej. Istotne jest, że program jest głoszony bo jak długo jest głoszony można w niego wierzyć. Gdyby Chrześcijaństwo czerpać miało siłę z swych realnych osiągnięć już dawno nie byłoby z niego ani śladu ani popiołu. Siłą Chrześcijaństwa jest fakt, że wbrew nędzom osiągnięć głoszone jest nieprzerwanie od 2 000 lat. Czyny nie kom-

promitują idei; czyny kompromitują tylko ludzi. Inkwizycja, niepowodzenia wszystkich planów pięcioletnich, czystki i gwałty — kompromitującą wykonawców ale nie Partię i nie Kościół jako symbole idei.

Historycznym nawozem pod ,,budowę socjalizmu'' było bankructwo BBWR. Ci panowie pozostawili po sobie nie tylko największą w dziejach naszych klęskę lecz i ideową próżnię.

◆

,,Odwilż'' niesie z sobą wielkie rozczarowanie bo niczego nie można wyczytać między wierszami. A jednak — w moim przekonaniu — można by dziś w Polsce wiele między wierszami powiedzieć.

Jeżeli zagęścić obraz jak w skupiającej soczewce to otrzymalibyśmy na jednym biegunie katolicyzm a na drugim komunizm. Wokół tych dwóch ogniw — spectrum rozpada się na szereg odcieni. Są katolicy rzymscy, reżymowi, bladzi, nijacy. Są partyjni ,,budowniczowie'' socjalizmu a obok nich ,,sanatorzy'' socjalizmu jak ich określa Konwicki, wreszcie kolaboranci, biurokratyczna inteligencja i ci, którzy żyją z tego, że o socjaliźmie piszą i mówią choć go sami nie budują.

Przed wojną pół-dyktatura BBWR była idealnym przedszkolem dla opozycji ponieważ sam blok rządowy był wyjałowiony z jakiekolwiek problematyki.

W Polsce ,,ludowej'' partia rządząca jest wszędzie i problematyka ,,budowy socjalizmu'' osacza jednostkę ze wszystkich stron. Jeżeli ktoś nie jest komunistą cała jego potencjalna opozycyjność zostaje zużyta na utrzymanie głowy nad wodą — co bynajmniej nie jest zadaniem łatwym. Każdy — w takiej czy w innej formie jest zaangażowany. Można odmówić dyskusji na temat ,,Kapitału'' Marksa, ale trudniej odmówić dyskusji na temat własnego mieszkania i dostaw artykułów pierwszej potrzeby.

W państwie komunistycznym nie można być niezaangażowanym — odwróconym plecami. Ta technika (żywcem przeniesiona z Sowietów) zmierza do skanalizowania potencjalnej opozycji. Po latach zaangażowania ludzie pragną poprawy na odcinku takim czy na odcinku innym ale zawsze na odcinku komunistycznej rzeczywistości. Nie wybiegają poza horyzont za którym zaczyna się kontr-rewolucja.

Jest uproszczeniem twierdzić, że w państwie komunistycznym nie ma miejsca na opozycję. W państwie komunistycznym nie ma tylko miejsca na kontr-rewolucję.

Zdaję sobie sprawę, że Czytelnicy oburzą się ale mimo to ryzykuję porównanie, że ,,odwilż'' jest... miniaturą ,,wyzwolenia środkami pokojowymi''.

Gdy pacjent dostanie jeden zastrzyk morfiny po jego reakcji można wnioskować jakby się zachował po dwóch zastrzy-

kach. ,,Odwilż'' jest dawką wolności i po reakcji po tej minimalnej dawce można w pewnym stopniu wnioskować jakby zachował się ,,pacjent'' po otrzymaniu porcji trzy czy czterykrotnie większej.

Nie zamierzam tej analogii posuwać zbyt daleko. Ale nawet jeżeli ,,odwilż'' wyobrazimy sobie trzy i cztero-krotnie zwiększoną — to i tak w tym obrazie trudno byłoby dopatrzeć się najdrobniejszego echa, wpływu czy powinowactwa z Emigracją.

Jest przerażające w jakim stopniu w Kraju nas nie ma.

Dotrzeć do Kraju jest trudno, ale jak się ma coś do powiedzenia to i przez ,,żelazną kurtynę'' usłyszą. Są indywidualne dokonania jak np. książka Miłosza czy pewne zeszyty ,,Kultury'', ale to wszystko. Istnieją kontakty osobiste, listowe, paczkowe. Ale na płaszczyźnie politycznej mamy dwa odrębne narody. Polaków w Kraju i emigracyjną republiczkę ,,San Marino'' pochłoniętą własnymi kryzysami, ,,problemami'', walkami o władzę.

Politycy emigracyjni przyjęli za obowiązujący następujący schemat. W Polsce władza spoczywa w rękach komunistów i agentów Moskwy a naród nietknięty i dziewiczy trwa i wyczekuje. W rzeczywistości jednak najmniej zmienili się komuniści. Najbardziej radykalnym przemianom uległy natomiast poglądy *nie*-komunistów. Stwierdziłem to nie raz, ale dziesiątki razy.

Dla Polaka w Kraju jest oczywiste, że sytuacja całej wschodniej Europy uległa przeobrażeniu tak w sencie układu politycznego jak i w dziedzinie gospodarczej i społecznej. Dla Polaka w Kraju jest również oczywiste, że większość tych przemian jest nieodwracalna. Wolność-niepodległość o ile nie ma być frazesem musi być koncepcją stanowiącą próbę odpowiedzi na aktualny zespół problemów.

Na emigracji, choćbyśmy dysponowali geniuszami z doktryn Dmowskiego czy Piłsudskiego, nie wyciśniemy dziś nic tak jak nie wyciśniemy nic z idei Jagiellońskiej, którą próbowaliśmy wskrzeszać z dziwnym poczuciem geopolitycznym na... linii Jerozolima-Bagdad.

Politycy emigracyjni ,,San Marino'' stawiają znak porównania pomiędzy antykomunizmem a zachowawczością. Ta skala oceny obowiązuje tylko ich samych. W Kraju antykomunizm nie jest synonimem ani historyczno-tradycyjnego konserwatyzmu ani reakcyjności.

Obok narzuconej komunistycznej rewolucji dokonywuje się w Polsce *inna rewolucja,* której nikt jeszcze nie nadał nazwy. Ale zarówno wyzwolenie jak koncepcja nowej polityki polskiej muszą przyjść z zewnątrz. Nasz Kraj nigdy w swych dziejach nie potrzebował w równej mierze ,,wielkiej Emigracji''. Lecz jej nie ma.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Ostatnie ostrzeżenie

Polacy na emigracji na ogół zdają bardzo dobrze egzamin życiowy. Pracują wszędzie porządnie i dorabiają się powoli. Ilość niebieskich ptaków jest zadziwiająco mała, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę, że wszyscy są „wysadzeni z siodła", że prawie wszyscy przeszli niezdrową szkołę czarnego rynku pod okupacją i na zachodzie w latach powojennych, a wreszcie naturalne rozluźnienie więzi we wszystkich nowych grupach społecznych. Życie organizacyjne emigracji, choć zwykle rozdrobnione i często skłócone, wykazuje dużą prężność. Nowe parafie polskie, własne kościoły i szkoły, liczne stowarzyszenia, z których niektóre mogą się pochwalić poważnym dorobkiem moralnym i materialnym świadczą o znacznej dynamice i zdrowiu życia społecznego.

Na tym tle odbija „góra" polityczna emigracji. Kryzys polityczny, trwający od dziesięciu lat z górą, seria zawodów związanych z nieudanymi próbami doprowadzenia do współpracy skłóconych polityków, głębokie rozczarowanie i niesmak po tzw. „Zjednoczeniu", oto bilans osiągnięć sfer kierowniczych emigracji na terenie wewnętrzno-politycznym. O jej działalności politycznej na zewnątrz, która stanowić ma legitymację jej istnienia i tytuł do przewodzenia, nawet zawodowy apologeta dużo powiedzieć nie może.

Między masami emigracji a jej nominalnym przewództwem nie ma wyraźnego związku. Grupy te żyją jakby na innych planetach. Masy w oparciu o własną pracę i życie rodzinne organizują się w konkretnych warunkach krajów osiedlenia, elita londyńska żyje w krainie czarów, w której najbardziej realne wydają się wspomnienia niepowrotnie minionej przeszłości. Normalny człowiek nie rozumie o co tym panom chodzi. Polityczna działalność może być rozumiana rozmaicie : jako chęć zrealizowania programu politycznego czy społecznego, jako walka o władzę, lub — bardziej cynicznie — jako walka o godności i korzyści materialne. Polityka emigracyjna nie podpada pod żadną z tych definicji. Wszystkie stronnictwa, partie i ugrupowania są, jak wiadomo, zgodne w dążeniu do niepodległości. Programów społecznych na emigracji realizować nie mogą, władzy do zdobycia nie ma, tytuły nawet prezydentów i premierów, zdewaluowały się doszczętnie, a kasy — jak wiadomo — puste. Toteż każdy zdrowy człowiek zapytuje od lat ; o co się ci panowie kłócą ?

Kontakty między górą a dołami emigracyjnymi są wprawdzie rzadkie, ale wystarczające aby tę górę do reszty zdyskredytować. Patetyczne deklaracje parę razy do roku, pasterskie

objazdy działaczy politycznych przemawiających do coraz bardziej pustych sal, aby zachęcić do świadczeń pieniężnych — oto formy pracy nad emigracją. A treść? Albo powtarzanie frazesów, albo żonglowanie słowami wypranymi z treści jaką kiedyś miały: ,,państwo na emigracji'', ,,legalizm'', dogorywający od czasu gdy znalazł samych obrońców, ,,zjednoczenie'', jakby na kpiny stosowane do okresu w którym nastąpiło zaostrzenie walk politycznych i nowe rozszczepienie stronnictw. Takich dawek ,,double talk'' nikt długo wytrzymać nie może, a więc drogą naturalnej samoobrony organizmu emigracja odcina się od działalności politycznej murem pozornej obojętności.

Tematy polityczne nie mogą być przedmiotem dyskusji na zebraniach publicznych, gdyż wyprane z wszelkiej konkretnej treści wymagają scholastycznej szkoły myślenia. W życiu prywatnym są to tematy ,,wstydliwe''. Polak mający dzieci dorastające zagranicą unika poruszania spraw politycznych w rodzinie, aby młodego pokolenia nie zrazić do polskości. W rozmowie z rodakiem przybyłym z kraju emigrant unika tych tematów. Wobec cudzoziemców rumieni się i bąka gdy go interpelują o działalność polityczną emigracji.

Autorytet moralny polityków? Na wielu tzw. działaczy politycznych emigrant patrzy z nieufnością z jaką ciężko pracujący odnosi się do człowieka, który nie spełniając żadnej pożytecznej roli żyje nie orząc ani siejąc.

Góra polityczna, zapatrzona w swoje rzekome posłannictwo nie przejawia zresztą żadnego zainteresowania potrzebami emigracji. Organizacje społeczne są przedmiotem zabiegów polityków tylko w wypadku gdy mogą służyć jako narzędzie rozgrywek wewnętrznych z oczywistą dla tych stowarzyszeń szkodą. A potrzeby ogólne? Szkolnictwo i pomoc młodzieży, biblioteki i czytelnictwo, wydawanie książek, teatr, pomoc ludziom nauki, literatom, artystom — to są zagadnienia które nie interesują polityków. Jeżeli dziedziny te nie leżą odłogiem, lecz przeciwnie rozwijają się, jeżeli mamy coraz więcej szkół na terenach gdzie ich dawniej nie było, jeżeli wychodzi coraz więcej wartościowych książek, jeżeli czasopisma i część prasy stoją na bardzo wysokim poziomie to dzieje się to obok, a w ostatnim wypadku — wbrew mętnym prądom polityki emigracyjnej.

Politycy dobrze zdają sobie sprawę z tego co myślą o nich masy i wiedzą, że nikt nie da złamanego szeląga na ich utrzymanie. Od chwili powstania Skarbu Narodowego zapewniano, jako jeden z głównych atutów, że zebrane pieniądze pójdą na cele ,,rzeczowe'' a w żadnym wypadku nie na pensje dla prezydenta i rządu. Konwencja ta obowiązuje nadal, bo bez niej zbiórka byłaby w ogóle niemożliwa. Cena tej milczącej umowy: My nie żądamy pieniędzy dla siebie, wy nie pytacie z jakich środków żyjemy, jest jednak bardzo wysoka. Jest rzeczą oczywistą, że niewielu jest na emigracji ludzi zamożnych, którzy mogą cały swój czas poświęcić bez wynagrodzenia służbie pu-

blicznej. A zatem co pozostaje? Liczyć na anachoretów czy pozostawić pole sprytowi polityków. Pierwsze nierealne, a drugie niebezpieczne. Bezwątpienia należy wynagradzać polityków i to możliwie dobrze, ale wymagać rzetelnej pracy i odpowiednio ją kontrolować. Bieda z tym, że mężów politycznych jest więcej niż mogłaby utrzymać najzasobniejsza kasa bogatej i ofiarnej emigracji. Dlatego politykom odpowiada lepiej obecny stan rzeczy. Pieniądze zbiera się na cele bezsporne, ale politycy mają prawo powoływać się, że każdy płatnik Skarbu Narodowego stoi murem dawniej za prezydentem, a teraz za ,,Zjednoczeniem'' choć wszyscy wiedzą, że to nieprawda bo ogromna większość płatników nie miała nigdy, lub dawno straciła, zaufanie do jednej jak i drugiej grupy. Powoływanie się nie tylko na rzekomy mandat kraju, ale także poparcie mas emigracyjnych ułatwia politykom rozmaite praktyki. Toteż tolerując ten stan rzeczy my wszyscy na emigracji, zarówno ci niepłacący jak i ci płacący, ponosimy część odpowiedzialności za różne afery o nieobliczalnych następstwach.

Organizacją stanowiącą jedyny łącznik i platformę działania pomiędzy masami uchodźczymi a sferami politycznymi jest Skarb Narodowy. Choć powstał on ,,odgórnie'' powołany dekretem prezydenta z końca 1949 roku rozwój jego świadczy o tym, że w pierwszych latach istnienia odpowiadał on potrzebom mas emigracyjnych rozumiejących konieczność mobilizowania środków materialnych dla działalności politycznej i społecznej.

WPŁYWY NARODOWE NA SKARB (*)

W funtach angielskich:

	1950-51	1952	1953	1954
Stany Zjedn. A. P.	5.496	9.790	17.241	8.197
Wielka Brytania	15.467	6.382	7.556	5.344
Niemcy	10.573	4.644	4.613	2.479
Kanada	1.273	1.704	3.056	1.723
Francja	1.861	2.112	1.670	1.483
Pozostałe kraje	6.380	5.508	3.384	2.233
Razem	41.050	30.140	37.520	21.459

(*) Powyższe cyfry pochodzą z Nr. 2/22 ,,Wiadomości Skarbu Narodowego''. Skarb Narodowy, który tylko 26% wpływów czerpie z Wielkiej Brytanii, nie uważa za potrzebne podawać zestawień przynajmniej w ważniejszych walutach krajów osiedlenia. Dla orientacji czytelników przeliczyliśmy powyżej funty na dolary (po $2.75 za 1£). Z braku miejsca nie możemy uwzględnić w tablicy innych walut, przypominamy zatem tylko, że 1£ = 11 marek niemieckich oraz 1.000 franków francuskich.

W przeliczeniu na dolary sumy te wynoszą:

	1950-51	1952	1953	1954
Stany Zjedn. A. P.	15.114	26.922	47.413	22,542
Wielka Brytania	42.534	17.551	20.779	14.696
Niemcy	29.076	12.771	12.686	6.817
Kanada	3.501	4.686	8.404	4.871
Francja	5.118	5.808	4.593	4.078
Pozostałe kraje	17.547	15.149	9.306	6.008
Razem	112.890	82.887	103.181.	59.012

Ogółem w latach 1950-1954 zebrano £130.171 czyli $357.970, marek niemieckich 1.432.000 lub 130.171.000 franków. francuskich. Jakkolwiek zebrane sumy były niewystarczające w stosunku do najpilniejszych potrzeb, tym niemniej nie były małe, a przedstawiały ogromny wysiłek, gdyż organizacja Skarbu objęła wszystkie kraje wolnego świata, choć udział poszczególnych terenów osiedlenia przedstawiał się rozmaicie i niezupełnie w zależności od liczebności emigracji i jej zamożności.

Od chwili powstania rozwój Skarbu Narodowego był regularny; zarówno ilość płatników, jak i sumy wpływów rosły z roku na rok. Trudno to przypisać tylko postępom organizacyjnym i niewątpliwie można wyciągnąć z tego rozwoju wniosek, że pomimo wysoce niesprzyjającemu klimatowi politycznemu w Londynie, i wbrew agitacji stronnictw politycznych przeciw płaceniu, masy emigracyjne w coraz większym stopniu popierały „apolityczny" Skarb Narodowy w rozumieniu jego potrzeby i w nadziei, że skłóceni politycy dojdą nareszcie do porozumienia. Że tak było naprawdę świadczą cyfry bardzo silnego wzrostu wpływów i ilości płatników w ostatnich miesiącach 1953 i pierwszych 1954 roku gdy nadzieje na bliskie porozumienie wydawały się realne. Po znanych wydarzeniach w czerwcu 1954 wpływy załamały się tak gwałtownie, że pomimo znakomitych wyników w pierwszej połowie roku został on zamknięty rezultatem o 42% niższym od 1953 roku. Ogólne wyniki zbiórki w 1955 roku nie są jeszcze ogłoszone, ale na podstawie danych częściowych nie ulega wątpliwości, że będą one gorsze od słabego roku poprzedniego. Wyniki Kanady w roku 1955 są stosunkowo dobre bo tylko o 4% niższe niż w 1954, choć o 45% mniejsze niż w 1953. Za to Wielka Brytania zebrała do października 1955 tylko 4.500 funtów, a z innych terenów (np. z Niemiec) wiadomości są groźne i wskazują na gwałtowne załamanie się wpływów. W niektórych krajach zbiórka zupełnie wysycha, a organizacja zamiera.

Trudno o bardziej wymowne cyfry i bardziej wyraźny plebiscyt o tym co społeczeństwo emigracyjne myśli o swym kierownictwie. Pomimo że wydarzenia międzynarodowe (obie konferencje genewskie) zaktywizowały działalność czynników po-

litycznych w 1955 i oczywiście wymagały zmobilizowania większych środków pieniężnych niż w 1954, masy odpowiedziały niedwuznacznie, że obecnemu kierownictwu politycznemu większych pieniędzy nie dadzą — i dały ich mniej. Warto zaznaczyć, że spadek wpływów nastąpił w okresie gdy stronnictwa polityczne, które dawniej Skarb zwalczały popierają go po przystąpieniu do „Zjednoczenia". Jasne jest, że załamania ofiarności na Skarb Narodowy (Danina Polska Ltd.) nie można tłumaczyć powstaniem czy kontragitacją konkurencyjnego Skarbu „zamkowego". Nikt nie będzie twierdził, że pieniądze, które nie wpłynęły do Skarbu Narodowego są wpłacane do organizacji „zamkowej", bo dobrze wiadomo, że instytucja ta pędzi anemiczne życie marginesowe i to tylko na nielicznych terenach. Znaczenie cyfr jest jasne: masy straciły zaufanie (o ile miały je kiedykolwiek) do prezydenta, a równocześnie nie tylko nie nabrały przekonania, ale go wyraźnie tracą, do tzw. „Zjednoczenia", na którego czynność, czy bezczynność, nie mają absolutnie żadnego wpływu.

Brak dość mocnych słów dla określenia rozmiarów kryzysu naszego życia politycznego i groźnych skutków jego dalszego trwania. Wpływy na Skarb Narodowy nigdy dostatecznie wysokie spadają do poziomu, który musi ograniczyć wydatki do potrzeb wegetatywnych i na sfinansowanie żadnej prawdziwej akcji, choćby w najskromniejszym zakresie, wystarczyć nie mogą. Co jest równie ważne, to że gdy dopuścimy do zaprzepaszczenia Skarbu Narodowego i jego niewątpliwych osiągnięć organizacyjnych, to wskrzeszenie go w przyszłości, choćby pod inną nazwą, okaże się niemożliwe, nawet gdyby warunki wewnętrzno-polityczne były lepsze, a sytuacja międzynarodowa stawiała najbardziej palące wymagania. Entuzjazmu nie można wywołać na zamówienie, ani improwizować co kilka lat ogromnego aparatu obejmującego wszystkie kraje rozproszenia. Należy pamiętać, że Skarb Narodowy to nie tylko kilkadziesiąt tysięcy Polaków płacących, mniej lub więcej regularnie składki, ale kilka tysięcy działaczy, dziesiętników, skarbników, sekretarzy, przewodniczących komitetów, członków Komisji terytorialnych itp., którzy poświęcają bezinteresownie niezliczone godziny swej pracy dla zbierania pieniędzy i sprawnego działania aparatu. Na tych kruszących się szeregach stoi organizacja. Czy dziwić się można, gdy niejeden działacz odpada widząc, że wszystkie jego wysiłki i cały czas ukradziony życiu rodzinnemu, społecznemu lub odpoczynkowi po pracy jest marnowany wskutek stosunków panujących w Londynie, na których zmianę nie ma on najmniejszego wpływu? Energia w zebraniu i praca w zaksięgowaniu, przekazaniu itp. np. 10 funtów jest prawie identyczna co przy zbiórce 30 funtów. Czy możemy sobie pozwolić na marnotrawienie w nieskończoność energii jednostek najbardziej uspołecznionych, które mogłyby z lepszym skutkiem pracować na innych terenach pracy społecznej? Czy tego pyta-

nia nie muszą sobie stawiać coraz częściej działacze terenowi widzący, że pomimo ich wysiłków i starań wpływy topnieją z miesiąca na miesiąc?

Skarb Narodowy stacza się od połowy 1954 roku po równi pochyłej. Wiedzą o tym wszyscy, którzy w nim pracują. Toteż od chwili nowego rozłamu politycznego nie ustają próby ratowania idei i izolowania organizacji od katastrofalnych skutków wydarzeń londyńskich. Aby nie dopuścić do zupełnego zaniku wpłat Komisja Kanadyjska np. od czerwca 1954 przekazuje sumy zebrane na jej terenie tylko na cele bezsporne (akcja informacyjna na kraj, konserwacja Skarbów Wawelskich, potrzeby polskiej polityki zagranicznej, wydatki kulturalno-oświatowe w Kanadzie itp.). Sumy te przekazywane są z pominięciem Centrali londyńskiej wprost do rąk odbiorców. Dzięki faktycznemu wyłamaniu się spod Głównej Komisji Skarbu Narodowego w Londynie, Kanada potrafiła utrzymać wpływy w 1955 roku niewiele poniżej cyfry roku poprzedniego ($4.667 wobec $4.871). Żadna inna Komisja nie miała tak małych strat w roku zeszłym. Warto dodać, że nieproporcjonalnie wysoki, w stosunku do liczebności uchodźstwa, udział Kanady w wynikach zbiórki ogólnej także w latach poprzednich tłumaczy się niewątpliwie oparciem od początku organizacji na wyborach i uwzględnianiem potrzeb kulturalno-oświatowych własnego terenu. Od początku kryzysu organizacje terenowe podjęły akcję zmierzającą nie tylko do konserwowania zarysowanej struktury ale do zdynamizowania Skarbu Narodowego przez zdemokratyzowanie życia politycznego na emigracji jako jedynego sposobu wyjścia z impasu w jakim tkwi ono od lat. W Kanadzie, gdzie od początku wszystkie szczeble organizacyjne pochodziły z wyborów, zebrania płatników największych ośrodków Montrealu i Toronto uchwaliły w lutym 1955 rezolucje wzywające Główną Komisję Skarbu Narodowego do przeprowadzenia wyborów na wszystkich terenach i oparcia swego składu o członków pochodzących z wyboru Komisji terytorialnych, a zatem pośrednio — z wyborów płatników. Podobne uchwały powzięte zostały na wielu innych terenach, a w październiku 1955 Zjazd Działaczy Skarbu Narodowego w Wielkiej Brytanii uchwalił: ,,Wprowadzenie zasady wyborów spowoduje wzmożenie zaufania i pobudzenie zainteresowania społeczeństwa w budowaniu niezależnej siły materialnej i moralnej jaką staje się Skarb Narodowy''. Oraz: ,,ofiarność obywateli wzrośnie, gdy poczują się wciągnięci do współdziałania z politycznym kierownictwem. Zjazd apeluje do władz, aby bez dalszej zwłoki przystąpiono do przygotowania wyborów do Tymczasowej Rady Jedności Narodowej przewidując możliwie największą ilość mandatów z wyboru''.

Jak czynniki polityczne zareagowały na niedwuznacznie wyrażoną wolę płatników całego świata i co zrobiły przez przeszło rok dla ratowania Skarbu Narodowego? Reakcja była

równie żywa i pozytywna jak reakcja prezydenta Zaleskiego na dziesiątki uchwał, ostrzeżeń i plebiscytów społeczeństwa i działaczy w 1953-1954 roku. Dopiero w styczniu 1956 Główna Komisja Skarbu Narodowego zdecydowała się półgębkiem na oparcie struktury komisyj terytorialnych na podstawie wyborów dokonywanych przez płatników ,,wszędzie gdzie warunki na to pozwolą'' (co to znaczy? warunki Kanady kraju większego od Stanów Zjednoczonych pozwalały bez trudu na szereg wyborów w ciągu ostatnich pięciu lat). W sprawie własnej Główna Komisja była jeszcze mniej wyraźna, gdyż uchwaliła przedłożenie ,,właściwym czynnikom politycznym'' do miarodajnego rozstrzygnięcia postulatów domagających się jednoczesnej demokratyzacji Głównej Komisji Skarbu Narodowego przez wprowadzenie do jej składu przedstawicieli terenu pochodzących z wyboru. Wynika z tego jasno, że Główna Komisja nie uważa za potrzebne oprzeć się na wyborach płatników, którym zawdzięcza istnienie. Przedkłada ona jedynie z rocznym opóźnieniem żądania dołów, przedstawiając je jako postulat domagający się ,,wprowadzenia przedstawicieli'' kiedy w rzeczywistości chodzi o wyłonienie Komisji Głównej pochodzącej w całości z wyborów. Gdy dodamy do tego, że Komisja nie widziała widocznie za potrzebne poprzeć tego wniosku, i że przekazała go ,,miarodajnym czynnikom politycznym'' czyli egzekutywie Zjednoczenia Narodowego, która sama przez półtora roku nic zrobić nie chciała aby wcielić w życie obiecane aktem ,,Zjednoczenia'' wybory do Tymczasowej Rady Jedności Narodowej, to intencje Głównej Komisji stają się zupełnie jasne. Niech ginie Skarb Narodowy byle nic nie zakłócało spokoju nominatom. Okazuje się, że i bez legalizmu instytucje londyńskie mają jednakową niespożytą wolę trwania według formuły ,,après nous le déluge''.

Czy w wyraźnym konflikcie mas emigracyjnych i zorganizowanych płatników, a ich nieodpowiedzialnych (w sensie dosłownym i przenośnym) przewódców politycznych i naczelnych działaczy Skarbu Narodowego ma zginąć sama idea z katastrofalnymi skutkami materialnymi i moralnymi dla politycznej roli uchodźstwa? Czy dobrowolni płatnicy Skarbu Narodowego mają być pozbawieni prawa przysługującego płatnikom podatkowym wszystkich wolnych narodów to jest inicjatywy i kontroli wydatków przez organy pochodzące z wyborów? Czy Tymczasowa Rada Jedności Narodowej, która uchwala budżet nie powinna składać się również z członków wybranych przez płatników według starej zasady ,,nie ma daniny bez reprezentacji''?

Z końcem lutego 1956 roku płatnicy Skarbu Narodowego w Montrealu uchwalili nową rezolucję, której tekst podajemy w bieżącym numerze ,,Kultury''. Rezolucja ta, podobnie jak uchwały działaczy z Wielkiej Brytanii, wyraźnie żąda zdemokratyzowania struktury naszego życia społeczno-politycznego. Rezolucja ta ostateczny termin wyborów do peł-

nego składu Głównej Komisji w Londynie oznacza na październik 1956 wobec tego, że do tego czasu mają być przeprowadzone wybory do komisji terytorialnych. Nie stawia natomiast terminu do rozpisania wyborów do Tymczasowej Rady Jedności Narodowej, względnie instytucji, która ją ma zastąpić, i żąda tylko większości, a nie całości członków z wyboru dla tego ciała. Nie widzimy żadnej przeszkody aby wybory rozpisać przed latem bo każdy dzień zwłoki kruszy szeregi i zmniejsza wpływy, a wiadomo że organizm który się nie rozwija chyli się coraz szybciej ku upadkowi.

Nie wiadomo skąd członkowie Głównej Komisji Skarbu Narodowego czerpią moralne prawo do dysponowania funduszami publicznymi bez poddania swej gospodarki i mandatów kontroli i dyspozycji płatników. Emigracja dała wielokrotnie i jasno do zrozumienia że nie chce struktury politycznej czy społecznej złożonej z ,,nieśmiertelnych'' członków na wzór Akademii Francuskiej lub powoływanej bez pomocy Ducha Świętego ale na wzór Kolegium Kardynałów. Nie wymagamy od nikogo samobójstwa politycznego, ale nie możemy zrozumieć dlaczego stronictwa polityczne boją się jak ognia wyborów do Tymczasowej Rady Jedności Narodowej choć wiadomo, że miałyby znakomite szanse przeprowadzenia wielkiej ilości swoich przedstawicieli, gdyż dysponują jedynymi karnymi i obejmującymi wszystkie kraje osiedlenia organizacjami.

Pełne i szybkie zdemokratyzowanie Skarbu Narodowego i naczelnej organizacji politycznej uchodźstwa stanowi ostatnią szansę uratowania Skarbu Narodowego i uzdrowienia naszego życia politycznego. Tego musimy domagać się wszyscy, płatnicy i niepłatnicy, wszystkimi dostępnymi środkami wbrew wszelkim trudnościom i oporom.

Jan ***KLONOWICZ***

Rezolucja Skarbu Narodowego w Montrealu

Walne Zebranie płatników Skarbu Narodowego w Montrealu stwierdza z głęboką troską, że rezolucje zmierzające do demokratyzacji Skarbu Narodowego uchwalone jednomyślnie w lutym 1955 roku w Montrealu, a poparte przez szereg podobnych uchwał powziętych w innych ośrodkach emigracyjnych, nie

doczekały się dotychczas zrealizowania. Również nie uczyniono nic w kierunku głębszego, organicznego, zjednoczenia opinii publicznej. Ten stan rzeczy doprowadził do zobojętnienia emigracji, podcięcia podstaw finansowych akcji niepodległościowej i poderwania zaufania do przewódców politycznych emigracji.

W tych warunkach zebrani pobierają następujące uchwały:

1. *Stwierdzamy, że dobrowolni płatnicy na Skarb Narodowy nie mogą być pozbawieni prawa przysługującego płatnikom podatkowym wszystkich wolnych narodów, a między innymi inicjatywy i kontroli wydatków przez organy pochodzące z wyborów.*

Wobec tego żądamy aby Główna Komisja Skarbu Narodowego składała się wyłącznie z członków pochodzących z wyborów. Wyboru dokonywałyby terytorialne Komisje (pochodzące z wyborów bezpośrednich płatników) drogą głosowania tajnego. Poszczególnym Komisjom przysługiwałaby ilość głosów proporcjalna do ilości płatników na ich terenie.

Żądamy aby wybory do Głównej Komisji Skarbu Narodowego rozpisane zostały do końca października 1956 roku.

2. *Stwierdzamy, że zgodnie z demokratyczną zasadą „nie ma daniny bez reprezentacji" Tymczasowa Rada Jedności Narodowej oraz instytucja, która ją ma zastąpić, powinny składać się z większości z członków pochodzących z wyborów, jeżeli instytucje te mają dysponować funduszami Skarbu Narodowego.*

3. *Wzywamy Komisję Skarbu Narodowego na Kanadę by wszelkimi dostępnymi środkami dążyła do zrealizowania powyższych uchwał. W szczególności żądamy aby fundusze zebrane w Kanadzie przekazywane były nadal bezpośrednio tylko na cele bezsporne. Jedynie w razie pełnego zrealizowania obu zasadniczych postulatów dyspozycja funduszami będzie przysługiwać Głównej Komisji Skarbu Narodowego.*

4. *Wzywamy wszystkie ogniwa i organizacje Skarbu Narodowego w świecie do powzięcia podobnych uchwał i energicznego poparcia powyższych żądań.*

Kronika angielska

KOLEKTYWNY „PREZYDENT"

Przesilenie i powołanie nowej Egzekutywy z p. A. Ciołkoszem na czele — powstało w konsekwencji depeszy gen. Sosnkowskiego, który zagroził, że zmieni swój stosunek do obozu zjednoczenia — jeżeli projekt wyposażenia Rady Trzech w uprawnienia przysługujące Prezydentowi R.P. wejdzie w życie.

Dlaczego Rada Trzech ma być kolektywnym „prezydentem"? Komu i na co to jest potrzebne?

Organ jednego z radców zdekompletowanej Rady Trzech — „Orzeł Biały" wyjaśnia tę zagadkę. Rada Trzech do tej pory nie ma prawa dekretowania.

Istotnie nie ma. Ale jak TRJN poweźmie uchwałę nadającą panom Andersowi i Raczyńskiemu prerogatywy Prezydenta R.P. stanie się cud i Rada Trzech nabędzie praw do dekretowania. Gdyby mój znajomy szofer taksówki na Turnham Green p. Batunin oświadczył, że musi ogłosić się carem wszech Rosji, bo tylko jako car będzie mi mógł nadać wielką wstęgę orderu Św. Anny — wykazałby ten sam typ i stopień aberracji umysłowej. Ale on tego nie zrobi, to jest normalny taksówkarz.

Rada Trzech nie ma żadnych uprawnień Prezydenta i nigdy nie będzie ich miała bez względu na to co uchwali a czego nie uchwali TRJN. Jest rzeczą zdumiewającą jak dorośli ludzie, wśród których pewien procent (przed pół wiekiem) kończył studia prawnicze — mogą poważnie traktować projekt zmiany przepisów Konstytucji drogą „uchwały" TRJN.

Operetkowy projekt kolektywnego „prezydenta", choć jakże subtelnie zgodny z sowiecką modą „kolektywnego kierownictwa", w gruncie rzeczy jest tylko parawanem za którym toczy się tytaniczny bój o władzę. Cóżby się bowiem stało gdyby gen. Sosnkowski nie zadepeszował i nie zagroził? Gen. Odzierzyński byłby pozostał na swym stanowisku a TRJN prawdopodobnie byłaby uchwaliła kolektywnego „prezydenta". Tego rodzaju operacja zmieniłaby radykalnie „balance of power" między gen. Andersem a gen. Sosnkowskim. W ramach obozu zjednoczenia gen. Anders byłby „prezydentem", Egzekutywa „rządem" a ...gen. Sosnkowski prywatnym obywatelem.

Osobiście jestem z jak największą sympatią i szacunkiem dla amb. Raczyńskiego, ale nie sądzę by w dwu-osobowej Radzie Trzech miał on realne możliwości przeciwstawienia się gen. Andersowi.

Innymi słowy, gdyby omawiany projekt został zrealizowany gen. Sosnkowski utraciłby wszelkie możliwości oddziaływania na obóz polityczny, który powołał do życia i miałby do wyboru albo przestać uznawać władzę tego obozu, albo całkowicie podporządkować się gen. Andersowi.

Pierwszą rundę wygrał jednak nie gen. Anders lecz gen. Sosnkowski. TRJN na swym ostatnim posiedzeniu odrzuciła 35 głosami przeciwko 20

nagły wniosek NiD'u domagający się by tzw. Komisja regulaminowa przedstawiła na następnym posiedzeniu TRJN wnioski w tej sprawie. Panów Schaetzla i Grażyńskiego (Liga Niepod.) poparli prof. Folkierski (Stron. Narodowe) i p. Brunner (PPS). Okazuje się, że wysoko postawieni entuzjaści kolektywnego „prezydenta" nie mogą liczyć na większość (po depeszy gen. Sosnowskiego!) w obecnej TRJN.

W sumie, na emigracyjnym Olimpie nikt z nikim nie jest w zgodzie. Gen. Sosnkowski nie zgadza się z gen. Andersem, gen. Anders nie zgadza się z p. Zaleskim a p. Zaleski z gen. Sosnkowskim i tak w kółko Macieju...

Jest zastanawiające dlaczego — powiedzmy dla przykładu NiD — tak natarczywie popiera koncepcję kolektywnego „prezydenta"?

NiD'owcy prawdopodobnie sądzą, że zdemokratyzowanie TRJN i przeprowadzenie wyborów jak również zdemokratyzowanie zwierzchnich władz Skarbu Narodowego — musi być poprzedzone wydaniem odpowiednich dekretów. W ten sposób skończylibyśmy z tymczasowością i można by przystąpić do poważniejszych zadań.

Jeżeli tak jest, to metoda realizowania tego programu jest fatalna. Po pierwsze „legalizm". Czy ktokolwiek na emigracji (poza murami „zjednoczenia") uwierzy, że dwóch radców wyposażonych w prerogatywy Prezydenta uchwałą TRJN jest władnych wydawać dekrety z mocą ustawy? Nie żądajcie, panowie, od ludzi zbyt wiele i nie sądźcie, że wasz brak poczucia humoru jest narodową cechą Polaków.

Iluż ludzi poważnie traktowało legalizm przed ową feralną datą 9 czerwca 1954? Znikomy procent. A przecież do tej daty z punktu widzenia konstytucyjno-prawnego łatwo było bronić legalizmu. Idę dalej i twierdzę, że i po 9 czerwca 1954 bronić można tylko legalizmu reprezentowanego przez p. Zaleskiego. P. Zaleski prawdopodobnie popełnił błąd polityczny a nie konstytucyjny przedłużając swą kadencję. Ale ponieważ to był krok bez precedensu, decyzję p. Zaleskiego można uznać za budzącą poważne wątpliwości. Natomiast nikt i nigdy nie może mieć żadnych wątpliwości, że TRJN nie ma żadnego tytułu wyposażać dwóch panów w prerogatywy Prezydenta R.P. Z punktu widzenia Konstytucji to jest bezprawie, z punktu widzenia polityki to jest nonsens. Poza tym jest coś obrzydliwego i niemoralnego w nadawaniu sobie pozorów i tytułów, które nie mają żadnego pokrycia ani faktycznego ani prawnego.

Jeżeli TRJN uważa, że p. Zaleski przestał być Prezydentem R.P. to chcąc działać legalistycznie winna była wprowadzić w czyn postanowienia Art. 23 Konstytucji. Wówczas sporną byłaby tylko kwestia czy urząd prezydenta jest opróżniony, ale dla tych którzy staliby na stanowisku, że urząd prezydenta vacat — postępowanie TRJN byłoby zgodne z Konstytucją. Natomiast kreowanie kolektywnego „prezydenta" musi być uważane za niezgodne z Konsytucją zarówno przez tych, którzy uważają p. Zaleskiego za prezydenta jak i przez tych, którzy twierdzą, że urząd prezydenta vacat.

Dlaczego więc wybrano to fantastyczne wyjście?

Gen. Sosnkowski patron „obozu zjednoczenia" oświadczył, że via ...Art. 23 Konstytucji urzędu prezydenta nie przyjmie. Innymi słowy dał do zrozumienia, iż nie uważa urzędu prezydenta za opróżniony. Powstała

więc sytuacja w ramach legalizmu bez wyjścia. Zamiast jednak wyciągnąć z tego właściwe konsekwencje i uznać, że po 17-tu latach na obczyźnie nie jest rzeczą możliwą podtrzymywanie legalizmu — zdecydowano się ominąć zarówno gen. Sosnkowskiego jak i Konstytucję i wywianować w atrybuty prezydenckiej władzy Radę Trzech. Lepszy bowiem fałszywy prezydent z nominacji TRJN i lepszy fałszywy rząd niż reprezentacja polityczna w całości wyłoniona z wyborów. Na legaliźmie opiera się przecież ów cały skostniały system żelaznych prezesów, delegatów i nominatów.

Nie przeczę, że w ramach obecnej TRJN istnieje garść polityków, którzy pragną zdemokratyzowania tej instytucji i oparcia przyszłej Rady przynajmniej częściowo o zasadę wyborów.

Ale czy można antydemokratycznymi metodami budować demokrację? Czy fundamentem przyszłej zdemokratyzowanej Rady Jedności Narodowej winny być bezprawne ,,dekrety" wydawane przez fikcyjnego ,,prezydenta"?

Czy nie byłoby uczciwiej i prościej gdyby obecna TRJN odwołała się do opinii Emigracji i powzięła uchwałę o rozpisaniu wyborów?

Katastrofalnym błędem taktycznym ,,obozu zjednoczenia" jest fakt, że ci panowie robią wszystko możliwe, by przyszłe wybory opinia emigracyjna oceniła nie jako ich sukces lecz jako ich klęskę, przed którą bronili się jak długo mogli. Nie ulega wątpliwości, że 90 procent Emigracji jest dziś za wyborami. Mądra polityka starałaby się tę powszechną tendencję zdyskontować na własną korzyść — przekuć na własny kapitał a nie na stratę i klęskę.

KROK NAPRZÓD

Na innym miejscu omawiamy zebranie Skarbu Narodowego w Montrealu i *uchwaloną* tam rezolucję.

Ze swej strony pragniemy zanotować co następuje: Biuletyn Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego Nr 40/55 podał, że... ,,Główna Komisja Skarbu Narodowego upoważnia Prezydium do przedłożenia właściwym czynnikom politycznym postulatów w sprawie rozszerzenia składu Głównej Komisji Skarbu Narodowego przez wprowadzenie przedstawicieli wybranych przez Komisje Skarbu Narodowego w krajach, w których terytorialne władze są wyłaniane w drodze wyborów. Główna Komisja nie mając uprawnień do zmiany struktury władz naczelnych Skarbu Narodowego może tylko na tej drodze działać w kierunku dalszego rozszerzenia udziału płatników we władzach Skarbu Narodowego. Jedynie bowiem czynniki nadrzędne władne są zmienić obecną strukturę Skarbu Narodowego".

Ponieważ — jak wiadomo — Główna Komisja Skarbu Narodowego w Londynie nie uznaje p. A. Zaleskiego za Prezydenta — nie może apelować do niego o zmianę odnośnych dekretów. Kto więc ma te dekrety zmienić?

Nominaci przyjęli wygodną taktykę dla obrony swych stanowisk. Jak leży to w ich interesie dekrety p. Zaleskiego uważają za ważne i obowiązujące — jak nie leży to w ich interesie — za nielegalne.

Jeżeli ,,Komisja prawno-regulaminowa i polityczna" uważała, że Tymczasowa Rada Jedności Narodowej jest władna swą uchwałą nadać Radzie

Trzech uprawnienia Prezydenta R.P. — to chyba tym bardziej ta sama TRJN jest władna w drodze uchwały zdemokratyzować statut Skarbu Narodowego.

Na drodze do demokracji nie ma żadnych przeszkód. Jest tylko brak dobrej woli i zaślepienie.

POLITYKA IMPONDERABILIÓW CZY IZOLACJI?

Artykuł p. J.K. Łopuszańskiego na łamach kanadyjskiego „Związkowca" poświęcony analizie wytycznych i „programu" polityki zagranicznej TRJN — jest jednym z najbystrzejszych artykułów jaki czytałem w prasie polskiej w ostatnich miesiącach.

Na specjalną uwagę zasługuje komentarz jakim p. Łopuszański zaopatrzył 2-gi punkt exposé p. Starzewskiego („Utrzymanie obecnej granicy na Zachodzie i powrót do innych granic sprzed września 1939").

Oddaję głos p. Łopuszańskiemu:

„Nie daj Boże dotknąć tzw. imponderabiliów. Do nich należy właśnie los byłych ziem wschodnich Rzeczypospolitej. W normalnych warunkach integralność terytorialna państwa jest oczywiście kwestią, której się w ogóle nie dyskutuje. Najlżejsza sugestia zmiany granic jest traktowana, zupełnie słusznie, jako zamach na najżywotniejsze interesy — jeśli nie na sam byt — państwa. Ale w warunkach narodu, który utracił niepodległość, lub został zmuszony siłą do wielkich i jednostronnych ustępstw terytorialnych? Przypomnijmy sobie, że kilka pierwszych pokoleń polskich w dobie niewoli wytrwale dążyło i walczyło o odbudowę Rzeczypospolitej w granicach przedrozbiorowych. A jednak gdy przyszła chwila niepodległości nikomu już się nie śniło domagać się granic z 1772.

...Czy liczenie się z rzeczywistością musi oznaczać aprobatę Jałty? Odrywając od Polski niemal połowę jej terytorium na wschodzie Rosja Sowiecka popełniła gwałt i dopuściła się aktu brutalnej przemocy. Zgoda, żaden Polak tego nie kwestionuje. Lecz od potępienia Jałty do negacji jej konsekwencji, do zamykania oczu na ogrom zmian, których widownią były nasze dawne ziemie wschodnie, daleka jest droga.

...Emigracje czterech narodów (Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Litwini) mogą i powinny przygotować grunt do wzajemnego porozumienia się w przyszłości, celem uniknięcia powtórzenia się zbrojnych konfliktów narodowościowych, które miały miejsce po pierwszej wojnie światowej. Ale pierwszą przesłanką takiego pojednania się jest uznanie praw naszych przyszłych kontrahentów, lub raczej, cofając się wstecz do pierwszych elementów prawa narodów, uznanie ich za uprawnionych kontrahentów.

Tego wszystkiego w exposé nie było. Min. Starzewski w ogóle istnienia naszych wschodnich sąsiadów Ukraińców, Białorusinów i Litwinów, nie dostrzegł. Skromnie zaznaczył, że przedstawione przez niego punkty „wyczerpują nasz narodowy program terytorial-

ny". Bagatela. Granica ryska na wschodzie, zapewne negocjowana z Rosją ? A co z autochtonami tych ziem ?"

Tyle p. Łopuszański.

Zgodnie z oficjalnymi „imponderabiliami" naszym ewentualnym kontrahentem jest Rosja — autochtonami wschodnich ziem Polacy — wszyscy inni to materiał dla... pacyfikacji.

NAJWYBITNIEJSZA KSIĄŻKA ROKU 1955

Stanisław Baliński, Stefania Kossowska, Juliusz Sakowski i Tymon Terlecki — w ramach audycji p.n. „Głos wolnych pisarzy z Londynu" (nadawanych przez radio Free Europe) — uznali po ożywionej dyskusji i kilku eliminacjach — „Dolinę Issy" Czesława Miłosza za najwybitniejszą książkę emigracyjną roku 1955.

Brawo! Bez pudła.

LONDYŃCZYK

Wywiad z Graham Greene'm

W styczniu br. w poczytnej niedzielnej gazecie angielskiej ,,The Sunday Times'', ukazały się dwa artykuły Graham Greene'a, opisujące jego pobyt w Polsce. Artykuły te wywołały wiele komentarzy, zarówno w polskiej prasie emigracyjnej jak i w prasie światowej. Nic w tym zresztą dziwnego gdyż Graham Greene znany jest nie tylko jako wybitny pisarz katolicki, ale również jako krytyczny obserwator i mistrz reportażu. Artykuły dotyczyły w pierwszym rzędzie organizacji PAX'u, ale poruszały także problemy Kościoła i katolicyzmu w Polsce.

Starając się o wywiad z Graham Greene'm chciałem przede wszystkim wyjaśnić niektóre z bardziej kontrowersyjnych czy ciekawszych twierdzeń Greene'a.

Z rzeczy nie poruszonych w wywiadzie, ale mocno podkreślonych w artykułach, warto wymienić nacisk, z jakim Greene opisał nastroje antyniemieckie w Polsce. Według Greene'a zasadniczymi problemami dla Polaków w kraju jest utrzymanie Ziem Odzyskanych, obawa przed odrodzeniem niemieckiego militaryzmu i związane z tym, wciąż żywe i okrutne, wspomnienia z czasów okupacji. Uzbrojenie Niemiec uważane jest w Polsce za zdradę. Greene'owi pokazano muzeum oświęcimskie, które zrobiło na nim silne wrażenie. W artykułach swoich sugerował on, że znaczenie i pamięć takich zbrodni sowieckich jak Katyń bledną zupełnie w porównaniu z ogromem zbrodni niemieckich. Nawiasem mówiąc, ta część artykułów Greene'a spotkała się z raczej nieprzychylnym przyjęciem w kołach brytyjskich.

W swoich artykułach Greene pisze, że Kardynał Wyszyński znajduje się obecnie w klasztorze w Komańczy, niedaleko Sanoka i że ,,oficjalnie'' może widywać kogo tylko zechce. Greene próbował dostać się do Kardynała. Wręczył mianowicie Bolesławowi Piaseckiemu niezapieczętowany list, zaadresowany do Kardynała, w którym prosił o audiencję. Przyrzekł przy tym, że w razie uzyskania audiencji nie umieści o tym wiadomości w prasie. Prosił, by w razie odmowy mógł przynajmniej otrzy-

mać tę odmowę własnoręcznie napisaną przez Kardynała. Nie uzyskał ani audiencji, ani odpowiedzi.

Interesujące są cyfry, dotyczące ruchu ,,postępowych katolików'' oraz nakładu ,,Tygodnika Powszechnego'' i ,,Dziś i Jutro''. Zdaniem Greene'a ilość członków organizacji ,,Pax'' nie przekracza 350 osób. Grupa ta składa się z ludzi świeckich, a wokół niej dopiero grupuje się kilka tysięcy księży-sympatyków ruchu (Greene nazywa ich ,,fellow-travellers''). ,,Tygodnik Powszechny'' ma w tej chwili nakład około 30.000, zaś ,,Dziś i Jutro'' około 5.000 egzemplarzy.

Graham Greene był w Polsce w listopadzie 1955 roku.

Pytanie : — Jak długo był Pan w Polsce?
Odpowiedź : — *Tylko dwa tygodnie.*

Pytanie : — Czy miał Pan możność zwiedzenia całego kraju?

Odpowiedź : — *Nie. Byłem tylko w kilku miejscach. Zaraz po przyjeździe pojechaliśmy do Krakowa, następnie do Zakopanego oraz do miasta, które obecnie nazywa się Stalinogród. Byłem również w Oświęcimiu, a wracając do Warszawy w Częstochowie i Lublinie. Jedną noc spędziłem w Lubelskim Uniwersytecie Katolickim.*

Pytanie: — Co podczas wizyty w Polsce uderzyło Pana najbardziej?

Odpowiedź : — *Miałem dwa specjalnie silne przeżycia. Pierwsze w Częstochowie, w czasie odsłonięcia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Kościół był wypełniony po brzegi tak że mój przewodnik musiał po prostu rozpychać się łokciami aby zrobić dla mnie miejsce w tłumie. Nie było nawet miejsca by uklęknąć — wszyscy stali. Drugie wrażenie to widok odbudowanego Starego Miasta w Warszawie. Wprost nie do uwierzenia ta dokładność w najmniejszym szczególe. Wspaniałe dzieło architektury! Uważam to za dużą zasługę komunistycznego rządu i rzecz raczej niezwykłą. Gdy się jednak przypomni sobie Powstanie Warszawskie oraz starania rządu do zatarcia po nim wszelkich śladów, to odbudowa Starego Miasta ukazuje się w innym świetle. Trudno jest twierdzić z całą stanowczością, ale nie jest wykluczone, że rząd komunistyczny chciał w ten sposób zatrzeć pamięć o Powstaniu, podobnie jak w Rosji niszczono pamięć po Trockim.*

Pytanie : — Był Pan zaproszony do Polski przez organizację ,,Pax'u'', czy jest Pan zadowolony z przyjęcia jakiego Pan doznał?

Odpowiedź : — *Oficjalnie przyjmowany byłem w ,,Pax'ie'' oraz w redakcji ,,Tygodnika Powszechnego''. Miałem jednak*

również przypadkowe i nieoficjalne kontakty. Tak, jestem bardzo zadowolony — specjalnie ze strony nieoficjalnej.

Pytanie : — Czy rozmawiał Pan również z nie-członkami ,,Pax'u''?

Odpowiedź : — *Tak. W Krakowie i Lublinie widziałem się z katolikami nie należącymi do tej organizacji. Udało mi się również zetknąć z pewną liczbą intelektualistów spoza ,,Pax'u''. Oczywiście kontakty moje ograniczone były nieznajomością języka polskiego, a przy tym zawsze towarzyszył mi przewodnik.*

Pytanie : — Widział się Pan z Bolesławem Piaseckim. Co Pan o nim sądzi?

Odpowiedź : — *Widziałem go dwa razy : zaraz po moim przyjeździe do Warszawy i przed odlotem. Moją opinię o nim wyraziłem już — z całą oględnością — w artykułach, zamieszczonych w ,,Sunday Times''. Nawiasem mówiąc zdaje się, że popełniłem błąd pisząc, że zaraz po wojnie był w Moskwie, za co go obecnie przepraszam. Wrażenie moje o Piaseckim jest raczej ujemne. Nie jest to człowiek o sympatycznym charakterze. Zresztą, mówiąc ogólnie, nie wydaje mi się by przywódcy ,,Pax'u'' byli ludźmi godnymi zaufania, natomiast zwykłych członków tej organizacji i sympatyków jej uważam za ludzi szczerze pragnących dobra Polski i Kościoła.*

Pytanie : — W artykułach, zamieszczonych w ,,Sunday Times'', stwierdził Pan niezdecydowaną odpowiedź członków ,,Pax'u'' na postawione im przez Pana zasadnicze pytanie, a mianowicie gdzie znajduje się granica poza którą zdecydowani są nie wykraczać w swojej współpracy z rządem, zaprzestać jej, i zamknąć drukarnie. Pisał Pan, że jeżeli rząd pozwola na istnienie ,,Pax'u'' to musi mu na tej organizacji zależeć, a więc tym samym ,,Pax'' ma możność wywierania nacisku na decyzje rządu. Czy sądzi Pan, że niezdecydowane stanowisko członków i zwolenników ,,Pax'u'' było spowodowane brakiem przemyślenia tego zasadniczego problemu, czy że po prostu obawiali się otwarcie odpowiedzieć Panu na postawione im pytanie?

Odpowiedź : — *O obawie nie ma mowy. Przypuszczam raczej, że wolą nie zastanawiać się nad tą sprawą. W umysłach przywódców ,,Pax'u'' ten problem w ogóle nie istnieje, natomiast zwykli członkowie i sympatycy mają wyrzuty sumienia w związku z postępowaniem rządu wobec Kardynała Wyszyńskiego i zastanawiają się czy tu właśnie nie powinien być ich punkt oporu. Ale oczywiście trzeba wziąć pod uwagę, że opór może kosztować życie.*

Podczas jednego z zebrań, na którym obecni byli również i nie-członkowie ,,Pax'u'', zadałem całej grupie następujące pytanie : — Czy uznają za słuszne moje stanowisko jeżeli po powrocie do Anglii napiszę, że dla Zachodu miernikiem katolickiej

uczciwości ruchu ,,Pax'u'' będzie jego stosunek do sprawy przerywania ciąży, którą rząd ma zamiar ulegalizować. Nie-członkowie ,,Pax'u'' zgodzili się, że byłby to słuszny sprawdzian. Przed samym wyjazdem Bolesław Piasecki zapewnił mnie, że rząd postanowił nie legalizować przerywania ciąży. Jak jest naprawdę — nie wiem.

A propos moich artykułów w ,,Sunday Times'' to, jadąc do Polski, nie miałem zamiaru opisywać mojej wizyty. Jednak na powrocie zgodziłem się na napisanie jednego artykułu, który redakcja ,,Sunday Times'' podzieliła na dwie części. Trudno jest o tych sprawach pisać z całą szczerością, uważając jednocześnie aby nikomu w Polsce nie zaszkodzić.

Pytanie : — W artykułach swoich krytykował Pan politykę Watykanu w stosunku do Polski i katolików w Polsce. Wywołało to wiele komentarzy w prasie. Zwrócono na przykład uwagę, że wbrew Pana twierdzeniu, Watykan po wojnie nigdy nie mianował Niemca na arcybiskupstwo wrocławskie. Sugerowano że krytykując Watykan dał się Pan zwieść propagandzie komunistycznej i stał się Pan jej nieświadomym narzędziem. Czy według Pana wszyscy katolicy w Polsce odnoszą się krytycznie do polityki watykańskiej, czy też można to powiedzieć jedynie o zwolennikach ,,Pax'u''?

Odpowiedź : — *Jeśli idzie o nominację Niemca na arcybiskupstwo wrocławskie — to zostałem wprowadzony w błąd. Źródłem tej informacji był ,,Pax''. Wydaje mi się jednak, na podstawie obserwacji, że także i katolicy nie związani z ,,Paxem'' są do polityki watykańskiej ustosunkowani bardzo krytycznie. Dużą irytację w Polsce wywołuje między innymi pogłoska — której źródłem jest również ,,Pax'' — że Watykan listy kierowane na Ziemie Odzyskane adresuje ,,Germania''. Ludzie dają temu wiarę.*

Z członkami Partii na temat Kościoła nie rozmawiałem. Zdaję sobie sprawę, że jedną z korzyści wypływających dla komunistów z posiadania takiej organizacji jak ,,Pax'' jest propaganda na Zachodzie oraz możność zapraszania do Polski takich ludzi, jak ja na przykład. Oczywiście robi się później z tego odpowiedni użytek. Z listu, otrzymanego z Polski, wywnioskowałem, że tylko niektóre wyjątki z moich artykułów zostały tam ogłoszone, te mianowicie, które były przychylne rządowi lub krytykujące Watykan. Nawiasem mówiąc informowano mnie, że moja książka ,,The Power and Glory'' ma być wydana w Polsce. O ile wiem, egzemplarze tej książki są od pewnego czasu w nielegalnym kolportażu (underground circulation).

Pytanie : — Duże zainteresowanie wywołała również Pana sugestia jakiegoś ,,przetargu'' pomiędzy rządem w Polsce a Watykanem w sprawie uwolnienia Kardynała Wyszyńskiego wzamian za cofnięcie przez Watykan uznania ambasadorowi

Papée czy pełne uznanie faktu przynależności Ziem Odzyskanych do Polski. Czy jest to Pana prywatna opinia czy też sugestia taka wyszła z kół „Pax'u"?

Odpowiedź: — *To jest moja opinia prywatna. Mówiłem jednak o tym albo z Piaseckim albo z Horodyńskim i któryś z nich zgodził się że możliwość taka istnieje. Mam wrażenie, że rząd w Polsce czuje, iż posunął się za daleko aresztując Kardynała Wyszyńskiego i że żałuje tego kroku. Jest to dla rządu problem naprawdę ciężki.*

Pytanie : — Czy uważa Pan, że Kościół w Polsce posiada w dalszym ciągu swoje znaczenie polityczne, jako jedyna organizacja niezależna od komunistów?

Odpowiedź : — *Tak. Nie sądzę, aby komunistom udało się wyeliminować polityczne znaczenie katolicyzmu w Polsce. Niewątpliwie osłabienie hierarchii kościelnej ułatwiło działalność przywódcom „Pax'u" co jest rzeczą szkodliwą, ale nie mającą większego wpływu na znaczenie i działalność Kościoła w Polsce. Sam fakt uczęszczania na mszę św. jest już aktem politycznym. Spotkałem się z opinią, że młodym ludziom w Polsce wystarcza nieraz samo chodzenie do kościoła, aby mieć poczucie demonstracji antykomunistycznej. Nie wiem czy tak jest naprawdę.*

Kościół katolicki, nawet gdyby zechciał zrezygnować z roli politycznej, nie mógłby utracić swego znaczenia jako siły politycznej. Specjalnie w chwili kiedy społeczeństwo polskie przechodzi tak olbrzymie przemiany — rola Kościoła jest ogromna.

Patrząc z pewnej perspektywy wydaje się, że rola grupy „Pax'u" nie jest może całkowicie ujemna. Mimo wszystko opóźnili oni akcję rządu przeciw Kościołowi. Ponadto akcja wydawnicza tej organizacji — w kraju gdzie głód książki zagranicznej jest tak wielki — jest rzeczą niezmiernie dodatnią.

Pytanie : — Na czym opiera Pan swoje twierdzenie, wyrażone w artykułach zamieszczonych w „Sunday Times", że rząd emigracyjny nie posiada żadnego znaczenia politycznego w Polsce?

Odpowiedź : — *Wrażenie takie odniosłem z rozmów w Polsce. Wydaje mi się to zresztą nieuniknione. W Polsce panuje przekonanie, że trzeba zdać się na własne siły, bez oczekiwania pomocy z zewnątrz, i w jakiś sposób rozwiązywać problemy samodzielnie, na miejscu, na przykład Ameryka problemów tych w Polsce nie rozwiąże. Zaznaczam, że tak myślą intelektualiści. Nie wiem jaka jest opinia na przykład wśród chłopów. Trzeba przy tym pamiętać, że w Polsce istnieje prawdziwy opór intelektualny wobec komunizmu i Rosji. Nie zauważyłem nigdzie przygnębienia, przeciwnie — wielką żywotność, „esprit". Pobyt mój tam nie miał z sobie nic z ponurości.*

Pytanie : — W wywiadzie, udzielonym „Nowej Kulturze", w grudniu ubiegłego roku miał Pan powiedzieć, że wiedział Pan

już coś niecoś o warunkach w Polsce od emigrantów, ale że dzięki swej wizycie ma Pan możność te wiadomości skorygować...

Odpowiedź : — *To było nieporozumienie. Mówiliśmy z Żukrowskim po francusku, a mój francuski jest dość słaby. Chciałem po prostu powiedzieć, że już coś niecoś od emigrantów o Polsce słyszałem i że teraz mam możność zobaczenia Polski na własne oczy.*

Pytanie : — Jako pisarza, interesuje Pana niewątpliwie życie zwykłego człowieka, jednostki — jakie są Pana obserwacje w tej dziedzinie?

Odpowiedź : — *,,I would not like to share it for long''. Ale dużo rzeczy zmieniło się na lepsze. Przed wojną na przykład, chłopi byli podobno w niektórych dzielnicach tak biedni, że nie mogli sobie pozwolić na kupienie całego pudełka zapałek i kupowali zapałki pojedyńczo. Tak, warunki życia mas chyba musiały się poprawić. Stanowisko pisarza w Polsce uważam natomiast za zbyt uprzywilejowane. Pisarze są dobrze płaceni, komorne jest małe — choć mieszkania też są małe. Ale gdy ktoś utraci rządowe mieszkanie — znalezienie innego jest rzeczą niezmiernie kosztowną i trudną. Piasecki, na przykład, w porównaniu z innymi, żyje bardzo luksusowo nawet jak na standard zachodni.*

Trudno mi jest powiedzieć czy na rynku jest dostateczna ilość artykułów pierwszej potrzeby. W każdym razie dystrybucja jest przy tym źle zorganizowana. Znane są takie wypadki że na przykład w Krakowie jest zatrzęsienie skarpetek, a w Lublinie zupełnie ich dostać nie można, itp. Wystawy sklepowe można by czasem porównać do wystawy obrazów. W oknie wystawowym, pięknie udekorowana, stoi para dobrych, ładnych butów. Ktoś wchodzi do sklepu i chce je kupić. Okazuje się, że buty zostały sprzedane w dniu w którym pojawiły się w sklepie, ale nabywca zgodził się poczekać z ich odebraniem do czasu gdy do sklepu nadejdzie nowy transport, aby te w oknie wystawowym mogły być zamienione na inne. Tak jak na wystawie malarskiej — kupiony obraz wisi aż do końca wystawy.

Ludzie w Warszawie robią wrażenie dobrze i schludnie ubranych, nie ma się wrażenia nędzy.

Pytanie : — W prasie krajowej podano, że ma Pan zamiar napisać książkę o Polsce. Czy to prawda?

Odpowiedź : — *Nie, nie miałem i nie mam takiego zamiaru.*

Pytanie : — Czy chciałby Pan dodać coś od siebie do tego wywiadu?

Odpowiedź : — *Tak. Pojechałem do Polski raczej niechętnie. Zaproszenie miałem już od dwóch lat. Dobrze zdawałem sobie sprawę z tego, że mój przyjazd może być wykorzystany dla*

celów komunistycznej propagandy. Ale wydawało mi się, że warto zaryzykować.

Moją wizytę uczyniły mi szczególnie miłą różne, przypadkowe kontakty. Idąc na przykład na zebranie Związku Pisarzy w Krakowie przywitany zostałem naraz, bardzo gorąco, na rogu jakiejś ulicy, przez grupę studentów, Ot, zwykła grupa studentów... i takie miłe powitanie. Zdarzyło mi się to kilka razy w czasie mego pobytu. Odczułem przy tym dużo serdeczności i przyjaźni. Byłem raczej zdumiony, że w Warszawie panuje taka wesoła atmosfera, ruch, życie, dowcipy. Nie odnosi się wcale wrażenia, żeby ludzie byli złamani. Kraków natomiast robi wrażenie trochę ponure, może jak każde stare, uniwersyteckie miasto.

Trochę mi było żal wyjeżdżać z Polski. Cały mój krytycyzm w stosunku do organizacji ,,Pax'u'' dotyczy jej przywódców — zwykli członkowie byli i bardzo uprzejmi i szczerzy. Wywiozłem z Polski wiele miłych wspomnień. Szczególnie przyjemnie wspominam Żukrowskiego, z którym kiedyś byliśmy w Indochinach — po przeciwnych stronach. Podarował mi bardzo ładny tybetański kindżał.

Przed wyjazdem zastrzegłem sobie w Redakcji ,,Dziś i Jutro'', by w piśmie tym — ze względu na umieszczenie go na indeksie — nie ogłaszano więcej moich utworów czy artykułów. Nie mam takich zastrzeżeń w stosunku do ,,Tygodnika Powszechnego''. Słyszałem jednak, że w tydzień po moim zastrzeżeniu wydrukowano w ,,Dziś i Jutro'' jedną z moich nowel...

Na zakończenie Graham Greene prosi, aby mu dać znać gdyby się to jeszcze kiedyś powtórzyło.

Bogdan CZAYKOWSKI

Droga poetycka Brunona Jasieńskiego

WSPOMNIENIE O POECIE

Dziwna była droga poetycka Brunona Jasieńskiego. Dziwna i powikłana na początku, w okresie futurystycznym, uproszczona do schematyzmu w latach następnych, by wreszcie wśród nocy polarnych — zmienić się w białą kartę nieznanego konty-

nentu. Od hołdującego nowinkom literackim ,,formalisty'', od ,,Buta w butonierce'', poprzez poezję społeczną ,,Pieśni o głodzie'' i ,,Słowa o Jakubie Szeli'', poprzez długie lata wypełnione poezją utylitarną — do ostatniego etapu, gdzie

,,rozhuśtała już jesień tysiącem batut
krzywe wierzby nad stawem w takt żabich gam''

i gdzie poeta

,,na ostatni fałszywy czerwienny atut
dzisiaj ze śmiercią w durnia grał''.



Dziś jeszcze, po wielu latach, sylwetka poety stoi mi żywo przed oczyma, chociaż nasze spotkania miały charakter raczej przelotny, ale kojarzy się ona z pewnym okresem mego życia, wchodzi w skład pejzaży młodości i dlatego czas nie zdołał jej zatrzeć.

W chwili gdy stawiałem pierwsze kroki w małych, wypełnionych po brzegi salkach krakowskiego ,,Collegium Novum'' Bruno Jasieński był już na wylocie. Widywałem go prawie co dzień przed gmachem uniwersytetu, z monoklem w oku : ogromny krawat łączył się z przebrzmiałą elegancją XIX wieku, z epoką romantyczną i ten omal teatralny rekwizyt wydawał się tym bardziej rażący u pisarza, który we wszystkich innych dziedzinach zerwał z tradycją i z przeszłością. Był to jednak symbol pewnej dwoistości istniejącej w poecie. Dr Jekyll and Mr. Hyde, elegancki młodzieniec z monoklem i ekscentrycznym krawatem, i rewolucjonista ,,palący Paryż''.

Często można go było spotkać w małej salce ,,Esplanady'', na lewo od wejścia, którą formiści przekształcili w Gałkę Muszkatołową. Bezbarwnym wzrokiem wodził po przechodniach, przesuwających się przed wielką taflą kawiarni, którzy od Podwala skręcali w ulicę Krupniczą lub zatrzymywali się przed gmachem późniejszej ,,Bagateli''.

Jasieński był wtedy już tylko luźnie związany z uniwersytetem, ale — o ile mnie pamięć nie myli — jego wieczór autorski, urządzony w sali Kopernika, zgromadził tłumy publiczności, przyciągniętej jednak nie tyle miłością literatury, ale raczej posmakiem skandalu i poszukiwaniem sensacji. Młodzież uniwersytecka odnosiła się do futuryzmu przeważnie z rezerwą, można by nawet powiedzieć z niechęcią, futurystów nie traktowano zbyt poważnie, za to miejsce ,,wieszczów'' na horyzoncie literackim zajmowali wtedy Józef Aleksander Gałuszka i przede wszystkim Jerzy Braun. Zwłaszcza Braun, doskonały recytator, wywierał ogromny wpływ na młodą generację polonistek i na

wyemancypowane studentki medycyny, gdy w „Najeździe centaurów" „po karkołomnym życia iluzjonie pędził w mgławicy gwiazd".

W kilka miesięcy po mym przyjeździe do Krakowa ukazała się druga jednodniówka futurystyczna „Nuż w bżuhu". Przygodni rozsprzedawcy kolportowali na plantach tę ogromną płachtę papieru, która natychmiast została rozsprzedana wywołując prawdziwy skandal i gromy oburzenia. Nie tylko fonetyczna pisownia raziła zakorzenione przyzwyczajenia, ale także wszystkie teksty były obliczone na sprowokowanie gwałtownej reakcji i na „épater le bourgeois". Był to rok 1921, moment szczytowy futurystycznego okresu „burzy i naporu", wystąpienia futurystów na wieczorach poetyckich pełne były agresywnego dynamizmu doprowadzając do konfliktów z publicznością i wywołując nawet interwencję policji.

Poezja Jasieńskiego z tego okresu nie zawsze była pierwszej jakości, zawierała wiele łatwizn i tanich chwytów. Miała ona dość szeroki zasięg oddziaływania, właśnie przez tę łatwość, ale też dlatego nie brano jej całkiem na serio. Jedno z pism zamieściło wtedy parodię „Buta w butonierce", bodaj że pióra Tuwima, z której pamiętam pierwszą strofkę :

„W parkocieniu kokotessy
rozigorzał do dessous
ach ekscessy, ach majtessy,
ale ona pas du tout".

i zakończenie, melancholijnie stwierdzające porażkę :

„przekrakowił siewierezję
wypoeził się jak z nut
i spampanił swą poezję
coûte que coûte et but que but".

Jeśli wydanie drugiej jednodniówki nie było łabędzim śpiewem futurystów stało się jednak niewątpliwie punktem szczytowym ich ekstrawagancji. Od tego czasu zaczyna się szybka ewolucja : nie starają się już sztucznie wywołać oburzenia, ale raczej, po porzuceniu zbędnej ekscentryczności, o odnalezieniu nowego sposobu pisania, dotarcie do literatury, która istotnie byłaby zupełnie odmienna od tradycji.

Dlatego, gdy w roku 1922 Tadeusz Peiper rozpoczął wydawanie pierwszej serii „Zwrotnicy", futuryści z natury rzeczy znaleźli się wśród współpracowników pisma. Wiersze Jasieńskiego i Sterna wykazują wtedy bardzo silne wpływy poezji rosyjskiej, ale już Siewieranin i Balmont zaczynają ustępować miejsca Majakowskiemu i Jesieninowi. Jasieński drukuje wtedy w „Zwrotnicy" kilka doskonałych przekładów z tych poetów.

Rzecz charakterystyczna, poezja rosyjska oddziaływuje w równie silnej mierze na Słonimskiego i na Tuwima, który uważał się „za pierwszego w Polsce futurystę". W szóstym numerze (ostatnim z pierwszej serii), Bruno Jasieński drukuje swe wspomnienia o futuryźmie. Jest to właściwie epitafium, artykuł nekrologiczny oficjalnie stwierdzający zgon kierunku.

Okres „Buta w butonierce" i jednodniówek futurystycznych mógł jeszcze budzić pewne wątpliwości co do talentu tych poetów. Kilka wierszy zamieszczonych w „Zwrotnicy" świadczy że już wtedy Jasieński zaczyna przezwyciężać skłonność do tanich efektów i zapowiada poetę, który znalazł swój pełny wyraz w wydanej w roku 1922 „Pieśni o głodzie", a w kilka lat później — w „Słowie o Jakubie Szeli". Ta poezja gęsta i drapieżna, miała w sobie coś wyjątkowo mocnego :

W białe noce, od rżysk i gumien,
porośniętych i mchem i mgłą,
pozbierałem tę pieśń, jak umiem
i przynoszę skrwawioną i złą".

a zwłaszcza strofka :

„W białe noce, zza kęp ostrężnic,
gdzie chowała się słońca rżyć
wychodziła ta pieśń na księżyc
godzinami po psiemu wyć".

prześladowała nas długo, w naszych nocnych peregrynacjach po plantach krakowskich, które przeciągały się, wypełnione recytowaniem wierszy i dyskusjami o poezji, do białego rana.



Futuryści szybko rozproszyli się po świecie. Tytus Czyżewski wrócił do Paryża, Jasieński coraz częściej przebywał w Warszawie, gdzie Anatol Stern zamienił fonetyczną pisownię na fotografie gwiazd ekranu i biurko redaktora czasopisma filmowego. W Poznaniu, w teatrzyku, słychać było jeszcze przez pewien czas głos wykrzykujący :

„Jestem chłopiec dziarski
Artur Maria Swinarski",

ale grupa futurystyczna przestała istnieć. Za futurystę uważał się wprawdzie Jalu Kurek, ale należał on do generacji o kilka lat młodszej i z futurystami właściwie nic nie miał wspólnego. Znajdował się zresztą pod wpływem Marinettiego i poezji włoskiej, podczas gdy Jasieński i Stern nawiązywali prawie wyłącznie do futurystów rosyjskich.

W kilka lat później, wkrótce po mym przyjeździe do Paraży, spotkałem Jasieńskiego na Montparnasie. Był to już okres „Café du Dôme", gdy szanujący się pisarze i artyści wyemigrowali z „Rotondy", gdzie pozostali jedynie „pompierzy". Od czasu do czasu przychodził tu Jasieński z żoną i kilka razy przysiadł się do naszego stolika. Czasem można go było spotkać w towarzystwie Ehrenburga, który wyróżniał się ogromną czarną czupryną i dziwnego koloru zielonkawym ubraniem. Na łamach „l'Humanité" ukazywała się wtedy w odcinku powieść Jasieńskiego „Je brûle Paris", która nieco później pojawiła się w polskim wydaniu. Powieść wydawała się nam słaba, dlatego unikaliśmy tego tematu. Nie pamiętam wierszy z tego okresu, jest prawdopodobne, że po szczytowych osiągnięciach „Pieśni o głodzie" i „Słowa o Jakubie Szeli" — przechodził on ewolucję w kierunku poezji bardziej utylitarnej, której próbki odnalazłem, w kilka lat później, w redagowanej przezeń „Kulturze Mas".

Nie znam wierszy Jasieńskiego napisanych po wyjeździe z Paryża. Wydaje się, że krzywa jego rozwoju rozwijająca się z nieubłaganą logiką, musiała go doprowadzić albo do zamilknięcia, albo to twórczości czysto utylitarnej, na użytek mas. Nie wiemy czy odbyło się to w sposób normalny, przez powolne przejście do fazy, którą można by porównać do przepoczwarczania się młodego pisarza w zamożnego, brzuchatego dyrektora, czy też nastąpiło to w wyniku długoletnich walk wewnętrznych i zmagań z samym sobą. Mimo narzuconej sobie z zewnątrz dyscypliny dramat pisarza nie był powierzchowny i niewątpliwie zawierał w sobie elementy tragiczne. W jaki sposób ten młody poeta, z tendencją do nieco przesadnej elegancji i dandyzmu, z monoklem w oku i ekscentrycznym krawatem, piszący najpierw dla chęci skandalu, dla kobiet i „pour épater le bourgeois" — przeszedł w ciągu kilku lat ewolucję, która poprzez szczytowe momenty „Pieśni o głodzie" i „Słowa o Jakubie Szeli" doprowadziła go do literatury utylitarnej, i w końcu — do wieloletniego wygnania, pozostanie długo jeszcze niedocieczoną tajemnicą. Może kiedyś uchyli się zasłona zakrywająca ten okres jego życia, usłużni przyjaciele przestaną fałszować rzeczywistość pomniejszając jego rolę w rodzeniu się nowej literatury i twórczość poety doczeka się sprawiedliwej oceny. Wtedy nastąpi prawdziwa rehabilitacja Brunona Jasieńskiego.

Jan BRZĘKOWSKI

Młodzi plastycy w kraju

Zamieszczamy fragmenty ciekawego artykułu p. Joanny Guze pt. „O młodych malarzach i malarstwie sztalugowym”, który ukazał się w numerze 11 „Przeglądu Kulturalnego”.

I.

Za obrazy zakupione na Wystawie Młodych w Arsenale płacono od 1.800-3.600 zł., zależnie od rodzaju i rozmiaru płótna. W przeliczeniu na złote polskie najmniej warta była martwa natura, najwięcej kompozycja figuralna. Nie zatrzymując się na absurdalnych zasadach cennika, którego autorzy bez drgnienia powiek zagłodziliby Chardina, przypomnijmy, że Arsenał był pierwszą wielką wystawą młodych malarzy, wywalczoną przez młodych malarzy, i że takie okazje nie są częste. ... choć brzmi to nieco paradoksalnie, młody malarz sprzedający jeden obraz rocznie, jest w stosunkowo dobrej sytuacji. Jeden obraz rocznie przynosi przeciętnie około 3.000 złotych. Jakie są inne możliwości sprzedaży? Niemal żadne. Jedynym mecenasem jest państwo, innych mecenasów nie ma, państwo ma na zakupy obrazów określone fundusze, malarzy jest dużo. Jeżeli można znaleźć kilku lub kilkunastu malarzy, którym wiedzie się dobrze (niekoniecznie w zależności od tego, czy stworzyli dzieła wartościowe), to w ich dochodach sprzedaż obrazów jest tylko jedną z pozycji obok pensji profesorskiej, nagrody państwowej, dotacji ministerialnej czy zamówienia na malowidło ścienne. Wszystko to jednak dotyczy malarzy o ustalonej renomie, z reguły malarzy starszego pokolenia. ... Ponieważ utrzymać się za 3.000 zł. rocznie jest zamiarem dość karkołomnym, sięga do innych pokrewnych mu dziedzin. Czym może się zająć malarz sztalugowy?

II

... Młody malarz, którego głównym zainteresowaniem jest malarstwo sztalugowe, rozporządza teoretycznie następującymi możliwościami: malarstwo ścienne; plakat; ilustrowanie książek, okładki książkowe, rysunki do opowiadań i wierszy w prasie, rysunek okolicznościowy; asystentura w akademii lub w szkole sztuk plastycznych; redakcja graficzna w piśmie lub wydawnictwie. ... za każdym razem wkracza w cudzą dziedzinę, gdzie pierwszeństwo mają jego koledzy specjaliści: grafik książkowy, ilustrator, plakaciarz. Konkurencja jest więc duża. ... Jeśli o plakacie można powiedzieć, że najczęściej rozstrzygają tu talent i wiedza fachowa, to w dziedzinie ilustracji książkowej i okładki, rzecz wygląda nieco inaczej. Obracamy się wciąż w zaklętym kręgu tych samych nazwisk. ... Oto możliwości praktyczne. Podobnie rzecz wygląda w pozostałych dziedzinach, z których najważniejszą jest malarstwo ścienne. Tu kręgi są również zamknięte. ... Jakże mogą się wykazać młodzi malarze, skoro nikt i do niczego ich nie zaprasza? Dlaczego nie rozpisuje się konkursów otwartych. ... Widzimy więc, że moż-

liwości malarza sztalugowego w dziedzinach mu pokrewnych są nader skromne, jeśli żadne. ...

III

Malowanie do składów i piwnic jest jednak równie kosztowne jak malowanie dla wiadomego odbiorcy. Tuba farb kosztuje 20-24 zł., metr płótna 27 zł., blejtram 60-150 zł., zależnie od formatu, ponadto pędzle, węgiel, karton, grunt, akwarela, ramy. Koszta własne malarza pracującego rzetelnie wynoszą 600-1.000 zł. miesięcznie. Malarz musi też kupić książkę z reprodukcjami, skoro żyje w kraju, gdzie galerie malarstwa są skromne, a sprawa wyjazdu za granicę (która ostatnio ruszyła zresztą z martwego punktu) jest sprawą dewiz: węgiel i praca polskich robotników. Nie wiadomo tylko dlaczego te dewizy wydatkuje się tak szczodrze na ludzi, którzy posiedli np. w wysokim stopniu kunszt niezadawania ciosów przeciwnikowi poniżej pasa, co jest niewątpliwie szlachetną kwalifikacją, ale nie jedyną, jeśli idzie o podnoszenie prestiżu naszego kraju poza jego granicami. Z drugiej strony nie wiadomo również dlaczego utalentowany skądinąd rysownik i artysta dworu angielskiego, obywatel brytyjski pochodzenia polskiego, krótko mówiąc Feliks Topolski, ma wywieźć z Polski 3.000 funtów szterlingów w walucie, jak bowiem wieść głosi, jest to cena, jaką wyznaczył były student Akademii Warszawskiej za prawo urządzenia swojej wystawy w Warszawie ulegając naszym usilnym prośbom (3.000 funtów to cena zakupów). Nie mówiąc o tym, że jest to suma, za którą można by nabyć na świecie kilka niezgorszych obrazów współczesnych malarzy, jest to również suma, za którą około dwudziestu polskich malarzy mogłoby wyjechać na 3 miesiące do Anglii, Francji, Włoch czy Holandii i nie byłyby to ubogie stypendia. Ale nasza stara zasada „zastaw się a postaw się" obowiązuje, jak widać, w każdym ustroju. Wracając jednak do książek z reprodukcjami, przypomnijmy, że jest ich bardzo mało (dewizy !) i kosztują bardzo drogo: „Wojna i pokój" Picassa kosztowała np. 330 zł. Znam wielu bardzo źle zarabiających malarzy, którzy rezygnując z najpierwszych potrzeb kupili tę książkę. Koszta własne są więc nieproporcjonalnie wysokie, jeśli pamiętamy o cyfrze 3.000 zł. rocznie, powiedzmy nawet 4.000, albo 5.000 zł., licząc optymistycznie dodatkowe zarobki. Młody malarz musi też jeść i ubrać się (je kiepsko, a ubiera się jeszcze gorzej) przeważnie ma żonę, czasem dzieci. ...

Dwie koncepcje szczerości

Zarówno redaktor „Kultury", jak jego bliscy współpracownicy nie czekali na śmierć Stalina i „odwilż" żeby się widywać z krajowymi pisarzami. Od roku 1945 po dzień dzisiejszy pisarze i publicyści z kręgu „Kultury" spotkali się z wieloma krajowymi pisarzami, artystami, uczonymi.

Nigdy nie szukaliśmy tych spotkań, wchodząc w położenie naszych rozmówców. Nigdyśmy ich nie odmawiali. Zachowywaliśmy zawsze na temat tych spotkań ścisłą dyskrecję, sądząc że niektóre z nich przynajmniej odbywały się spontanicznie, nie spowodowane ,,instrukcjami" urzędników i bez wiedzy krajowych ,,czynników oficjalnych". Wiele by można powiedzieć o tych rozmowach i o stopniowej zmianie ich klimatu. Kompleks winy i niższości wobec emigracji zanikał u ludzi z Kraju powoli. W miarę lat wzrastała pewność siebie, połączona jednak nieraz w latach ,,zimnej wojny" z widoczną chęcią asekurowania się ,,na wszelki wypadek". Nie mieliśmy oczywiście żadnych złudzeń co do tego że rozmowy te były na pewno w większości wypadków powtarzane krajowym władzom w formie takich czy innych raportów. Ale wybraliśmy przecież emigrację właśnie dlatego że od nas nikt składania raportów nie wymaga i że możemy sobie zawsze pozwolić na szczerość. Toteż rozmawialiśmy szczerze, rozumiejąc jednocześnie, że system w którym żyją nasi rozmówcy na tę samą szczerość im nie pozwala. Ale zarówno ,,ketman", jak ,,double-think", czy choćby bardziej klasyczne metody analizy psychologicznej dawały nam możność interpretowania wypowiedzi przyjezdnych z kraju. Do niedawna utrzymywane w ścisłej tajemnicy, znane prawdopodobnie tylko ,,wtajemniczonym", spotkania pisarzy i dziennikarzy krajowych z emigrantami zaczynają teraz przenikać do krajowej prasy. Jest to fenomen ,,odwilżowy", połączony z akcją ,,powrotową". Nie wiemy o ile zmieniły się w kraju rzeczywiste warunki, ale zmienił się na pewno klimat. Pisarze krajowi lubią teraz kultywować złudzenia wolności i dochodzą przy tym do zabawnych absurdów. Otóż należy do ,,dobrego tonu" udawać jakoby nic nie było bardziej naturalnego dla człowieka z kraju jak spotkania i rozmowy w cztery oczy z emigrantami. To emigranci rzekomo obawiają się tych spotkań, nie trzeba wymieniać ich nazwisk, gdyż można by im ,,zaszkodzić" u władz kraju, który udzielił im schronienia. W ten sposób piecze się na jednym rożnie pieczeń krajowej wolności i pieczeń policyjnego terroru zachodnich demokracji... Niestety o tej ,,wolności" krajowej gorzej świadczy całkowite przekręcanie tych rozmów, przystosowywanie ich do wymagań propagandy.

Nie jest to ładne zjawisko, gdyż podczas gdy my w samych rozmowach możemy być całkowicie szczerzy, trudno jest nam o nich szczerze i wyczerpująco pisać, gdyż moglibyśmy rzeczywiście zaszkodzić naszym rozmówcom. Nie chodzi tu nawet o ,,nieortodoksyjny" stosunek rozmówców z kraju. Mogą oni na wszystko mieć odpowiedź najbardziej zgodną z reżymową propagandą. Ale są pewne tematy, pewne pytania, które niezależnie nawet od odpowiedzi są drażliwe. Otóż te tematy usuwają pisarze krajowi systematycznie ze swych relacji.

Nawet jeśli przyjezdny zdobędzie się na miedziane czoło w swych odpowiedziach, nawet jeśli będzie np. twierdził, że zbrodni katyńskiej dokonali Niemcy, że Polacy siedzący w łagrach sowieckich popełnili najwidoczniej ciężkie zbrodnie, że Władze Polski Podziemnej sabotowały aliantów w porozumieniu z Niemcami, że Erlich i Alter to byli ukryci naziści — nawet wówczas na pewno nie ośmieli się naszych pytań i swoich odpowiedzi umieścić w krajowej prasie. Tak że pozostaje relacja fragmentaryczna z takich rozmów. Ale nawet fragmenty bywają przekręcane.

,,Życie Warszawy" z 27 lutego zamieszcza artykuł Augusta Gro-

dzickiego pt. ,Rozmowa z Emigrantem". Grodzicki spotkał się niedawno w Paryżu z Jerzym Giedroyciem. Zastrzegał się spontanicznie, że rozmowa ma mieć charakter ,,prywatny" i tego rodzaju prośba o dyskrecję w niczym nie zdziwiła Giedroycia, przyzwyczajonego do tego rodzaju zastrzeżeń. Oto jak pisze Grodzicki o zmianie swej pierwotnej decyzji:

> ,,W czasie pobytu w Paryżu chciałem się zetknąć ze środowiskiem ,,Kultury" i zaznajomić się bliżej, w bezpośredniej rozmowie, z psychiką i tokiem rozumowania tych ludzi. Do spotkania doszło bez trudu. Propozycja wysunięta z mojej strony została od razu ochotnie przyjęta. Przez dwie godziny rozmawiałem przy kawie w paryskiej kawiarni z jednym z redaktorów ,,Kultury". Nazwiska nie wymieniam. Rozmowa miała charakter prywatny i niemal przyjacielski. Kiedy ją przeprowadzałem nie myślałem, że będę o niej kiedyś pisał i nie uprzedzałem o tym mego rozmówcy. Dziś myślę, że może ona zainteresować polskiego czytelnika. A być może że ujawnienie mego rozmówcy nie byłoby dla niego wygodne, mimo że mieszka w ,,wolnym świecie" i wśród emigracyjnych ,,przyjaciół".

A oto jak Grodzicki pisze o ,,Kulturze":

> ,,Jedynym poważniejszym zjawiskiem wśród obcej nam emigracji polskiej w Paryżu jest miesięcznik ,,Kultura". Redaguje go grupka ludzi z Jerzym Giedroyciem na czele. Znajduje się wśród nich też Józef Czapski, którego obsesyjna nienawiść do komunizmu i Związku Radzieckiego jest znana. Nie wiem kto finansuje to pismo i jaka grupa za nim stoi. Nie jest to zresztą w tej chwili ważne. Być może zresztą że reprezentuje ono dążenia ludzi zgrupowanych w redakcji, ludzi tzw. niezależnych, za jakich siebie uważają. W ,,Kulturze" pisują emigranci mieszkający w różnych krajach i posiadający różne przekonania polityczne. Łączy ich tylko wspólna wroga postawa wobec dzisiejszej Polski i wobec komunizmu. ,,Kulturę" czytają emigranci polscy w różnych częściach świata. Oczywiście, jej wpływu nie można przeceniać. Nakład jest mały, pismo dociera w gruncie rzeczy do nielicznych".

A więc z miejsca insynuacja: ,,Nie wiem kto finansuje to pismo"... Insynuacja smutna, nie tyle jako fałszywy zarzut postawiony ,,Kulturze", która właśnie postawiła sobie za zadanie samodzielność, ale jako wyraz atmosfery krajowej, w której trudno już sobie najwidoczniej wyobrazić, że można pismo wydawać niezależnie. Gdyby Grodzicki zadał sobie trud podsumowania ogłoszonych w ,,Kulturze" darów na jej dom to zdałby sobie sprawę z tego, że pismo które może zebrać kilka milionów *poza prenumeratą,* w szczególnie ciężkiej chwili swego istnienia, potrafi na pewno w normalnych warunkach utrzymać się z prenumerat. ,,Nakład jest mały" — pisze lekceważąco Grodzicki. Są to oczywiście oceny względne. Po pierwsze wystarczy porównać nakład ,,Kultury" z nakładem największego literackiego miesięcznika krajowego — ,,Twórczości". Po drugie, ,,Kultura" jest samowystarczalna, to znaczy, że jej nakład pokrywa koszty, podczas gdy niedawno jeszcze człowiek kompetentny, jak Szeląg-Mitzner stwierdził, że prasa krajowa jest deficytowa. Może to oczywiście świadczyć o dwóch zjawiskach: albo ,,Kultura" pociąga większy procent potencjal-

nych czytelników niż prasa krajowa, albo też sytuacja materialna emigracyjnej inteligencji jest — wbrew temu co twierdzi radio ,,Kraj" — o tyle lepsza od sytuacji inteligencji krajowej. Rozumiemy dlaczego Grodzicki wolał z góry fałszywym twierdzeniem zlikwidować oba wnioski. Co prawda mógł wytłumaczyć ten stan rzeczy kosztami własnymi ,,Kultury", stwierdzając, że ,,Kultura" może być samowystarczalna płacąc swym autorom niskie honoraria i zaledwie pokrywając minimum utrzymania członków redakcji. Mógł wskazać na fakt, że mieszkania, auta i wille redaktorów krajowych przedstawiają dodatkowe wydatki — ale może nie był to argument zbyt wygodny.

Grodzicki wspomina następnie o zaproszeniu skierowanym przez ,,Kulturę" do 48-miu pisarzy i uczonych krajowych, którzy wezwali emigrantów do powrotu. ,,Trudno w tej propozycji nie dopatrzeć się — pisze Grodzicki — pewnej — delikatnie mówiąc — megalomanii". Ten argument ,,megalomanii" nie po raz pierwszy pojawia się w prasie czy radiu krajowym. Trzeba stwierdzić, że wysuwając go, krajowi propagandyści wykazują dużą dozę naiwności, tak oczywiście wypuszczając szydło ze swego worka. Przecież cały apel 48-miu był ujęty jako apel zespołu jednostek — jako apel, jak określiliśmy go w ,,Kulturze" — trzymając sygnatariuszy za słowo — ,,niezależnego czynnika społecznego". Jakaż w tym megalomania z naszej strony, gdy proponujemy żeby — powiedzmy — Maria Dąbrowska rozmawiała z Czapskim, Parandowski ze Stempowskim, Przyboś z Pankowskim, Jan Kott z Gombrowiczem? Jesteśmy pewni, że możemy przedstawić ekipę emigracyjnych pisarzy i uczonych, którzy w niczym nie ustępują czterdziestu ośmiu obywatelom, którzy podpisali słynny apel. Jeśli się mówi o ,,megalomanii", ma się prawdopodobnie na myśli stosunek ,,Kultura" - Polska, czy też, ściślej, ,,Kultura" - rząd polski. Ale w takim razie przyznaje się z góry, że apel czterdziestu ośmiu był inspirowany, dyktowany, i że był on niczym innym jak zamaskowaną formą reżymowej propagandy. Grodzicki pisze oczywiście ,,dlaczego nie w kraju". Otóż żadne ze świadectw dotychczasowych nie upoważnia nas do przypuszczenia, że moglibyśmy w kraju rozmawiać swobodnie. Może pewni ludzie w kraju doszli nawet — poprzez samozachowawczy proces adaptacji — do przekonania, że w ich uprzywilejowanym kole można rozmawiać ,,swobodnie". Niech przez chwilę dokonają rachunku tematów które są ,,tabu". Naturalnie, że w atmosferze narodowej tromtadracji i ,,bezpartyjności" wielu ludzi na emigracji mogłoby znaleźć wspólny język z elitą krajową. Ale nie dotyczy to współpracowników ,,Kultury".

Na zakończenie kilka sprostowań co do samej rozmowy Giedroyc - Grodzicki, trzymając się naturalnie tej sfery która nie może nikomu ,,zaszkodzić". ,,Polacy, to naród bez kośćca" — każe Grodzicki mówić Giedroyciowi. Tyle, że Giedroyc nie mówił o Polakach, ale o polskich intelektualistach. I poparł to przykładami, które pomija Grodzicki. Oto kilka z nich: Dlaczego architekci polscy, zapytani przez architektów sowieckich o ich zdanie o sowieckim projekcie ,,Pałacu Kultury" entuzjastycznie aprobowali ten ohydny projekt? Dlaczego polscy historycy opiniowali entuzjastycznie *przed drukiem* skandaliczną ,,Historię Polski" opracowaną przez sowiecką Akademię Nauk? Co myśleć o wystąpieniu jednego z polskich pisarzy, którzy na zebraniu literatów w Leningradzie tak się zachłystywał

,,wielką siostrzycą'', z której bierze się wzór i przykład, że został lekceważąco przywołany do porządku przez jednego z sowieckich literatów? Przykłady te zasmucą może i zdziwią niejednego z czytelników ,,Kultury'', ale nie sposób ich pominąć, jeśli się stoi na stanowisku, że jedynie prawda może służyć sprawie wolności...

Przykładów takich dwugodzinna rozmowa, streszczana tendencyjnie przez Grodzickiego na dwóch szpaltach dostarczyłaby wielu... Dlaczego tyle osób i instytucji skarży się, że cenzura czy bezpieka konfiskuje im już nie tylko egzemplarze naszego miesięcznika, ale i książki francuskie czy angielskie najbardziej apolityczne które im wysyłamy? Dlaczego Kraj nie wykorzystuje zupełnie możliwości które mu stawia kontakt z Dalekim Wschodem? Dlaczego orientalistyka polska nie stała nigdy tak nisko, jak teraz, gdy miałaby ważną rolę do odegrania? Dlaczego, mimo propagandy wokół ziem zachodnich, tak się zaniedbuje Wrocław, że przestał być jakimkolwiek centrum intelektualnym, którym przecież był w pierwszych latach? Jak wytłumaczyć obrzydliwą hipokryzję polskich pisarzy którzy ,,nie mogą zrozumieć'' dlaczego w Brześciu — mieście, jak wiadomo, od wieków rosyjskim — kelnerki ocierają łzy patrząc na delegację polską? Lub tego reportera, którego zdumiewa zainteresowanie mową polską na terenie Wilna i Nowogrodka?

Wreszcie — co do literatury emigracyjnej. Grodzicki twierdzi że Giedroyc ,,nie ma co do niej złudzeń'', wysuwając tylko przykład Miłosza. Tutaj też całkowite zniekształcenie: Giedroyc twierdził, że literatura emigracyjna — mimo niesprzyjających warunków — doskonale wytrzymuje porównanie z krajem i cytował o wiele, wiele więcej nazwisk. Chyba że sam Grodzicki ,,nie ma złudzeń'' co do krajowej literatury.

Tego rodzaju sprostowanie zamieszczamy wyjątkowo. Zajmuje ono miejsce w ,,Kulturze'', które mogłoby być lepiej wykorzystane. Robimy to dlatego, by zasugerować naszym kolegom w kraju, że lepiej może, skoro nie można pisać wyczerpująco i szczerze o tych sprawach — nie poruszać ich wcale. Ale mimo to, nawet jeśli przypisywane nam będą jeszcze bardziej absurdalne wypowiedzi, zawsze jesteśmy gotowi ,,ochotnie'' rozmawiać z pisarzami z Kraju. Więcej nawet: sprostowanie to zamieszczamy dlatego, aby z góry rozprawić się z wszystkimi możliwymi fałszywymi wersjami naszych wypowiedzi. A raczej, nie tyle aby ,,rozprawić się'' z nimi :aby je z góry wytłumaczyć jako naturalną konsekwencję dialogu w którym każdy z partnerów dysponuje innym wymiarem wolności, szczerości i lojalności.

a. n.

Wydawnictwa krajowe

PROZA

MALEWSKA (Hanna). *Kamienie wołać będą*. Powieść z XIII w. Str. 304. Wyd. III. (PAX, Warszawa, 1955, zł. 28).

TYRMAND (Leopold). *Zły*. Powieść o Warszawie powojennej i chuligaństwie. Str. 678. (Czytelnik, Warszawa, 1955, zł. 35,40).

KLASYSY LITERATURY POLSKIEJ

PRUS (Bolesław). *Kroniki*. Tom V-ty. Str. 648. (PIW, Warszawa, 1955, zł. 52,50).

PRZEKŁADY

UNDSET (Sigrid). Wiosna. Str. 370. (PAX, Warszawa, 1955, zł. 20).

CRONIN (A.J.). *Zielone lata*. Str. 338. (PAX, Warszawa, 1955, zł. 25.).

SIMON (Boris). *Gałganiarze z Emmaus*. Str. 268. (PAX, Warszawa, 1955, zł. 18).

LAXNESS (Halldor). *Sprzedana wyspa*. Str. 212. (Czytelnik, Warszawa, 1955, zł. 6,30).

KSIĄŻKI DLA DZIECI

BRZECHWA (Jan). *Bajki i Baśnie*; ilustr. J.M. Szancer, Str. 68, (Wyd. Nowa Księgarnia, 1954, zł. 12,50).

AMICIS (Edmund de). *Serce*, tłum. Maria Konopnicka, ilustr. A. Ferdruk raguti - L. Naruti - A.G. Sartario (przedruk z miedziorytów włoskich), str. 290. (Nasza Księgarnia, 1955, zł. 30).

COLLODI. *Pinokio*, tłum. Zofia Jachimecka, ilustr. J.M. Szancer, str. 148. (Nasza Księgarnia, 1954, zł. 15).

KIPLING (Rudyard). *Takie sobie bajeczki*, str. -38. (Nasza Księgarnia, 1954).

CAROLL (Lewis). *Alicja w krainie czarów*, tłum. Antoni Marianowicz, ilustr. Olga Siemiaszko, str. 98. (Nasza Księgarnia, 1955, zł. 10).

HOFFMAN (E.T.T.). *Dziadek do orzechów*, na podst. tłum. Józefa Kramsztyka, oprac. Krystyna Kuliczkowska, stron 84. (Nasza Księgarnia, 1954, zł. 9.50).

SZPALSKI (Karol) i ZAŁUCKI (Marian). *Ananasy z naszej klasy*, str. 62. (Wyd. Lit. Kraków, 1954, zł. 12).

KORCZAK (Janusz). *Król Maciuś Pierwszy*, ilustr. Jerzy Srokowski, str. 218. (Nasza Księgarnia, 1955, zł. 20).

KRASZEWSKI (J.I.). *Bajki i bajeczki*, str. 165 (Czytelnik, 1954).

MILNE (A.A.). *Kubuś Puchatek*, przekł. Ireny Tuwim, ilustr. Ernest Shepard, str. 136. (Nasza Księgarnia, 1954, zł. 11,50).

MILNE (A.A.). *Chatka Puchatka*, przekł. Ireny Tuwim, ilustr. Ernest Shepard, str. 140. (Nasza Księgarnia, 1954, zł. 12,30).

MICKIEWICZ (Adam). *Pani Twardowska*, ilustr. Zbigniew Rychlicki. (Nasza Księgarnia, 1955, zł. 12).

MOLNAR (Ferenc). *Chłopcy z placu Broni*, przeł. Janina Mortkowiczowa, ilustr. Leonia Janecka, str. 156. (Nasza Księgarnia, 1955, zł. 8,50).

PRZYBOROWSKI (Walery). *Szwedzi w Warszawie*, ilustr. St. Rozwadowski, str. 228. (Nasza Księgarnia, 1955, zł. 9,50).

SIEROSZEWSKI (Wacław). *Bajka o żelaznym wilku*, ilustr. Bogdan Zieleniec, str. 176. (Nasza Księgarnia, 1955, zł. 20,30).

SIEROSZEWSKI (Wacław). *Dary wiatru północnego*, ilustr. Jerzy Karolak, str. 88. (Nasza Księgarnia, 1955, zł. 12,40).

Najnowsza historia Polski

Co poprzedziło polskie ultimatum do Litwy

Dnia 11 marca 1938, na pograniczu polsko-litewskim, zabity został polski żołnierz straży granicznej. Urzędowa Polska Agencja Telegraficzna doniosła w kilka dni później, że 17 marca o godzinie 9-ej wieczorem doręczona została rządowi litewskiemu nota dyplomatyczna rządu polskiego, określająca warunki ,,niezbędne dla uniknięcia na przyszłość incydentów, niebezpiecznych dla pokoju''. Komunikat PATa donosił równocześnie, że rząd polski oczekuje odpowiedzi rządu litewskiego w ,,określonym terminie''. Półurzędowa ,,Gazeta Polska'' z dnia 18 marca zaopatrzyła tę wiadomość dużym tytułem : ,,Ultymatywna nota rządu polskiego do rządu litewskiego''. Obie pierwsze stronice dziennika poświęcone sprawozdaniom z wielkiej, protestacyjnej manifestacji mieszkańców Warszawy — ,,przeciw prowokacji litewskiej'' oraz na depesze, donoszące o wrażeniu, jakie wieść o incydencie wywołała w stolicach wszystkich państw europejskich.

W tym samym numerze ,,Gazety Polskiej'' ukazał się artykuł wstępny piszącego te słowa pt. ,,Przebrała się miara cierpliwości''... Znając fakty poprzedzające ultymatywne wystąpienie rządu polskiego, kończyłem swój artykuł następującymi słowami :

,,W momencie, gdy w Litwie wzmogły się samorzutnie pytania na temat przyszłych stosunków polsko-litewskich, doszło do incydentu granicznego, zakończonego zabiciem żołnierza polskiego. Kowno przeszedł dreszcz zdenerwowania. Nie pierwszy ! Nieraz już przychodził i — po kilku dniach — przechodził. Metoda 'przeczekiwania' okazywała się dotąd niezawodną. I dzisiaj, choć od z górą roku nie widziałem Kowna, jestem przekonany, że, mimo zdenerwowania, litewskie sfery rządowe nastawiają się znowu na — 'przeczekanie'. W tym streszcza się obecnie cała polityczna spekulacja Prezydenta Smetony i jego przeróżnych 'szarych eminencji' — niektó-

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

rych o parafiańskiej kulturze politycznej. Nie widzieli ci ludzie Polski od lat, nie widzą jej dziś, reagującej żywiołowo na echa z litewsko-polskiego pogranicza. A tymczasem w reakcji tej jest stanowczość zupełnie wyjątkowa. Rozumie ją cały świat, który po blisko dwudziestu latach istniejącej anomalii uznał, że po stronie Polski jest słuszność i prawo. Na żadne współczucie świata Litwa nie może dziś liczyć. Naród polski domaga się kategorycznie doprowadzenia do porządku stanu, istniejącego między Polską i Litwą. Przebrała się miara cierpliwości polskiej''.

Zaraz następnego dnia ,,Gazeta Polska'' ogłosiła w streszczeniu PATa notę polską, doręczoną rządowi litewskiemu 17-go marca.

,,Rząd polski'' — brzmiało streszczenie — ,,nie może przyjąć propozycji litewskich z dnia 14 bm. jako nie dających dostatecznych gwarancji bezpieczeństwa. Zdaniem jego jedynym załatwieniem, odpowiadającym powadze sytuacji, jest natychmiastowe nawiązanie normalnych stosunków dyplomatycznych i to bez żadnych warunków wstępnych. Według przekonania rządu polskiego jest to jedyna droga do uregulowania spraw sąsiedzkich, o ile się chce istotnie uniknąć wydarzeń niebezpiecznych dla pokoju. Dla przyjęcia tych propozycyj rząd polski daje stronie litewskiej 48 godzin czasu, licząc od chwili wręczenia noty posłowi litewskiemu w Tallinie przez posła polskiego. Akredytowanie posłów w Kownie i Warszawie musi musi nastąpić przed 31 marca bm., a wymiana odpowiednich not, które by to ustalały, winno być dokonane w Tallinie 19 bm. to jest przed upływem terminu 48-godzinnego. Teksty tych not zostały załączone do wspomnianego ulimatum.

Poza tym rząd polski stwierdził'' — kończyło się streszczenie Pata — ,,że powyższe propozycje nie mogą być przedmiotem dyskusji ani co do treści ani co do formy to znaczy muszą być przyjęte *ne varietur*, a brak odpowiedzi lub jakiekolwiek dodatki lub zastrzeżenia, będą równoznaczne z odmową. W tym wypadku rząd polski własnymi środkami zabezpieczy słuszne interesy swego państwa. Załączone do omówionego dokumentu teksty not przewidują uregulowanie bezpośredniej łączności między Warszawą i Kownem''.

Gdy 19 marca rano opinia polska dopiero zapoznawała się z tekstem ogłoszonego ultimatum, poseł Rzeczypospolitej w Tallinie p. Wacław Przesmycki, został zawiadomiony przez posła litewskiego p. Dojlide o przyjęciu przez rząd litewski wszystkich i bez zastrzeżeń propozycji polskich. Towarzyszyła temu aktowi wymiana wzajemnych not, których treść oznaczała natychmiastowe nawiązanie normalnych stosunków między Polską i Litwą.

Normalizacja stosunków polsko-litewskich, po blisko dwudziestu latach trwającej anomalii, przyjęta została radośnie przez cały naród polski. Radośnie, lecz bez pozy triumfatora i zwycięzcy. Po przyjęciu ultimatum polskiego, byłem pierwszym Polakiem, który w południe 19 marca komentował ten doniosły fakt w życiu obu narodów przemawiając przez radio warszawskie. ,,Odwróciła się — mówiłem — karta dziejów. Nadszedł wreszcie moment, w którym runął mur dzielący od tylu lat dwa sąsiadujące z sobą o miedzę narody. Nadchodzi teraz

chwila wzajemnego poznania"... „Niechże więc Litwini wiedzą, że chcemy współżyć z nimi, jak z narodem wolnym i niepodległym, miłującym nade wszystko swój kraj ojczysty, swój język, swą własną kulturę. Chcemy współżyć z nimi, jak z innymi narodami we wspólnym dążeniu do pokoju, który tak samo drogi jest rolnikowi litewskiemu, jak rolnikowi polskiemu, którego tak samo pragnie robotnik i rzemieślnik litewski, jak nasz, pokoju, który stwarza warunki sprzyjające, pomnażaniu zdobyczy rodzimej, narodowej kultury".

Przez cały czas mego pobytu w Kownie (1933-1937) robiłem wszystko, aby doszło do normalizacji stosunków polsko-litewskich na podstawie dobrowolnego, obustronnego porozumienia, bez użycia środków przymusu z naszej strony. Stało się inaczej.

Rzecz jednak znamienna. Trzeźwe umysły w Litwie powitały normalizację z uczuciem ulgi, a naród litewski pogodził się prędko z nową rzeczywistością. W całym okresie od 19 marca 1938 roku do września 1939 żadne incydenty lub nieporozumienia, nie zakłóciły szybkich etapów realizacji aktu z 19 marca, normujących stosunki między obu państwami. Natomiast ultymatywne wystąpienie ówczesnego rządu polskiego, poprzedzające ten akt, budziło zawsze w niektórych kołach polskich różne zastrzeżenia. Koła te, nie znając faktów bezpośrednio poprzedzających ultimatum polskie skłonne były zarzucać rządowi bezwzględność wobec słabszego sąsiada, której wyrazem miała być towarzysząca ultimatum demonstracja wojsk polskich na granicy litewskiej oraz przyjazd 18 marca do Wilna Marszałka Śmigłego-Rydza.

Relacja, którą przytaczam obala te zarzuty. Przynosi ona fakty dotąd nieznane ogółowi polskiemu. W faktach tych należy szukać przyczyn zdecydowanych kroków rządu polskiego. Relacja pochodzi od jednego z najbardziej zasłużonych działaczy polskich w Litwie, przed wojną prezesa kowieńskiego towarzystwa kulturalno-oświatowego „Pochodnia", inż. Stanisława Szmidta.

Oto relacja p. St. Szmidta.

◆

„Jako Polak, a równocześnie obywatel odrodzonego państwa litewskiego, od samego zarania jego powstania śledziłem ze zrozumiałym zainteresowaniem wszystkie zarysowujące się możliwości normalizacji stosunków polsko-litewskich. Najbezpośredniej mogłem robić swe obserwacje w czasie pobytu w Kownie p. Tadeusza Katelbacha, nieoficjalnego wysłannika Warszawy, a więc w latach 1933-1936. Zdawało się wówczas często, że rodzi się wreszcie po stronie litewskiej świadomość konieczności zakończenia absurdalnego stanu rzeczy. U schyłku jednak 1936 roku, jak wiele razy przedtem, rozwiały się te nadzieje. W styczniu 1937 roku p. Katelbach musiał opuścić Kowno.

Odżyły we mnie one w kilka miesięcy potem — jak to czasem bywa dzięki zupełnemu przypadkowi. Owóż wiosną 1937 roku postanowiłem wybrać się do Polski, celem odwiedzenia krewnych. Władze litewskie udzieliły mi uprzejmie zezwolenia na przejazd granicy polsko-litewskiej w Zawiasach.

Na krótko przed mym wyjazdem odwiedził nas w Kownie hr. Aleksander Tyszkiewicz z Kretyngi, przed wojną członek rosyjskiej Rady Państwa, gorący Polak, z którym łączyły mnie od lat przyjacielskie stosunki. Dowiedziawszy się o projekcie mego wyjazdu, prosił o wysłanie w Polsce kilku jego listów do krewnych. Listy zawierały zaproszenia na... złote wesele Tyszkiewiczów do Kretyngi. Wobec braku komunikacji pocztowej między Polską i Litwą, zmuszeni byliśmy pisać do Polski drogą okrężną — przez Niemcy czy Łotwę. Pragnąc skrócić Tyszkiewiczowi tę drogę, zabrałem listy jak najchętniej, przyrzekając, że wyślę je natychmiast już z Wilna.

W kilka dni potem wyjechałem na litewski punkt graniczny w Jewiach. Po załatwieniu formalności paszportowych żandarm litewski zapytał, czy nie wiozę z sobą listów. Ogółem miałem ich dziesięć. Po chwili namysłu przyznałem się. Żandarm polecił, bym odesłał je zaraz nadawcom. Na posterunku w Jewiach nie było jednak skrzynki pocztowej, a ja znaczków litewskich przy sobie nie miałem. Żandarm zgodził się wysłać listy, jeśli mu na to wyasygnuję potrzebną kwotę.

Po powrocie z Polski dowiedziałem się, że wszyscy listy otrzymali. Otrzymał również swoje zaproszenie Aleksander Tyszkiewicz. Zdążył już je wysłać przez inną osobę, udającą się do Niemiec.

W lipcu tegoż roku odbyło się w Kretyndze złote wesele Aleksandrostwa Tyszkiewiczów. Z Litwy zjechali się bliżsi i dalsi sąsiedzi. Byłem z całą rodziną na tej niezwykłej uroczystości. Na wesele przybyli również z Polski synowie pp. Tyszkiewiczów z żonami i dziećmi oraz siostry Tyszkiewicza z dziećmi i wnukami.

Ponieważ lato spędzałem z rodziną w sąsiadującej z Kretyngą Połądze, więc miałem często okazje spotykania rodziny A. Tyszkiewicza przybyłej z Polski. Rozmawialiśmy często i wiele o Litwie. Najżywsze zainteresowanie Litwą i stosunkami polsko-litewskimi okazywał syn Aleksandra — Stanisław Tyszkiewicz z Warszawy. Dlaczego — pytał mnie — nie zezwolono panu na zabranie kilku niewinnych zaproszeń na wesele mych rodziców? Dlaczego obywatel polski, pragnący przyjechać do Litwy musi płacić aż 350 litów czyli prawie 350 złotych za wizę wjazdową? Podobnych pytań nie było końca.

Odpowiadałem na nie z całą szczerością, twierdząc, że Litwini po prostu nie życzą sobie przyjazdu Polaków, gdyż mają uraz na punkcie tak zwanych polskich wpływów. Przekonywałem gościa z Warszawy, że nawet przepłacają rocznie pewno z 8 milionów litów za okrężny import do Litwy towarów polskich, uważając, że jest to dobrowolny haracz, płacony za odizolowanie się od Polski. Na pytanie St. Tyszkiewicza, czy dałoby się wreszcie pogodzić oba narody, odpowiedziałem wątpiąco, mając w żywej pamięci znane mi bezowocne próby.

Stanisław Tyszkiewicz nie podzielał mego pesymizmu.

W kilka miesięcy po tych wakacyjnych rozmowach dowiedziałem się

od Aleksandra Tyszkiewicza, że jego syn rozpoczął z Litwinami prywatne rozmowy na temat porozumienia i że jego inicjatywa spotkała się wśród niektórych czynników litewskich z „życzliwym przyjęciem". Dowiedziałem się również, że Stanisław Tyszkiewicz przyjeżdżał już z Polski kilkakrotnie do Kretyngi, gdzie odbywały się poufne konferencje z Litwinami. Ostatecznie zostałem wtajemniczony w ich treść i przebieg. Zacząłem swoiście pomagać Aleksandrowi Tyszkiewiczowi. W porozumieniu z nim pozyskaliśmy dla idei porozumienia między innym ks. Mironasa, kapelana Prezydenta Smetony i jego osobistego przyjaciela. Wyrazem zarysowujących się perspektyw porozumienia było pewne złagodzenie przez władze litewskie ostrego kursu wobec nas-Polaków, obywateli litewskich.

Osobiście byłem wciąż pesymistą, lecz parę pozornie drobnych faktów zaczęło i mnie dodawać nadziei, że coś zmienia się na lepsze.

Naprzeciwko mego mieszkania w Kownie mieścił się klub pań litewskich, którego przewodniczącą była pani Łozorajtisowa, żona litewskiego ministra spraw zagranicznych. Ponieważ byłem właścicielem domu, więc miałem stały kontakt z zarządem klubu. Kontakt wyłącznie — że tak powiem — urzędowy. W styczniu 1938 roku, zupełnie nieoczekiwanie żona moja została zaproszona do tegoż klubu przez panią Łozorajtisową wraz z naszymi dziećmi na zabawę dziecinną z tańcami. Byliśmy zdziwieni tym gestem, ale trudno było odmówić.

Pełno było na tej zabawie dziecinnej żon litewskich dygnitarzy cywilnych i wojskowych. Żona moja, nie znając języka litewskiego, rozmawiała tylko z niektórymi litewskimi paniami — po francusku. W jakiejś chwili jedna z pań zadała żonie pytanie, do jakiego gimnazjum w Kownie uczęszczają nasze dzieci. „Do polskiego gimnazjum im. Mickiewicza" — brzmiała odpowiedź żony. Zapanowała konsternacja, a z paru stron równocześnie powtórzono z wymownym zdziwieniem: „Polskiego?" Sytuację uratowało zjawienie się pani Łozorajtisowej. Zobaczywszy żonę dziękowała jej serdecznie za przybycie i zaraz rozpoczęła z nią rozmowę po francusku. Atmosfera wyrównała się ostatecznie, gdy przybyła pewna pani, rodowita Litwinka, z którą żona kolegowała w gimnazjum. Litwinka bez żadnej żenady zaczęła rozmawiać z żoną po polsku.

W kilka dni potem spotkała nas nowa towarzyska niespodzianka. Pani Łozarajtisowa oraz panie z zarządu klubu zaprosiły mnie z żoną na bal do klubu wojskowego, zaznaczając, że na balu będzie Prezydent Smetona. Nas-Polaków nigdy na takie bale nie zapraszano. Sami również unikaliśmy zabaw litewskich z tej prostej przyczyny, by nie mieć przykrości. Łatwo mogło się zdarzyć, że jakiś szowinista litewski użyje pod wpływem alkoholu popularnego epitetu „iżgama" (wyrodek) lub „przeklęty Polak". Wobec stale ponawianych zaproszeń poszliśmy jednak na bal.

Po tych przyjaznych gestach litewskich, okazywanych eksponującemu się wyraźnie działaczowi polskiemu, zdarzył się wypadek, który wpłynął ochładzająco na budzące się we mnie przebłyski optymizmu. Ministrem sprawiedliwości rządu litewskiego był mój młodszy kolega. Spotykałem go dość często. Niemal zawsze poruszaliśmy temat stosunków polsko-litewskich. Spotkałem go kiedyś na ulicy. Może był to koniec stycznia, może początek lutego 1938 roku. Mój kolega już w tym czasie wycofał się z rządu. Starym zwyczajem zaczęliśmy mówić o stosunkach polsko-litewskich. „Rę-

czę — odezwał się nagle — że my dwaj moglibyśmy prędzej doprowadzić do zgody, niż inni". Nie zdradzając się, że wiem o prowadzonych już poufnie rozmowach, odpowiedziałem: „Przecież jesteś w przyjaźni ze Smetoną. Idź do niego i zapytaj szczerze, czy pragnie zgody z Polską, czy też jej nie pragnie. Dopiero po jego pozytywnej odpowiedzi zabierzemy się do roboty". W trzy dni potem mój kolega szkolny taką mi przyniósł odpowiedź: „Wiesz co mi powiedzieli? Gdybyśmy obaj zaczęli robić zgodę to i mnie i ciebie posadzą do więzienia".

Mimo tak niezachęcającej do dalszych działań odpowiedzi mego szkolnego kolegi nie poddawałem się pesymizmowi, podtrzymywany na duchu relacjami Aleksandra Tyszkiewicza. Pewnego dnia zakomunikował mi nawet, że sprawy porozumienia idą tak dobrze, że zbliża się chwila, gdy z toru prywatnego zostaną skierowane na tor oficjalnych rozmów rządowych. Upłynęło od tego dnia znowu trochę czasu, gdy Tyszkiewicz powiedział mi, że warszawskie ministerstwo spraw zagranicznych pragnie mieć absolutną pewność, czy rząd litewski aprobuje stanowisko, które w prywatnych rozmowach reprezentował Stanisław Tyszkiewicz. Streszczało się ono w jednym, krótkim zdaniu: Porozumienie między Polską i Litwą oznacza natychmiastową normalizację stosunków polsko-litewskich.

Po naradzie z A. Tyszkiewiczem i czynnikami litewskimi ustalony został bardzo dziwny sposób udzielenia odpowiedzi rządu litewskiego na pytanie polskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Oto jeśli pewnego dnia litewskie ministerstwo spraw wewnętrznych zamknie w Olicie oddział naszej „Pochodni", a nazajutrz zezwoli na jego działalność, będzie to oznaczać, że rząd litewski akceptuje stanowisko strony polskiej.

Nie czekaliśmy długo na umówiony znak. Od prezesa „Pochodni" w Olicie nadeszła do naszej centrali w Kownie alarmująca depesza o zamknięciu przez naczelnika powiatu naszego oddziału w Olicie. W centrali zawrzało. Sypały się różne wnioski. Jedni proponowali wysłanie delegacji do ministra spraw wewnętrznych, inni formę stanowczego protestu, inni wreszcie radzili napisanie niezwykle ostrego artykułu w naszej prasie. Tylko ja, wiedząc o co chodzi, zachowywałem kamienny spokój, którego nie rozumieli moi koledzy, poruszeni do głębi nową szykaną litewską. Osobiście popierałem wniosek napisania artykułu w naszym „Dniu Polskim". Kiedy zwrócono mi uwagę, że cenzura takiego artykułu nie przepuści, odpowiedziałem, że „Dzień" ukaże się w takim razie z białą plamą a karę jakoś zapłacimy. Usłuchano mej rady.

Ku zdziwieniu wszystkich cenzura artykuł przepuściła! Ku jeszcze większemu zdziwieniu mych kolegów, działalność naszego olickiego oddziału została przywrócona przez tego samego naczelnika powiatu. Udał się on nawet osobiście z tą wiadomością do prezesa oddziału.

Zacząłem wierzyć, że wszystko jest istotnie na najlepszej drodze i że sprawa porozumienia z toru prywatnego lada dzień przejdzie na tor rozmów między obu rządami. Prywatni pośrednicy mieli jeszcze tylko ustalić termin i miejsce spotkania delegacji obu rządów, co też nastąpiło. Obie delegacje miały się spotkać w Gdańsku.

Dnia 28 lutego zatelefonował z Kretyngi A. Tyszkiewicz. Pytał, czy mnie w Kownie zastanie. Zaprosiłem go na noc.

Gdy się zjawił, zaraz od proga powiedział, że delegacja rządu pol-

skiego z ministrem F. Charwatem na czele siedzi już od trzech dni w Gdańsku, czekając na przyjazd Litwinów, których jak nie ma, tak nie ma. Zachodziliśmy w głowę, co to ma znaczyć. Po naradzie zdecydowaliśmy, aby nazajutrz przed 10-tą rano, Tyszkiewicz udał się do prywatnego mieszkania ministra Łozorajtisa i z nim wszystko autorytatywnie wyjaśnił. Tak się stało.

1 marca Tyszkiewicz posłał ministrowi Łozorajtisowi swą kartę wizytową. Po krótkiej chwili oczekiwania został przyjęty. Przywitawszy się z Łozorajtisem zawiadomił go zaraz, że delegacja polska od trzech dni siedzi daremnie w Gdańsku. Wówczas między Łozorajtisem i Tyszkiewiczem odbył się następujący dialog.

Łozorajtis: Komisja litewska nie pojedzie.

Tyszkiewicz: Dlaczego? Przecież tak stanęło między rządami.

Łozorajtis: Młodsze pokolenie nie życzy zgody. Nie jesteśmy na to przygotowani. Rząd będzie miał dużo kłopotów.

Tyszkiewicz: Czy pan wysłał kogoś do Gdańska lub w jakikolwiek sposób dał znać komisji polskiej o zmianie swego postanowienia?

Łozorajtis: Nie wysłałem i nie zawiadomiłem.

Tyszkiewicz: W takim razie cóż ja mam powiedzieć komisji!

Łozorajtis: Niech pan powie, że społeczeństwo litewskie, szczególnie młodzież, jak również i rząd, nie są przygotowani do zawierania umów z Polską.

Tyszkiewicz: Może pan minister będzie tak dobry napisać odpowiedź, ponieważ obawiam się, że mogę opuścić lub przekręcić jakieś słowo, a to w języku dyplomatycznym ma wielkie znaczenie i może wywołać niepożądane konsekwencje.

Łozorajtis wahał się przez chwilę.

Tyszkiewicz: Może pan minister nie życzyłby pisać własną ręką. Proszę w takim razie mnie dyktować.

Łozorajtis: Tak będzie lepiej.

Tyszkiewicz wyrwał wtedy kartkę ze swego notesu, wziął do ręki ołówek i czekał.

Łozorajtis dyktował w języku francuskim. Tyszkiewicz, nie przerywając mu żadnymi pytaniami, pisał słowo po słowie.

Żegnając się z Łozorajtisem Tyszkiewicz powiedział: Przykro mi, że jeszcze nie doszło do zgody tych dwóch narodów, z którymi tam mocno jestem związany. Na to odpowiedział Łozorajtis: Ja też nie jestem rad z tego. Niech pan jednak przez telefon za długo nie mówi z Gdańskiem, bo możecie trafić na płytę. Jakto, litewską, czy niemiecką? — zapytał Tyszkiewicz. Nie wiem — odparł Łozorajtis.

Byliśmy tą rozmową, którą Tyszkiewicz zaraz po powrocie od Łozorajtisa spisał, zupełnie zaskoczeni. Jeszcze raz poszły na marne kilkumiesięczne wysiłki. Jeszcze raz rozbiły się o litewską krótkowzroczność i złą wolę. I w dodatku w niedopuszczalnej formie zlekceważenia strony polskiej! Nigdy chyba w życiu mój pesymizm w osiągnięcie kiedykolwiek porozumienia polsko-litewskiego nie był tak wielki, jak w owym dniu rozmowy Tyszkiewicza z Łozorajtisem.

Podzielał go również rzeźki starzec, hr. Aleksander Tyszkiewicz. Był pełen najgorszych przeczuć, twierdząc, że Polska, zawiedziona raz jeszcze

w swych nadziejach na normalizację stosunków z Litwą i w dodatku potraktowana przez nią lekceważąco, może wreszcie stracić cierpliwość, której tyle dowodów dawała w ciągu minionych lat dwudziestu.

Trzeba było teraz połączyć się z Gdańskiem. Szybko dostałem połączenie z hotelem „Continental", w którym przebywała delegacja polska. Poprosiłem do telefonu ministra Charwata i oddałem słuchawkę Tyszkiewiczowi. Tyszkiewicz przedyktował Charwatowi dyktando francuskie Łozorajtisa nie dodając od siebie żadnych uwag czy komentarzy. Gdy wzburzony Charwat w dosadnych słowach zrobił po odczytaniu dyktanda jakąś uwagę, Tyszkiewicz nic nie odpowiedział i natychmiast przerwał rozmowę.

Rozstawaliśmy się z Tyszkiewiczem w nastroju przygnębienia. Nie wyobrażaliśmy sobie, oczywiście, ani przez chwilę, że w niespełna dwa tygodnie po rozmowie Tyszkiewicza z Łozorajtisem dojdzie do incydentu na granicy polsko-litewskiej, który spowoduje kategoryczne wystąpienie rządu polskiego i doprowadzi do nawiązania stosunków między obu narodami.

Gdyśmy się w Kownie o tym incydencie dowiedzieli, nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że zwłaszcza po ostatnich doświadczeniach rząd polski zastosuje wobec Litwy stanowczą metodę postępowania, jakiej dotąd zawsze unikał. Tak się stało. I — jak potwierdziły fakty — stało się dobrze. W Kownie skończyło się wszystko na słabiutkich manifestacjach antypolskich, a już w kilka miesięcy po normalizacji Litwini byli z nią całkowicie pogodzeni".

Tadeusz KATELBACH

Quaroni o Hołówce

Pietro Quaroni, obecny ambasador włoski w Paryżu ogłasza od kilku miesięcy w „Corriere della Sera" urywki ze swoich pamiętników(*). Quaroni był przez długie lata radcą włoskiej ambasady w Moskwie. Żonaty z Rosjanką, mówi doskonale po rosyjsku i uchodzi po dziś dzień w kołach międzynarodowych za jednego z dyplomatów zachodnich najlepiej orientujących się w problemach sowieckich : można by go nazwać „włoskim Kennanem". Pamiętniki ogłaszane w mediolańskim piśmie mają charakter anegdotyczny i barwny — czasem ma się wrażenie że jest to „une vie diplomatique romancée". Kilka razy już pisał Quaroni na tematy polskie, wykazując dość poważne znawstwo polskich stosunków politycznych i personalii przedwojennych. 25 lutego ukazał się szczególnie ciekawy jego szkic pt. „Konspirator". Moskwa, rok 1927. Polski attaché wojskowy, płk. Kobylański, zaprasza zachodnią kolonię dyplomatyczną na przyjęcie na cześć hr. Ostrow-

(*) Ich wybór ukazał się we Francji w wydaniu książkowym pt. „Croquis d'ambassade. Plon 1955.

skiego, posła polskiego w Afganistanie. Ostrowski nie robi wielkiego wrażenia na Quaronim: „Był bardzo pewny siebie, wydawał sądy na prawo i na lewo, mówił o „Marszałku" niemal jak o swoim domowniku". Ale był na tym przyjęciu kto inny:

„Nie warto tracić czasu z Ostrowskim" — powiedział mi półgłosem Alfred Poniński, radca polskiej ambasady i mój stary przyjaciel. „Ważna osobistość, to ten w kącie" — i wskazał mi dyskretnie bruneta który z kimś rozmawiał. „To Hołówko, dyrektor wydziału wschodniego w naszym ministerstwie. Musisz z nim porozmawiać".

Poniński prowadzi Quaroniego i Hołówkę do pokoju w którym można swobodnie rozmawiać: „mikrofony są izolowane". Po krótkiej rozmowie na temat niebezpieczeństwa zbliżenia sowiecko-niemieckiego, Hołówko mówi o Ukrainie. Mocarstwa zachodnie zrobiły błąd, popierając po rewolucji armię „białych", podczas gdy jedyną siłą, która mogła rozsadzić Sowiety były nacjonalizmy. — Na temat przeszłości można dyskutować bez końca, mówi Quaroni, ale jakie są Pana plany teraz? — Niech pan do mnie zajdzie w Warszawie, odpowiada Hołówko. „Tam porozmawiamy swobodniej".

W parę miesięcy później Quaroni, przejeżdżając przez Warszawę, odwiedza Hołówkę w Pałacu Brühla.

„Hołówko, wydawało mi się, zadecydował zagrać ze mną w otwarte karty.

— Ale co chcecie zrobić z tą Ukrainą? — zapytałem. — Przyłączyć ją do Polski? Nie wydaje mi się to łatwe.

— Na pewno nie: chcemy tylko Ukrainy wolnej i niepodległej.

— Ale kto mógłby stanąć na czele tej Ukrainy?

Odpowiedź Hołówki znałem z góry: Lewickyj. Ale nie spodziewałem się że Hołówko zaprosi mnie z nim nazajutrz do swego domu".

W tym miejscu Quaroni daje pobieżny i powierzchowny szkic historyczny „sprawy ukraińskiej" i kończy stwierdzając że Lewickyj był następcą Petlury, „jeśli można było wówczas mówić o legalizmie Ukrainy".

„Hołówko mieszkał w dziurze na peryferiach miasta. Mieszkanie prawie puste, brzydkie. Jedno przynajmniej było dla mnie jasne: jeśli Hołówko był konspiratorem, to z pobudek czysto idealnych. Wielkie ciało Lewickiego wypełniało niemal całkowicie pokoik, w którym siedzieliśmy. Miał orli nos na długich opadających wąsach. Szare, przenikliwe, chytre oczka. Miałem wrażenie przede wszystkim chytrości. Może przesadnej chytrości. Mówił dobrze i chętnie, bardzo obszernie. Jego uwagi były inteligentne i bystre, nawet jeśli czasem chaotyczne".

Nazajutrz Quaroni spotyka się sam na sam z Hołówką w kawiarni. Co myśli Quaroni o Lewickim?

— Pewno, to nie Mazzini — stwierdza Hołówko.

— Z pewnością nie — odpowiadam.

— Ale jego rodacy cenią go i szanują. A zresztą cóż Pan chce. Nie ma nikogo innego. Niech Pan mi wierzy, że szukałem. Zresztą, to nie tak ważne. My także przez cały wiek nie mieliśmy prawdziwych wodzów: naród który utracił niepodległość, odzyskuje ją ciągłym czynem. Wszystkie nasze powstania były błędami, kosztowały nas tyle niepotrzebnych ofiar. Ale były przecież potrzebne aby utrzymać nadzieję i pamięć. Biada, jeśli

naród zaczyna myśleć że nie ma nadziei, jeśli brak jest ludzi do walki: wtedy to naprawdę koniec.

— Jeśli to nad czym wciąż pracuję nie uda się, jeśli to tylko złudzenie, to na długą metę wszystko skończone także dla mego kraju. Pan mnie rozumie? — takie były ostatnie słowa Hołówki kiedyśmy się żegnali.

Nie zobaczyłem go więcej. W kilka lat później dowiedziałem się, że został zamordowany... Może umarł zachowując wszystkie swoje nadzieje..."

a. n.

Wolna Trybuna

Odpowiedź panom planistom

Bodaj najciekawszym rezultatem Ankiety „Kultury" o odwracalności przemian gospodarczych w Polsce jest to, że jest ona jak gdyby Gallup Poll co do poglądów emigracji jaki system gospodarczy ma w uwolnionej Polsce panować.

Okazuje się, że ogromna większość korespondentów chce w wolnej Polsce stworzyć gospodarkę według pewnych pryncypiów i formułek wykoncypowanych przez filozofów, sentymentalnych marzycieli, lub po prostu przez biurokratów i inteligentów chciwych władzy. Przyszłe życie w Polsce chcą oni ułożyć według recept, które w ich mniemaniu, prowadzą prędko i sprawnie do maksimum błogostanu, państwu zaś miałaby przypaść rola wtłaczania życia gospodarczego w ramki, które uważają za słuszne. Trzeba z pewną dozą upokorzenia skonstatować, że jest to pogląd charakterystyczny dla narodów zapóźnionych w rozwoju gospodarczym, szczególnie dla nowooswobodzonych narodów azjatyckich; Zachód od tego klimatu myślenia odszedł, szczególnie po fiasku przemysłów znacjonalizowanych w Anglii. Dosyć zdumiewające jest, że po tyloletnim przebywaniu na Zachodzie uchował się wśród emigracji ten zaściankowo-biurokratyczno-inżynierski typ myślenia przywieziony z Polski.

Wydaje mi się bezspornym twierdzenie, że działalność gospodarcza jest częścią organiczną całego ustroju, jest nierozerwanie z nim związana i ze swej strony ten ustrój warunkująca. Całość opiera się na zespole norm moralnych i etycznych, z których ustrój gospodarczy mniej więcej samorzutnie wynika. Im bardziej będziemy układać życie według formułek prawdziwych czy rzekomych mędrców, tym więcej potrzeba przymusu ze strony państwa, aby ludzie postępowali inaczej niżby to wynikało z ich naturalnych reakcji. Krańcowym przykładem stosowania apriorystycznych recept jest oczywiście komunizm, bo neguje wszystkie naturalne reakcje ludzkie; dlatego może się on utrzymać tylko przez stałe gwałcenie i terroryzowanie ludności. Już słyszę zarzuty *laisser-faireyzmu*, ale chyba już dziś nie wypada tą wytartą sztampą operować. Państwo *zawsze* działało gospodarczo i nadal działać będzie, chodzi jednak o to aby tworzyło ramy, w których ludzie mogą się swobodnie poruszać, nie robiąc krzywdy jeden drugiemu, a nie żeby większość decyzji była pobierana przez państwo.

Korespondenci ankiety w ogromnej większości nie patrzą na zagadnienie odwracalności z tego punktu widzenia wolności w ramach prawa.

Pewne rzeczy chcą zatrzymać, inne usunąć w zależności od tego, co według ich prywatnych zapatrywań jest dobre lub złe, przy czym większość pozostawia państwu wielkie pole jako bezpośredniemu dysponentowi.

Należy podkreślić, że odtworzenie wolnego gospodarstwa wcale nie oznacza dosłownego powrotu do stanu przedwojennego, powrotu obiektów majątkowych do dawnych właścicieli. Ważne jest aby obiekty były własnością prywatną i były administrowane indywidualnie. Utrzymanie tej zasady prawnej ma jednak podstawowe znaczenie bo bez należytego fundamentu to jest poszanowania prawa, a zatem i własności prywatnej, wiele w wolnej Polsce nie zdziałamy. Od 1939 roku zaszło tyle zmian, że można mówić tylko o kompensacie dla dawnych właścicieli, jeśli się znajdą, a nie o zwróceniu im fizycznych obiektów. Za obiekty, które uległy zniszczeniu, państwo odpowiadać oczywiście nie może. Strata majątku nie jest największym nieszczęściem w wojnie, trzeba to uważać za siłę wyższą za którą państwo oczywiście nie jest odpowiedzialne. Planizm gospodarczy zerodował w nas, bardzo znacznie, poczucie prawa i tak np. minister Sokołowski w swej odpowiedzi przestrzega przed ,,pokusą" wprowadzenia zasady kompensaty.

Szczególny wydźwięk w ankiecie mają rozważania na temat czy Polska ma być krajem rolniczym (którym już zresztą przed wojną nie była), czy rolniczo-przemysłowym. Zaczniemy po oswobodzeniu oczywiście gospodarować tym, co zastaniemy. Jest bardzo prawdopodobne, że część instalacji zbudowanych przez bolszewików, okaże się zbędna, nie będzie zatem powodu do utrzymania takich obiektów w ruchu tylko dlatego, że istnieją. W normalnych warunkach przemysł narasta w sposób skoordynowany, wskazówki i impulsy w tym kierunku nadaje rynek; ponieważ rynku w Polsce dziś nie ma, nie może być i koordynacji w przemyśle. Poza tym wiadomo, że bolszewicy nastawiają przemysł polski na swoje potrzeby: z jednej strony chodzi im o wydobycie z Polski maksimum dóbr spożywczych dla ludności rosyjskiej, z drugiej — o sprzęt przemysłowy dla Rosji i Chin. Nie ulega wątpliwości, że wiele nowopowstałych instalacji okaże się dla nas zbędnymi, natomiast brak będzie wielu innych, rzeczywiście potrzebnych. Jako przykład może służyć sprawa rudy żelaznej. Jeden z korespondentów zachwyca się wzrostem produkcji rudy z 0,9 milionów ton do 1,7 milionów, inny słusznie zaznacza, że wzrost ten jest gospodarczym nonsensem, wysiłek włożony — czystą stratą gospodarczą. Takich nonsensów jest na pewno mnóstwo; chwilowo mało o nich wiemy.

W odpowiedziach na ankietę przebija jakiś mistyczny stosunek zachwytu i miłości do przemysłu. Tak długo biadano u nas nad niedostatecznym rozwojem przemysłu, nad potrzebą uprzemysłowienia kraju, że zakorzenił się pogląd, iż przemysł jest jakimś panaceum, jakimś dobrem samym w sobie. Jakoś zapomniano, że przemysł jest dla ludzi, a nie odwrotnie. Ta część przemysłu, która nie zaspakaja potrzeb ludności i nie znajduje zbytu zagranicą, jest zbędna i powinna ulec likwidacji. Co jest potrzebne, a co nie, okaże się dopiero po zniesieniu kierownictwa centralnego i przywróceniu rynku.

Słowo ,,eksport" tak samo jest otoczone nimbem emocjonalnym. W ankiecie przebija duma i zadowolenie ze ,,zdobycia rynków wschodnich", ,,usadowienia się na rynku chińskim"itp. Wiadomo jednak, że ów znakomity eksport jest tylko grabieżą Polski przez Sowiety, podkreśla to zresztą jeden z korespondentów. Okazuje się jednak, że wystarczy grabież nazwać

eksportem, abyśmy wpadli w zachwyt. Rosja, przy swym niedołężnym systemie gospodarczym nie jest w stanie nawet w przybliżeniu zaopatrzyć ludności w elementarne dobra, grabi zatem państwa podbite, nazywając to w systemie double speak-eksportem. Tak samo Rosja nie potrafi wyprodukować dostatecznej ilości dóbr wytwórczych, aby zaopatrzyć w nie i Chiny, a musi to robić ze względów propagandowych, używa zatem do tego po części państw podbitych; państwa te w zamian niewiele dostają, chociażby dlatego, że Chiny prawie nic nie mają na eksport. Mało powodu do zadowolenia z takiego stanu rzeczy. Poza tym owo ,,usadowienie się" czy ,,zdobycie rynków wschodnich" jest bardzo problematyczne. Po ustaniu obecnych grabieży, powrocie do norm rynkowych, wcale nie jest pewne, czy na ,,zdobytych" rynkach się utrzymamy. Mimochodem warto zaznaczyć, że o eksporcie mamy pojęcie jakby to była jakaś akcja bojowa przeciw zagranicznemu kontrahentowi. I tak: ,,zdobywamy rynek", ,,usadawiamy się na rynku" itp. Anglicy ,,znajdują rynek", poszerzają go lub szukają zbytu, nawet Niemcy ,,wprowadzają się", my — zdobywamy.

Wielu korespondentów jest zatroskanych o los konsumenta przy odtworzeniu prywatnej gospodarki. Trapi ich myśl o możności powstania monopoli czy oligopoli. Ogólnie zalecane jest stworzenie monopolu państwowego, chociaż wiadomo, że taki monopol jest najtrwalszy, najdrapieżniejszy i najbardziej gospodarczo niedołężny. Ten entuzjazm dla monopoli państwowych jest trochę przyćmiony świadomością nieporadności administracji biurokratycznej, jeden z korespondentów nawet zastanawia się nad możliwością ,,odbiurokratyzowania znacjonalizowanego przemysłu". Tego cudu nikt jednak nie potrafił jeszcze dokonać; my widocznie jesteśmy powołani, aby mu utorować drogę. Ci propagatorzy monopoli państwowych zapominają wyraźnie o naszym doświadczeniu sprzed 1939 roku. Żaden monopol nie istniał bez zgody państwa, a wiele monopoli było przymusowych, narzuconych przez państwo przy krańcowym oporze wielu przemysłowców.

Wielu korespondentów nie wierzy w możność powrotu do przedsiębiorczości prywatnej ze względu na brak kapitału. Chodzi wyraźnie o kapitał obrotowy, chociaż żaden z korespondentów tego nie podkreślił. Kapitał inwestycyjny po powrocie do niepodległości zastaniemy, a to jest gros kapitału, którym kraj dysponuje. Najważniejszym elementem gospodarczym są warstwy wyszkolonych pracowników, a i te w kraju będą. Brak kapitału obrotowego to trudność dosyć poważna, ale wiemy z doświadczeń swoich i cudzych, że tę trudność stosunkowo łatwo się usuwa. Po pierwszej wojnie światowej Polska też znalazła się bez kapitału obrotowego; trwająca przez szereg lat inflacja zniszczyła to, co się akumulowało. Pomimo to gospodarstwo bardzo szybko ruszyło z miejsca, choć bank emisyjny niewiele w owym okresie dbał o przemysł.

Drugim przykładem mogą służyć Niemcy obecne, też pozbawione kapitału obrotowego po wojnie. Wprowadzono tam możliwie jak najliberalniejszą politykę gospodarczą, a aparat bankowy świetnie spełnił swoją rolę pomocy dla uruchomienia gospodarki. Fantastyczny sukces tej polityki olśniewa dziś świat. Sukces ten Niemcy zachodnie osiągnęły pomimo ogromnych zniszczeń wojennych. Kapitał obrotowy to tylko smar w łożyskach maszyny gospodarczej, nie należy przeceniać wagi tego czynnika. Ciekawe jest, że korespondenci ankiety snują na ten temat teoretyczne rozważania zamiast oprzeć się na analogicznych sytuacjach w przeszłości u nas i dziś w Niemczech. Pew-

nie działa tu jakaś uparta wrogość w stosunku do samodzielnego przedsiębiorcy, która bodaj podświadomie uniemożliwia ludziom spojrzenie na sprawy gospodarcze inaczej niż przez szkła planisty i etatystycznego organizatora „sprawiedliwości gospodarczej". Sądząc z odpowiedzi na ankietę, większość emigracji myśli tymi właśnie kategoriami. Jeśli tak jest i w kraju, to czeka nas wieczne ubóstwo i wleczenie się gospodarcze gdzieś w ogonie za Zachodem.

Jeszcze jedno zjawisko warto podkreślić, a mianowicie naszą dziwną uległość semantyczną wobec komunistów i ich metod „double speak". I tak mówi się w ankiecie o Spółdzielniach Produkcyjnych zamiast o kołchozach, o Państwowych Gospodarstwach Rolnych zamiast o sowchozach. Bolszewicy to robią, bo wiedzą, że prawdziwe nazwy są znienawidzone tak samo jak zjawiska, które określają, mają zatem ze swojego punktu rację, że nazw tych unikają. Ale czemu my mamy ten kamuflaż przyjmować ? Tak samo zgrzytem jest bolszewickie słowo „kombinat"; mamy przecież swój ustalony termin : przedsiębiorstwo scalone.

Chciałbym jeszcze zakwestionować podaną przez *p. Goreckiego* cyfrę 54,3% jako udział dużych majątków i folwarków w obszarze rolnym Polski. Mały Rocznik Statystyczny, Londyn 1941 rok, podaje ten udział w roku 1931 na 25,8%, a zdaje się, że tą cyfrą objęte są też i lasy. Poza tym od 1931 roku do 1938 rozparcelowano dalszych 622,700 hektarów, zatem cyfra 25,8% spadła dalej do 24,2%. Nawet i ta cyfra niewiele mówi, bo dosyć trudno wyobrazić sobie „obszarnika" na 50-ciu hektarach, to raczej ktoś z waszecia, albo zamożny chłop.

Aleksander HEIMAN-JARECKI

Kronika kulturalna

Nagrody "Kultury"

LITERACKA

Na drugi Konkurs na Nagrodę Literacką ,,Kultury'' nadesłano *jedenaście rękopisów*, a więc o pięć mniej niż w roku ubiegłym. Otrzymaliśmy : pięć powieści, pięć opowiadań, jeden szkic dramatyczny.

Nagrodzone zostały opowiadania dwóch autorów : Andrzeja Chciuka i Leo Lipschutza.

Andrzej CHCIUK, autor ,,Smutnego uśmiechu'', urodził się w roku 1920 w Drohobyczu. Po ucieczce z niewoli brał udział w Résistance i był kierownikiem działu wydawniczego Polskiej YMCA we Francji. W latach 1943-1947 redagował pismo ,,Razem''. Ukończył w Paryżu Szkołę Dziennikarską i Szkołę Wyższych Studiów Społecznych. Od roku 1948 do 1949 był korespondentem dwóch pism krajowych : ,,Dziś i Jutro'' oraz ,,Przeglądu Sportowego''. Od kilku lat przebywa w Australii, gdzie pracuje jako kucharz.

Autorem drugiej nagrodzonej pracy pt. ,,Dzień i Noc'' okazał się Leo LIPSCHUTZ. Urodził się w roku 1920 w Zurichu. Przed wybuchem wojny studiował w Krakowie. Schronił się przed Niemcami do Lwowa, skąd został wywieziony w głąb Rosji, do łagrów. Opuściwszy Sowiety wraz z wojskiem polskim zaczął ponownie studiować w Bejrucie, gdzie, w 1945 roku, został sparaliżowany. Lipschutz mieszka obecnie w Tel Avivie i mimo złego stanu zdrowia nadal studiuje i pisze. Jeszcze przed wojną rozpoczął pracę literacką w szeregu pism akademickich, po wojnie zaś kilka jego opowiadań drukowały ,,Wiadomości''. Używa pseudonimu pisarskiego : Leo Lipski.

O ile w pracach, nadesłanych na Konkurs w roku ubiegłym, przeważały tematy krajowe, w tym roku przeszło dwa razy liczniejsze są tematy emigracyjne. Są to na ogół próby uporządkowania wspomnień i odnalezienia samego siebie wśród brutalnych zmian losu. Nad tworami wyobraźni przeważają zresztą zapiski dokumentalne, nieraz ciekawe i ważkie dla przyszłego badacza emigracji.

Przypominamy, że termin nadsyłania prac na następną Nagrodę „Kultury" za rok 1956, upływa dnia 31 października 1956.

MUZYCZNA

Przypominamy, że termin nadsyłania prac na Nagrodę Muzyczną „Kultury" upływa w kwietniu br. Warunki nagrody podane były w numerze 10/96, w roku 1955.

PLASTYCZNA

Przypominamy, że Redakcja „Kultury" postanowiła zapoczątkować kolekcję obrazów i rzeźb polskich artystów na uchodźtwie, przeznaczając na zakup jednego dzieła (obrazu lub rzeźby) rocznie sumę 70.000 franków (£70, — $200).

W związku z tym zwracamy się do malarzy i rzeźbiarzy, aby przysłali nam, do wyboru przed 1-*ym września* 1956 *roku,* fotografie trzech obrazów względnie trzech rzeźb (podając rozmiary i fakturę), które skłonni byliby nam sprzedać za wyżej wymienioną cenę. Redakcja ogłosi swoją decyzję przed 1 grudnia 1956.

Reprodukcje zakupionych dzieł będą zamieszczane w jednym z pierwszych numerów następnego roku wraz z artykułem o twórczości artysty.

NAGRODA LITERACKA KOŁA KSIĘŻY KAPELANÓW P.S.Z. W STANACH ZJEDNOCZONYCH A.P.

Jury konkursu literackiego, rozpisanego przez Koło Księży Kapelanów P.S.Z. w Stanach Zjednoczonych, w składzie: prof. Oskar Halecki, ks. A.W. Rojek, Tadeusz Romer, Melchior Wańkowicz, Kazimierz Wierzyński, na zebraniu w Nowym Yorku, dnia 27 lutego 1956 roku, po zapoznaniu się z 20-tu nadesłanymi utworami uznało, że prace te nie odpowiadają w pełni warunkom konkursu i z tego powodu postanowiło za zgodą fundatorów, przedłożyć konkurs do dnia 1 marca 1957, na dotychczasowych warunkach.

Jednocześnie Jury uchwaliło jednogłośnie przyznać poza konkursem dodatkową nagrodę w kwocie $150.00 utworowi pt. „Zapiski Wrześniowe" nadesłanemu pod godłem „Semper Fidelis", jako posiadającemu wybitne wartości ideowe i literackie.

Po otworzeniu koperty okazało się, że nagrodzonym autorem jest Janina Węgrzyńska-Kościałkowska, zamieszkała w Laloubère (H.-P.), we Francji.

Inni autorzy prac nadesłanych proszeni są o zgłoszenie się po ich zwrot, podając godło, pod adresem:

Sekretariat Koła Księży Kapelanów, 6 Wall St., Passaic, N. J., USA.

Książki

Rewolucja i fetysze

„La Révolution et les fétiches", mała książka Pierre Hervé, pozornie przejrzysta, nie jest naprawdę łatwa do przeczytania (*). Hervé szereguje uwagi nie usiłując wprowadzić pomiędzy nimi żadnej hierarchii czy łączności. Przeciwnik nie zawsze jest ten sam: najczęściej jest nim kierownictwo francuskiej Partii Komunistycznej, czasem intelektualiści partyjni albo gorliwi sympatycy jak J.P. Sartre. Sprawę komplikuje ponadto fakt, że pomiędzy okresem w którym Hervé pisał (lipiec-sierpień 1955 roku) a chwilą obecną doktryna sowiecka w pewnych punktach została publicznie tak zmodyfikowana, że niektóre uwagi, będące herezją w ubiegłym roku, dzisiaj wprost przeciwnie wydają się być obroną najświeższych nakazów moskiewskiej ortodoksji przed spóźnionymi kierownikami francuskimi.

Zresztą, jest i wiele innych elementów dwuznacznych, mniej przypadkowych (zakładając że poprzednie były przypadkowe). Hervé zahacza o jakiś problem i natychmiast wycofuje się, aby później do niego powrócić. Herezja jest jak rozżarzona blacha. Tu słowa, części zdań, pozostają dwuznaczne, pozwalając na dowolne interpretacje. Dlaczego? Dziwna to herezja — chłodno kalkulowana i pozbawiona namiętności. Dziwny wybuch — powstrzymywany latami? dziesiątkami lat? który pęka w końcu małymi, rozproszonymi odłamkami, kapryśnymi i ostrożnymi jak ruchy kota. Czytelnik waha się. Sens tej książce mógłby nadać ton, ale ton jest nieuchwytny. Gdzie jest sztuczność, gdzie poza, gdzie ironia? Czytelnik nie wie. Przeciw komu chce walczyć Hervé? Przeciwko fetyszyzmowi jako takiemu — czy przeciwko pewnym tylko fetyszom, aby tym lepiej bronić innych? Hervé

(*) La Table Ronde, 1956. Pierre Hervé był po wyzwoleniu deputowanym komunistycznym, naczelnym redaktorem komunistycznego tygodnika „Action" i redaktorem „L'Humanité". Po długim okresie uległości ortodoksji partyjnej odkrywa dzisiaj — jak się to może wydawać — elementarne warunki prawdy. Jego książka, która wznieciła entuzjazm w prasie neutralistycznej była gwałtownie potępiona przez „L'Humanité" i „La Nouvelle Critique".

bez przerwy powołuje się na ,,naukę'' na ,,ducha nauki'', ale cytuje swoje autorytety : Marksa, Engelsa, Lenina — przede wszystkim Lenina (o wiele rzadziej Stalina) tak jak Święty Tomasz cytuje Arystotelesa czy Świętego Pawła, jak Jezuita z ,,Prowincjałek'' swych doktorów. Czy to jest chytrość, rozwaga, czy szczerość ? ,,Całkowite zubożenie klasy robotniczej'' gwałtownie zaprzeczone przez rozwój ekonomiczny, pozostaje dla niego ,,prawem odkrytym przez Marksa'' : broni tego prawa, dając mu najpierw zasięg tak szeroki i tak rozproszony, że wymyka się ono całkowicie jakimkolwiek sprawdzianom, następnie uznaje je za ,,sprawdzone'' przez ,,efektywne wejście milionów nowych proletariuszy (z krajów kolonialnych) do systemu kapitalistycznego''. Nie identyfikując przecież świata kapitalistycznego z piekłem a świata socjalistycznego z rajem, stwierdza że Obowiązek, wyraz człowieka rozdartego, straci swoje znaczenie w społeczeństwie komunistycznym, w którym panować będą ,,spontaniczność i sztuka życia''. Aby ośmielić się zaprzeczyć istnieniu kierownictwa nieomylnego (bez względu na to czy byłoby osobowe czy zbiorowe) musi odwołać się do przemówienia Chruszczowa i do końcowego komunikatu z rokowań sowiecko-jugosłowiańskich. Jeżeli ujawnia we Francji jałowość idej nadchodzących ze Związku Sowieckiego, to przypisuje ten stan ,,ekstremizmowi ideologicznemu'' francuskiego komunizmu, ale uwypukla intelektualne bogactwo debat prowadzonych w samym Związku Sowieckim, bądź w uznanej prawnie różnorodności szkół naukowych, bądź w związku pisarzy. Potwierdza nierozerwalność więzów łączących każdy ruch komunistyczny ze Związkiem Sowieckim. ,,Ta pewność opiera się na rzeczywistości Związku Sowieckiego : przykładając do Z.S.S.R. formułę, używaną przez Marksa dla określenia proletariatu, można by nawet w pewnych okolicznościach powiedzieć : nie jest ważne jakie on ma o sobie wyobrażenie w danej chwili ; ważne jest to, jaki jest rzeczywiście i w jakim kierunku zmuszony będzie rozwojem historii do działania, zgodnie ze swą istotą''. Przyjrzyjmy się bliżej temu sformułowaniu : Marks mówił o proletariacie ; zakładał, że ,,istota'' proletariatu ontologicznie jest bardziej prawdziwa, bardziej rzeczywista od tego ,,jak sobie proletariat siebie w danej chwili wyobrażał'' — przetłumaczcie : ,,niż to co on robi'', ,,niż to co można *stwierdzić* na jego temat''. Tę ,,istotę'' niezłomną, niezniszczalną, przedmiot nie stwierdzenia ale wiary, Hervé przenosi z proletariatu na Związek Sowiecki (co pozwala mu nieco dalej, na głoszenie nowej polityki francuskiej, związanej ze wschodem i faworyzującej Rewolucję). Wróg fetyszów staje się tu czarownikiem.



A przecież kot atakuje i drapie. Nie na oślep : ciosy padają znienacka na kilka czułych punktów doktryny. Można się zapy-

tać czy ta taktyka wynika z instynktu, zarazem pewnego i bliskiego przypadku, czy też z doskonale zamaskowanej inteligencji strategicznej. Przeglądając zasadnicze ,,nieortodoksyjne'' tezy tego tomu, widzi się, że zmierzają one nie do przewrócenia doktryny komunistycznej, ale do nadania jej giętkości przez nawrót do źródeł, to jest w pierwszym rzędzie do Lenina.

Przede wszystkim ideologia. Należy rozróżniać — mówi Hervé — dwa rodzaje idei : ideę jako fakt i ideę jako ideę. Jako fakt idea nie jest ani prawdziwa, ani fałszywa : ważne jest tylko zrozumieć przyczyny, które ją wyłoniły i skuteczność jaką osiąga : zapoznanie tego aspektu powoduje, że jest się ofiarą tego co marksizm pogardliwie określa imieniem ideologii, to znaczy że bierze się ideę na serio jako wartość niezależną od kontekstu historycznego, że rozważa się ją jako samą w sobie a nie jako nadbudowę istniejącej rzeczywistości społecznej. Ale — ciągnie Hervé — idea istnieje jednocześnie ,,jako idea'', prawdziwa czy fałszywa, i w ten sposób umożliwia ludzki dialog; niedocenienie tego punktu widzenia znaczy zamienienie marksizmu — krytyki która denuncjuje ideologie — na ideologię absolutną, co jest pojęciem sprzecznym w samym określeniu.

Hervé wypowiada wojnę właśnie wszystkim absolutom, które wślizgnęły się do marksizmu. I tak niemożliwe jest stwierdzenie *absolutnej* wyższości kierownictwa kolektywnego nad kierownictwem osobowym (tu także wydatnie przychodzi z pomocą Lenin) i rola jednostek nie powinna być niedoceniona. W historii nie ma nic absolutnego; żaden dogmatyczny optymizm nie może wykluczyć ryzyka, żadne fatum nie może posłużyć za wymówkę czy alibi. Hervé cytuje kilkakrotnie, ze szczególnym upodobaniem, zdanie Lenina : ,,Nie ma sytuacji bez wyjścia''. Tak więc przypadkowość historyczna jest silnie podkreślona a ,,konieczność marksistowska'', będąc ,,naukową'', jest siłą rzeczy względna i warunkowa. (Wstrzymuję się tutaj od dyskutowania możliwości filozoficznej — ani bałwochwalczej ani przeciwnej bałwochwalstwu — i od przemyślenia takiej ,,konieczności warunkowej'' całkowicie zmieszanej z przypadkowością).

Hervé powstaje przeciwko komunizmowi mesjanicznemu, którego Partie tworzyłyby Kościół a także przeciwko nacjonalizmowi który by zrobił z Francji jego starszą córkę. Patrzenie na proletariat jako na mesjasza, który nigdy się nie myli — jest absurdem a marksizm podporządkowuje walkę jaka się toczy w jakimś określonym kraju, walce która toczy się w całym świecie. Naturalnie, że powinno przestrzegać się ścisłego związku pomiędzy Partią a klasą robotniczą, ale jest się bałwochwalcą wierząc, że stary robotnik, znajdujący się od dziesiątków lat w kadrze politycznej czy syndykalnej, przechowuje w sobie stałą treść proletariatu. Proletariat, to są robotnicy *obecni*. Z drugiej strony, jeżeli jest prawdą, że ci ostatni mają przeważnie pogląd

szczególnie jasny i prosty na sytuację, nie należy wpadać w „kult robotnika", który niedocenia roli intelektualistów; do nich należy odrzucenie ideologii absolutnej i zastrzeżenie prawa do popełniania błędów, aby umożliwić posługiwanie się rozumem i umysłem krytycznym.

Może najbardziej szczery ustęp książki Hervé znajduje się na stronie 70 i następnych. Mówi on o tym wszystkim co w kulturze i w życiu wykracza poza ideologię i schematy. „Jest niemożliwe sądzić o wartości jakiegoś dzieła sztuki, to znaczy o jego głębokiej prawdziwości, przez proste powołanie się na charakter społeczeństwa w jakim dzieło to powstało..." „W jaki sposób można by utożsamić drogę prawdy z względnie ubogą spuścizną filozofii materialistycznych, poczynając od greckiej starożytności? Pozostawienie na uboczu tak wielkich umysłów jak Platon czy Spinoza na przykład, byłoby fałszowaniem prawdziwej historii nauk". A więc kultura to nie jest to samo co ideologia. Sztuki piękne i filozofia cieszą się — i powinny cieszyć się — w jego pojęciu względną niezależnością. Jeśli idzie o rewolucję to często ma się o niej wyobrażenie apokaliptyczne, które pozwala kultowi szaleństwa zająć miejsce prawdziwych perspektyw wyzwoleńczych. W historii nie było absolutów, z tego wynika że *nie wszystko jest dozwolone* : „niektóre środki oddalają cel powodując rozkład rewolucji".

Nie bez przyjemności znajdujemy u bojowego komunisty, Hervé, trochę tylko karykaturalny portret „sympatyków", neofitów w rodzaju Sartre'a. Hervé zabiera się do tych, którzy romantycznie określają proletariat poprzez cierpienie i nędzę. Propagują oni „oportunizm", który jest niczym innym jak „marksizmem dla ubogich". Popierają Partię Komunistyczną, ponieważ widzą w niej przedstawiciela proletariatu, który — wskutek cierpień — stał się mesjaniczny i niezdolny do popełniania błędów. (Proszę zauważyć, że ta idea znajduje się u Merleau-Ponty jeszcze w *„Les aventures de la dialectique"!*) Przywódca jest więc nadczłowiekiem dzięki tajemniczym więzom, łączącym go ze światową klasą robotniczą. „Popieranie francuskiej partii komunistycznej z racji tego tylko faktu, że reprezentowałaby klasę robotniczą (według pochodzenia swoich kadr, liczby głosów, uzyskanych w wyborach, etc.) — inaczej mówiąc że z tego względu byłaby reprezentatywna — jest stanowiskiem racjonalnie nie do obronienia, ponieważ takie stanowisko jest oparte na mistycznej idei, że klasa robotnicza nie może się mylić i że partia komunistyczna cokolwiek by robiła, jest nosicielem prawdy. W takim wypadku należałoby podtrzymać Partię Pracy w Wielkiej Brytanii, C.I.O. i A.F.L. w U.S.A. etc.". „Intelektualista może wnieść najlepszy udział do ruchu rewolucyjnego jedynie uwalniając się od ideologii absolutnej i starając się o podniesienie świadomości klasy robotniczej, odwrotnie zaś przyniesie mu wielkie szkody, jeżeli wprowadzi do niego swój galimatias moralizatorski, swój kompleks niższości, swój sentymental-

ny kult robotnika i swój sekciarski dogmatyzm". „Na wszystkich szczeblach Partii Komunistycznej ... jest wielu robotników, którzy z marksizmu-leninizmu wynieśli szacunek dla myśli: jak więc chcecie, żeby nie dziwili się widząc, że tylu intelektualistów z tak niepokojącym zapałem zaczyna gardzić rozumem i myślą krytyczną?"

Jak widzimy: spora ilość fetyszów została potępiona. To czego nie widzimy w tym streszczeniu, to fakt, że oskarżenie robione jest stale przy pomocy innych fetyszów. Słowo „nauka" używane jest w znaczeniu zbyt szerokim i przesądnym. Jak zwykle ścisłość zasad marksistowskich nagina się tu według upodobań. W jaki sposób krytyka anty-bałwochwalcza może zatrzymać się na tak dobrej drodze? W jaki sposób urządza się Hervé,aby tak ograniczyć szkody? Jeżeli prawda istnieje — a według Hervé istnieje — „trzeba iść ku niej całą duszą" powiedział Platon.

Sam Hervé stwierdza, że celem jego esseju jest wydobycie na światło dzienne rozbieżności pomiędzy polityką międzynarodowego odprężenia i pokojowej koegzystencji a przesadną ideologią, która jej szkodzi. I dlatego więc zgadza się powiedzieć pewne rzeczy prawdziwe, nie dlatego, że są one prawdziwe, ale ponieważ są dzisiaj politycznie pożyteczne: i mówi tylko te.

Książka, jak powiedział Sartre w artykule zamieszczonym w „Temps Modernes" (luty 1956), jest ściśle datowana. Napisana latem 1955 roku łączy się z francuskimi perspektywami politycznymi, jakie otworzyły się komunistom poprzez wybory w styczniu 1956. Pozwala przewidzieć możliwość wspólnej akcji, pociągając za komunistami jeden odłam gaulistów, większość radykałów i MRP, progresistów, a nawet coraz to wzrastający odłam socjalistów (strony 25-26). Więcej jeszcze, książka ta mieści się z pewnego rodzaju doskonałością w wolcie jaka miała miejsce obecnie na XX Zjeździe Partii Komunistycznej w ZSSR. Wszystkie założenia książki, cała jej inspiracja — jest w zgodzie ze słowami kierowników Moskwy, z jednym tylko wyjątkiem, który ma jednak znaczenie: Hervé, jak powiedzieliśmy, podaje w wątpliwość absolutną wyższość kierownictwa zbiorowego nad kierownictwem osobowym. Po dwudziestu latach bizantynizmu — pisał Hervé już latem ubiegłego roku — Związek Sowiecki powraca do Lenina. Podziemny duch żyje w dzisiejszym komunizmie i — powracając do źródeł — usiłuje stoczyć „walkę ducha przeciw literze". Kadry francuskiej Partii są stare i należy je odmłodzić. „Wystarczy spojrzeć na fotografie trybun i manifestacji sprzed dwudziestu lat i obecnie". To odnowienie winno czerpać natchnienie z odmłodzonego komunizmu sowieckiego.

Książka ściśle datowana. Po prawdzie dlaczego została napisana? Czy należy wierzyć, że Hervé znosił przez dziesiątki lat przymus i fetysze Partii, by w końcu pozwolić na ujawnienie swych prawdziwych myśli i swego obrzydzenia? Mówi o dusze-

niu się. Ale uczucie duszności jest zbyt nagłe (i właśnie zbyt dobrze datowane) u walczącego komunisty, który w chwili kiedy stalinowski antysemityzm rozszalał się przeciwko ,,mordercom w białych fartuchach" — podpisywał potulne artykuły, uznane przez Sartre'a za ,,najbardziej pożałowania godne w prasie komunistycznej". Czy mamy tu do czynienia z zaledwie zapoczątkowaną ewolucją wewnętrzną, z początkiem buntu przeciwko niektórym dogmatom, które się dotąd ślepo przyjmowało? Czy przeciwnie Hervé wybrał chwilę i troskliwie określił granice zasięgu swojego ataku w nadziei rozruszania aparatu Partii i wciągnięcia jej na drogę, na którą wydaje się wchodzić Związek Sowiecki? Czy miał nadzieję, że te fetysze, których broni, zabezpieczą jego prawomyślność? A może mamy do czynienia z uderzeniem dokładnie obliczonym, zarysem bardziej szerokim, bardziej rozległym, wykonywanym w zmowie z jedną z rywalizujących ze sobą grup w kierownictwie Związku Sowieckiego, zmierzającym zarazem do zmienienia kierownictwa i fizjognomii Francuskiej Partii Komunistycznej i do wywrócenia sojuszów partyjnych?

Być może że przyszłość nam na to odpowie. Jedno jest pewne, Hervé nie jest odosobniony. Stoi za nim XX Zjazd Sowiecki; skazując najpierw tę książkę w prasie, wykluczając następnie autora ze swoich szeregów Francuska Partia Komunistyczna utraciła cenny atut dla swej propagandy frontu ludowego. Natomiast smutnym znakiem naszych czasów jest fakt, że ta mała praca, która w sumie przypomina nam jedynie pewne prawdy elementarne, wywołała w Paryżu tak żywe i sprzeczne emocje.

◆

Na zakończenie jeszcze kilka słów o artykule, który Sartre ogłosił na temat powyższej książki. Mam ochotę odwrócić przeciwko niemu jego wstępne pytanie. ,,Kto mówi?" — pisze on. — ,,Hervé? Ja w to wątpię. On, który napisał...", etc. — Ale któż więc mówi w artykule, zamieszczonym w ,,Temps Modernes"? Sartre? Ja wątpię: trudno mi uwierzyć, aby autor ,,L'Etre et Néant" — myśliciel, który całą swoją czujność wkładał w obronę, przeciw wszelkim naruszeniom i przesądzaniom, tej wyrwy niebytu, która izoluje i ochrania akt wolny — pisał dziś najspokojniej: ,,Dla nas marksizm jest prawdziwym ruchomym wyrazem tego co Hegel nazywał: Duch Obiektywny... Od chwili śmierci myśli burżuazyjnej on sam tylko jest Kulturą, gdyż tylko marksizm pozwala zrozumieć ludzi, dzieła i wypadki". Jest naprawdę nie do uwierzenia, że *Sartre* pisze: ,,Wykluczenie Hervé byłoby godne pożałowania, ale wyłącznie dla członków Partii: to jest zagadnienie dyscyplinarne, *które nas nie obchodzi*". On, który tyle napisał, aby wykazać, że wszystko co zdarza się drugiemu, w jakiś sposób zdarza się *mnie!* ,,Wol-

ność dyskusji wewnątrz Partii — powiedział komunistom — to sprawa, która dotyczy tylko was''. A ja myślałam, że według Sartre'a wolność dyskusji była wszędzie i zawsze sprawą wszystkich!

Jeśli idzie o aktualną jałowość marksizmu we Francji, na którą uskarża się Sartre — czy można by było poprosić go, aby sam się zastanowił jakie są tego przyczyny? Dlaczego ten marksizm, który jest ,,całą Kulturą'', z którym ,,zetknięcie się'' było ,,dla ludzi jego wieku wielką sprawą ich życia'' — nie jest tak *żywy* jak on tego żąda? Dlaczego nikt nie pisze tych *dzieł* marksistowskich, tych konkretnych studiów, o które woła? *Dlaczego on sam ich nie pisze?* ,,We Francji — pisał Sartre — marksizm zatrzymał się''. Dlaczegóż to wydaje się, że i Sartre — odkąd stał się marksistą — nie idzie naprzód?

Jeanne HERSCH

(*Tłumaczyła Z. H.*)

O prawach historii

I

Już w pierwszym rozdziale nowej książki Adama Schaffa ,,Obiektywny charakter praw historii'' (Warszawa, PWN, 1955) znajdujemy stwierdzenie, które każe nam pożegnać się z nadzieją, by odbiegała ona od ustalonych wzorów rozpraw marksistowskich. Dla zrozumienia przewrotu, jakiego marksizm dokonał w dziedzinie historiografii — pisze Schaff — należy uwypuklić organiczny związek marksistowskich poglądów na historię z partyjnością, z faktem zerwania z obiektywizmem nauki burżuazyjnej. Schaff zdaje sobie sprawę, iż łączenie sprawdzianów prawdy z ich partyjno-politycznym charakterem jest odstępstwem od znaczenia, jakie wszyscy — z wyjątkiem wyznawców marksizmu-leninizmu — łączą z pojęciem kryterium prawdy. W związku z tym zamierza on w przyszłości poświęcić tej sprawie specjalne studium. Niemniej w ,,Obiektywnym charakterze praw historii'' wspomnaną zależność obiera za kamień węgielny wszystkich swoich wywodów.

,,Marksizm'' — pisze Schaff, objaśniając punkt wyjścia swych rozważań nad historią — ,,jest teorią świadomie klasową, partyjną... zarówno w tym sensie, że staje świadomie na gruncie interesów określonej klasy społecznej, jak i w tym, że

zajmuje partyjne, 'stronnicze', anty-'obiektywistyczne' stanowisko w walce obozu postępu z obozem wstecznictwa w nauce, w walce obozu materialistycznego z obozem idealistycznym''. Z podobnym poglądem można się nie zgadzać, można z nim polemizować i zarzucać, iż rezygnuje z poznania prawdy na rzecz jej cząstkowego i ułomnego aspektu. Pogląd ten nie jest jednak niedorzeczny. Nie można tego natomiast powiedzieć o wniosku, jaki Schaff z cytowanego wyżej samo-określenia swego zasadniczego stanowiska wyprowadza. ,,I dla tego właśnie'' — czytamy w zdaniu następującym bezpośrednio po wyżej podanym cytacie — ,,marksizm reprezentuje prawdę obiektywną''. Ta konkluzja nie jest już zwykłym non sequitur lub paralogizmem, nie może być w tym wypadku mowy o uchybieniach formalnych i błędach mimowolnych. Z tezy o społecznym, a ostatecznie ekonomicznym uwarunkowaniu naszych poglądów na historię nie można w ogóle wyprowadzić wniosku, iż jeden z tych klasowo uwarunkowanych poglądów ma wartość wyróżnioną i jest prawdziwy w absolutnym tego słowa znaczeniu. Z tezy o klasowym uwarunkowaniu teorii politycznych, moralnych, społecznych, historycznych i w ogólności ,,ideologicznych'' wyprowadzić można jedynie wniosek, iż te teorie mogą być tylko relatywnie prawdziwe, ze względu na świadomie lub nieświadomie przyjmowane założenia, uwarunkowane przez społeczno-ekonomiczną pozycję posługującego się nimi człowieka. Łączyć się z tym będzie przekonanie, iż w zakresie spraw ,,ideologicznych'' nie ma sensu pytać o prawdę absolutną i że jej poznanie jest ze względów zasadniczych nieosiągalne. Byłoby to konsekwentne stanowisko jakie prowadzi do praktycznie i teoretycznie doniosłych poglądów, rozwiniętych przez K. Mannheima w tzw. socjologię poznania. Dowolność Schaffa na tym polega, iż uprawia on socjologię poznania w stosunku do swych przeciwników i odrzuca jej zastosowanie do samego siebie.

Co więcej, w całej książce posługuje się on tą dowolnością — marksistowskie pojmowanie historii i prawda obiektywna to dwie różne nazwy dla tej samej rzeczy — w każdej naglącej potrzebie obalenia celnych argumentów tych, którzy myślą inaczej. Tu i ówdzie Schaff ma do powiedzenia rzeczy trafne i słuszne o teoriach określanych przez niego nazwą ,,historycznego idealizmu''. Lecz w ostatecznym obrachunku sam fakt niezgodności z tą lub inną tezą marksizmu-leninizmu — z ,,prawdą obiektywną'' — jest wystarczającą podstawą do ich odrzucenia. Po cóż jednak wówczas w ogóle wspominać poglądy odmienne od własnych, skoro wiadomo jest z góry, iż są one bezzasadne? Po cóż długie i liczne cytaty z dzieł z zakresu metodologii historii, jeżeli zawsze jest ,,rzeczą jasną'', iż mają one tylko ,,sens polityczny'', są ,,mistyfikacją'' podyktowaną względami klasowymi, reakcją na marksizm i na rewolucyjną ideologię proletariatu?

II

Tak pomyślanej i przeprowadzonej rozprawy nie można traktować jako przyczynku do metodologii nauk historycznych. Schaffa nie interesuje nawet meritum sporu o to, czy zadaniem nauk historycznych jest opis jednostkowych faktów i wyjaśnienie ich genezy, czy też wykrywanie praw rządzących procesem historycznym. Ta różnica stanowisk nie ma z punktu widzenia Schaffa istotnego znaczenia. Kto uznaje istnienie praw historycznych może być także przeciwnikiem marksizmu, którego Schaff pogrąża oskarżeniem o jakim była poprzednio mowa. Max Weber, który uznawał istnienie ,,praw strukturalnych'' w historii, Arnold Toynbee, który w procesie narodzin, rozwoju i upadku cywilizacji odkrywał działanie wielu praw dziejowych, nie są lepsi od Windelbanda i Rickerta, twórców teorii ideografizmu nauk historycznych, oraz całej plejady historyków świadomie lub nieświadomie uprawiających historiografię ,,so wie es eigentlich gewesen''. Istotnym warunkiem prowadzenia badań nad historią w sposób ścisły i naukowy nie jest bowiem ,,formalne uznanie istnienia praw historii''. Niemniej doniosłym warunkiem jest fakt ,,o jakich prawach mowa, z pozycji jakiej partii w nauce są one formułowane''. Prawa dziejów A. Toynbee lub prawa strukturalne M. Webera są zwykłą mistyfikacją, prawa odkryte przez Marksa, Engelsa i Stalina są obiektywne. Są obiektywne, ponieważ są partyjne i rozpatrują historię z egzystencjalnej pozycji proletariatu. Stosownie zaś do znaku równania między poznaniem historycznym osiągniętym z tej egzystencjalnej pozycji i poznaniem prawdziwym w klasycznym rozumieniu tego terminu, jedynie marksistowskie prawa historii są prawami naukowymi. To przeświadczenie Schaff wyraża w formule jakiej nie powstydziłby się metafizyk niesiony na falach zawiłych spekulacji, obdarzony dufną pogardą dla wymogów logiki i poprawnego myślenia. ,,Prawo nauki jest obiektywne w tym sensie'', pisze Schaff, ,,że daje nam obiektywnie uwarunkowane odbicie obiektywnych procesów''. Ta definicja Schaffa winna się znaleźć wśród przykładów błędów, zbieranych przez logików w Polsce, dla ostrzeżenia i nauczenia szerokiego ogółu, jak nie należy definicji formułować.

Gdy Schaff twierdzi, iż prawa historii mają charakter obiektywny, chce on, jak się zdaje, powiedzieć dwie różne rzeczy. Po pierwsze, chce on wyłączyć pogląd według którego ,,prawo'' określające stosunek bytu społecznego i społecznej świadomości, sił wytwórczych i stosunków społecznych, bazy i nadbudowy, jest tylko pewną teoretyczną konstrukcją, która pozwala nam wykrywać fakty i związki między faktami historycznymi, pewnego rodzaju reflektorem, jak to określił Popper, rządzącym selekcją faktów, ich względnym położeniem i rolą w procesie historycznym. Takie konstrukcje teoretyczne w historii różnią się zasadniczo od hipotez nauk przyrodniczych, gdyż

w przeciwieństwie do hipotez nie dopuszczają weryfikacji. Konstrukcja teoretyczna w historii jest podstawą wyboru faktów oraz ustalania związków między nimi. Interpretacja historyczna określonego procesu dziejowego nie może przeto dostarczać sprawdzianu konstrukcji teoretycznej leżącej u jej podstaw, a tylko ją ilustrować i rozwijać na konkretnych przykładach.

Schaff podnosząc obiektywny charakter praw historii sformułowanych przez marksizm-leninizm pragnie nie tylko odróżnić materializm historyczny od konstrukcji myślowych i weberowskich typów idealnych. Reakcyjność podobnej próby wyjaśnienia logicznej funkcji materializmu historycznego jest ponoć raz jeszcze ,,zupełnie jasna''. Materializm historyczny ma według Schaffa ,,obiektywne odniesienie'', jest ,,odbiciem w głowach ludzi'', jak Schaff za Stalinem podaje, ,,prawidłowości obiektywnych istniejących poza nami'' (,,Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR''). W jaki sposób prawidłowość ,,poza nami'' może posiadać ,,odbicie w głowach ludzi'', pozostaje tajemnicą, jakiej Schaff nie stara się rozwikłać. Zdaje się on nie dostrzegać, iż posługuje się metaforą, jakiej do końca nie umielibyśmy prześledzić. Zakładając bowiem nawet, że jakieś ,,odbicia'' znajdują się rzeczywiście w ,,głowach ludzi'', w jaki sposób wiedzieć możemy, iż te ,,odbicia'' są odbiciem ,,rzeczywistości poza nami''? Któż może porównać ,,odbicie'' i rzeczywistość, jeżeli tylko ,,odbicia'' są nam bezpośrednio dane? Jeżeli przyjmiemy, ,,teorię odbicia'', musimy pozostać na zawsze w kręgu tworów naszych mózgów, odcięci od świata zewnętrznego niemniej nieprzenikliwą zasłoną niż ta, jaką wznosi wokół siebie solipsysta.

III

W intencji marksizmu-leninizmu ,,teoria odbicia'' w ogólności, a w zastosowaniu do materializmu historycznego w szczególności, ma spełniać szczególną rolę. Ma ona w jakiś sposób, automatyczny a bliżej nieokreślony, poręczać naukowy i przyrodniczy charakter tez marksistowskich o historii. Schaff, jak jego poprzednicy, uważa bowiem proces społeczny i historyczny za proces przyrodniczy. Gdyby było inaczej, zapytuje się on za Leninem, w jaki sposób byłaby nauka o społeczeństwie możliwa? Skoro zaś nauka o społeczeństwie istnieje, możemy być pewni, iż Marks, Lenin, Stalin uprawiali naukę przyrodniczą. Któż śmiałby zakwestionować Newtona? Któż przeto odważy się zakwestionować Marksa? Pozór rozumowania, presja autorytetu, gra i wieloznaczność słów, prestiż nauk przyrodniczych, których materializm historyczny ma być szczególną gałęzią — jakąś dynamiką ciał zwanych ludźmi i grupami społecznymi — mają umacniać przekonanie, iż marksizm odkrył obiektywne prawa historii. Takie postępowanie jest magicznym obrządkiem,

a nie wywodem metodologicznym i refleksją filozoficzną nad procesem historycznym.

Dla marksisty przyrodniczy charakter praw, jakie w jego mniemaniu rządzą dziejami, ma kapitalne znaczenie praktyczne. Wiedzieć — to móc przewidywać, mówiła pozytywistyczna koncepcja nauki i marksizm tę koncepcję przejął jako własną, chociaż dla jej twórcy — Comte'a — żywił i nadal żywi najwyższą pogardę. Wiedza jako podstawa prognoz musi być wiedzą praw, gdyż bez znajomości praw nie możemy przewidywać. Przewidywać znaczy bowiem tyle co wywnioskować, że coś nastąpi, wywnioskować z tego, co teraz możemy zaobserwować, że nastąpi coś innego, czego jeszcze nie ma, na podstawie znajomości prawa rządzącego następstwem stanu obserwowanego i przewidywanego. W oparciu o odpowiednie prawa możemy przewidzieć zaćmienie słońca i księżyca na setki i tysiące lat w przyszłość, temperaturę przewodnika, ciśnienie gazu lub prawdopodobieństwo jakiegoś wydarzenia, jeżeli tylko posiadamy odpowiednią znajomość warunków początkowych badanych układów. Te przewidywania możemy sprawdzić przez eksperyment lub obserwację i przekonać się, że nasze przewidywania były uzasadnione. Gdy Marks zapowiadał nadejście rewolucji proletariackiej, socjalizmu i komunizmu w oparciu o prawo koniecznej zgodności stosunków produkcji z charakterem sił wytwórczych, prawem pauperyzacji mas pracujących i innych praw tego samego rodzaju, był on przekonany, iż dokonuje przewidywań w ten sam sposób, jak czyni to przyrodnik. Prawa historii mówią o tym, iż komunizm jest nieunikniony, iż prędzej lub później podbić musi świat. Historia jest więc po stronie komunizmu i kto nie chce, by zniszczył go bieg dziejów, niech się za wyrokiem historii opowie.

Przewidywania historyczne, pisze Schaff, są częścią składową nauki historii. Jest on jednak świadom tego, iż wiara Marksa w słuszność jego przewidywań o nieuniknionym załamaniu się systemu kapitalistycznego i nadejściu socjalizmu nie zostały rozwojem wydarzeń potwierdzone Mówiąc skrótowo słowami ,,Manifestu Komunistycznego'', burżuazja nie wychowała swoich własnych grabarzy w sensie, w jakim Marks o tym pisał. Anglia natchnęła Marksa myślą o tym, co nazwał on ,,naturalnym prawem kapitalistycznej produkcji'', działającym z ,,żelazną konsekwencją praw przyrodniczych''. Jak stwierdzał on w ,,Kapitale'', Anglia jako ,,kraj bardziej pod względem przemysłowym rozwinięty ukazywał krajom mniej rozwiniętym obraz ich własnej przyszłości'', a dzieje Anglii — drogę rozwoju i nieuniknionego upadku kapitalizmu. Tak być miało według prognozy Marksa, lecz wydarzenia potoczyły się inną zupełnie koleją od przewidywanej. Z niespełnienia się prognoz ,,Kapitału'' wyciągnąć należy wniosek, iż analiza przeprowadzona na angielskim przykładzie była błędna lub niekompletna i że Marks, mimo swej wielkiej wiedzy i zdolności analitycznych, nie miał

w gruncie rzeczy pojęcia, jak ukształtuje się przyszłość, dzieląc tę ułomność z całą omylną ludzkością.

Ten wniosek wyciągnął już Lenin. Kapitalizm przemysłowy nie jest ostatnią fazą przejściową poprzedzającą rewolucję proletariacką, rewolucja jest nie tylko skutkiem narastania ,,sprzeczności'', lecz i wynikiem celowego działania mas ludzkich. Stosownie do tego Lenin uzupełnił tezy ,,Kapitału'' teorią ewolucji kapitalistycznej w dobie imperializmu, ślepe działanie praw historii — działaniem zorganizowanej partii, rewolucję jako akt ,,wywłaszczenia wywłaszczycieli'' w fazie pełnej dojrzałości systemu kapitalistycznego — przerwaniem najsłabszego ogniwa w łańcuchu państw kapitalistycznych, niezależnie od stopnia przemysłowego rozwoju państwa stanowiącego ogniwo najsłabsze. Podobne poprawki wprowadzić musiał Stalin w ,,Ekonomicznych podstawach socjalizmu w ZSRR'' w stosunku do przewidywań Marksa i Lenina o przejściu ,,od socjalizmu do komunizmu''. W rękach Stalina deterministyczny model rozwoju społecznego od kapitalizmu do socjalizmu i od socjalizmu do komunizmu zmienił całkowicie swój charakter, by stać się schematem, w którym nawet prawa historii, wspomagane, jak Lenin uzupełniał, ,,wolą ludzką, zorganizowaną w partii komunistycznej'', nie wystarczają, by skierować bieg dziejów ku komunistycznemu millenium. Podczas gdy u Marksa walka klas jest demiurgiem dziejów, Stalin, jako realista, demiurgiem tym uczynił Związek Sowiecki, jego potęgę ekonomiczną i militarną. Podczas gdy u Marksa i Engelsa konieczność ekonomiczna toruje sobie drogę poprzez wszystkie przeszkody stawiane jej przez ludzi siłą własnej bezwładności, Stalin głosi jawnie, że ,,ekonomiczne prawo'' może nie uzyskać ,,swobody działania'', że może ono napotkać ,,niezwykle silny opór ze strony schyłkowych sił społeczeństwa'', do którego przełamania trzeba użyć ,,siły społecznej''. Teza o nieuniknionym nadejściu komunizmu jest mimo tych zmian w jej uzasadnieniu — w zespole praw ,,obiektywnych'', ,,przyrodniczych'', działających ślepo i bez udziału ludzkiej woli — nadal utrzymana, choć w oderwaniu od nich traci swą moc zniewalającą w jaką Marks starał się ją wyposażyć.

Schaff nie rezygnuje z psychologicznego kapitału deterministycznej tradycji marksizmu, lecz świadom tego, iż Lenin i Stalin pozbawili ją jej zniewalającej, z determinizmu wynikającej mocy, wyznacza przewidywaniom odmienną funkcję. Prognozy ,,Manifestu Komunistycznego'' i ,,Kapitału'' są w jego opinii ,,długofalowym przewidywaniem'', dotyczącym ,,ogólnego kierunku rozwoju historycznego''. Marks ma rację głosząc nieuchronność upadku kapitalizmu, chociaż mógł się mylić w szczegółach i konkretnych okolicznościach. Należy jednak pamiętać, że przewidywanie historyczne jest ,,przede wszystkim sprawą praktyki życiowej, która... rozstrzyga się w zgiełku walki klasowej i historycznego rozwoju społeczeństw ludzkich''.

Teza o nieuniknionym nadejściu komunizmu ma pragmatyczne uzasadnienie. Kto zdoła wzbudzić w sobie wiarę w istnienie i działanie obiektywnych praw historii, które jak kostka z ekscentrycznie położonym punktem ciężkości uprzywilejowuje jednego z graczy, ten zyskuje pewność zwycięstwa stanowiącą „siłę mobilizującą i organizującą proletariat w jego walce z burżuazją". Z drugiej strony ta sama pewność „wpływa demobilizująco na obóz burżuazyjny".

Ten wywód sprowadza problem praw historii i opartych na nich przewidywań z płaszczyzny teorii na płaszczyznę praktyki i ideologii. Skoro jednak przeświadczenia i wola człowieka wpływać mogą na bieg dziejów, prawa dziejów przestają wyznaczać jednych — na zwycięzców, drugich — na pokonanych. Nóż woluntarystycznej interpretacji marksizmu ma dwa ostrza. Jeżeli następstwo zdarzeń historycznych różni się w sposób zasadniczy od naturalnego, przyrodniczego następstwa zdarzeń, człowiek nie jest bezsilną cząstką w skłębionym prądzie wydarzeń dziejowych unoszącym go ku od wieków wyznaczonej przyszłości. Jego życiem historycznym nie rządzi saeva necessitas i jest on w stanie wpływać na bieg dziejów, którego jest on współtwórcą.

IV

Doceniając pragmatyczną rolę tezy o istnieniu praw historii Schaff nie ogranicza się do pozostawienia jej na tej płaszczyźnie i uznania jej za tezę prawdziwą, gdyż prowadzi do skutecznego działania. Z drugiej strony nie czyni on wysiłku, by wykazać, iż dziejami rządzą prawa zasadniczo tej samej natury jakim podlega świat fizyczny. W leninowsko-stalinowskiej wersji marksizmu, która deterministyczny model przemian społecznych zastąpiła modelem woluntarystycznym, na wspomniany wywód nie ma w rzeczywistości miejsca. Nie można twierdzić, iż dzieje podlegają prawom równie powszechnym i niezmiennym jak ruchy ciał niebieskich oraz jednocześnie czynić człowieka twórcą historii. Schaff, jak wielu innych marksistów, tej sprzeczności nie dostrzega i jak jego poprzednicy obwołałby ludzi, sprzeczność tę wytykających, ignorantami w zakresie zasad marksizmu-leninizmu. Zaniedbanie, o którym mowa, wynika z faktu, iż Schaff w ogóle nie dostrzega potrzeby wywodu uzasadniającego istnienie praw historycznych. Uczynił to już bowiem Marks w „sposób lapidarny" — w sposób tak lapidarny, iż prawa historyczne w rozumieniu marksistowskim nie posiadają dotąd jednoznacznego sformułowania i dopuszczają najróżnorodniejsze interpretacje — więc w pismach Marksa znajdzie sceptyk najlepsze odpowiedzi na wszystkie swoje wątpliwości. Z wyżej cytowanej wypowiedzi Stalina wyjaśniającej, dlaczego zarówno prawa historii, jak i zorganizowane działanie ludzi jest niezbędne do dokonania się wyroków dziejów, dowiedzieliśmy się, że

w opinii Stalina prawa dziejów są podobne do ludzi, torują sobie drogę z łatwością lub trudnością, staczają homeryckie boje między sobą i podlegającym ich władzy człowiekiem. Schaff uzupełnia ten antropomorficzny obraz nowymi szczegółami. Jedne prawa są długowieczne, inne — krótkowieczne, jedne odnoszą się do warunków ruchliwych, inne do nieruchomych, jedne są związane z bazą, inne — z nadbudową. Schaff nawiązuje do pism Marksa, lecz rozwija skrzydła w krainie czarów i mitologii zamieszkałej przez hipostazy, twory niezdyscyplinowanej wyobraźni i uwolnionego od logicznej kontroli umysłu.

Schaff staje na stanowisku, iż teza ,,byt określa świadomość'' jest prawem historycznym, natomiast teza Toynbee mówiąca, że narodziny, rozwój i upadek cywilizacji podlegają prawidłowości ,,wyzwania i reakcji'' prawem dziejowym nie jest, a tylko jego mistyfikacją. Pierwsza z tych tez, czytamy w książce ,,Obiektywny charakter praw historii'', jest prawem, ponieważ formułuje ona materialistyczną koncepcję praw rozwoju ludzkości, druga natomiast ją odrzuca i na domiar złego jest podstawą wywodu innych prawidłowości dziejowych, które zdaniem Schaffa są wymierzone przeciw ,,współczesnemu proletariatowi'' i dyskredytują teorię rewolucyjną za pomocą ,,najbardziej niewybrednych kłamstw i fałszerstw, godnych ideologicznego arsenału faszyzmu''. To uzasadnienie jest polityczną polemiką, na jaką Toynbee mógłby odpowiedzieć w tej samej monecie. Nie zbliża nas to jednak ani na krok do istoty sprawy i do rozstrzygnięcia sporu.

O obydwu tezach powiedzieć można na pierwszy rzut oka, iż są one pod wieloma względami do siebie podobne. Występujące w nich terminy — ,,byt'', ,,świadomość'', ,,cywilizacja'' ,,wyzwanie'', ,,reakcja'' — są niezdefiniowane, niejasne co do zakresu i treści, a na skutek tego dopuszczają najróżnorodniejsze, luźne i przenośne zastosowania. To samo powiedzieć należy o stosunkach, jakie stosownie do omawianych tez łączyć mają byt i świadomość lub narodziny cywilizacji z adekwatnością reakcji na wyzwanie. Jeżeli dictum o bycie wyznaczającym świadomość interpretować będziemy jako stwierdzenie stałego następstwa jakiś zmian politycznych, religijnych lub umysłowych następujących w ślad za zmianami ekonomicznej natury, to w tej interpretacji z konieczności posługiwać się ponownie musimy terminami nieostrymi, dopuszczającymi olbrzymią skalę luźnych i nieokreślonych zastosowań. Stwierdzana w tym dictum prawidłowość jest przeto tak mglistej i nieuchwytnej natury, iż w każdym konkretnym wypadku nie ma realnej możliwości rozstrzygnięcia, czy rzeczywiście ma ona miejsce. Tym bardziej nie można rozstrzygnąć jaka to zmiana ekonomiczna wywołuje taką a nie inną zmianę polityczną lub religijną i czy tylko ona a nie inne są przyczyną omawianych następstw.

Prawa nauk przyrodniczych tych wszystkich niedomagań nie posiadają. Terminy w nich występujące są jednoznacznie

zdefiniowane, stosunki między zmianami, do jakich terminy te się odnoszą, są najczęściej ilościowo wyrażone, a w samych sformułowaniach praw podane są warunki ich sprawdzenia. Weryfikacja praw przyrodniczych nie nastręcza przeto trudności, jest ona implicite zawarta w stwierdzanej przez prawo zależności między stanami, zmianami i następstwem rzeczy pod prawo to podpadających. Taki charakter ma prawo Galileusza, iż wszystkie ciała spadają na ziemię z tym samym przyspieszeniem, prawo Coulomba o odpychaniu się ciał o tych samych ładunkach elektrycznych, prawo Snella o załamaniu się światła przy przejściu do gęstszego medium i w ogólności każda prawidłowość zaliczana do praw naukowych.

Prawa dziejów, czy będzie nim omawiane prawo Marksa czy też Toynbee, nie zasługują przeto na miano pod jakim występują. Są to pewne uogólnienia i teoretyczne konstrukcje, jakie w praktyce mogą być dla historyka pomocne i użyteczne w wykrywaniu nowych faktów, ocenie ich względnej wagi i ustaleniu korelacji między faktami pozornie od siebie niezależnymi. Nie mają one jednak powszechnego zastosowania i brak tej powszechności nie stanowi ich wady. Nie każda zmiana ekonomiczna ma następstwa w innej sferze ludzkiej działalności, nie każda zmiana w dziedzinie ,,ideologii'' ma swą przyczynę w zmianie ekonomicznej. Te odstępstwa nie naruszają użyteczności tego uogólnienia, którego jedyną funkcją jest dopomożenie historykowi w zorientowaniu się w gąszczu wydarzeń i materiałów historycznych stojących do jego rozporządzenia. Sam fakt, iż wyrażają one materialistyczną lub ,,idealistyczną'' koncepcję historii, nie stanowi podstawy do przyjęcja jednych lub odrzucenia drugich, tym mniej zaś do proklamowania jednych prawami dziejów, a innych ich mistyfikacją. Istnieć mogą między nimi różnice co do ich heurystycznej wartości, nie istnieje między nimi różnica logiczna.

Sytuacja obecna w naukach historycznych nie odbiega od sytuacji istniejącej w drugiej połowie XIX wieku. Scharakteryzował ją wówczas trafnie polski historyk Smolka, a za jego wypowiedzią opowiedziałaby się olbrzymia większość dzisiaj żyjących historyków. Gdy w okresie pozytywizmu, a zwłaszcza w związku z koncepcjami Buckle'a, problem istnienia praw historycznych był żywo dyskutowany, Smolka uznał wszelką stanowczą — pozytywną lub negatywną — odpowiedź w tej sprawie za przedwczesną. Albowiem jeżeli istnieją prawa rządzące rozwojem ludzkości, pisał Smolka, to ,,my ich nie znamy''. Przekonanie, iż istnieją prawa historii, chociaż dzisiaj nie umie się podać ani jednego przykładu takiego prawa, może okazać się kiedyś prawdziwym domysłem. W obecnym stanie wiedzy jest to jednak z pewnością pozbawione uzasadnienia przeświadczenie.

Zbigniew JORDAN

Dwie książki Józefa Mackiewicza

I.

Wielka to zasługa londyńskiego ,,Orbisu'', że obdarzył nas w ciągu niespełna roku dwiema powieściami Józefa Mackiewicza, z których każda jest nie byle literackim wydarzeniem. Jeśli idzie o ,,Drogę do nikąd'' nie mieliśmy jeszcze na emigracji powieści, z wyjątkiem może ,,Turystów z bocianich gniazd'', której pochód przez recenzje byłby równie triumfalny. Rzecz zrozumiała, że po takim przygotowaniu, druga powieść Mackiewicza, i to napisana znacznie później od ,,Drogi'', musi wzbudzać żywe zainteresowanie. Co dał nam pisarz w swym nowym dziele, czy postępuje naprzód, w czym się zmienił?

Od razu trzeba powiedzieć, że ,,Karierowicz''(*) jest czymś od ,,Drogi do nikąd'' zupełnie odmiennym, jest dla czytelników nowym literackim doświadczeniem. Po epickim reportażu — fabuła i psychologia, po wielkim widowisku — powieść raczej kameralna, po ponurym dramacie — niemal gogolowska, zgryźliwa komedia.

Ale najpierw treść.

Do szpitala w małym mieście na Kresach dostaje się, w czasie walk polsko-bolszewickich w roku 1919, młody żołnierz Leszek. Spotyka tam Flora na wpół pacjenta, na wpół domownika, postać fascynującą, pod której wpływ od razu wpada. W szpitalu prócz Flora opiekę nad chorymi sprawują dwie pielęgniarki: starsza Helena i jej pomocnica Naścia. Trójkę tę wiążą dość zawiłe stosunki: Helena jest lezbijką zakochaną w Naści, a Flor kocha się beznadziejnie w Helenie. Leszek wnosi nielada zamieszanie w ten zespół, z chwilą, gdy zakochała się w nim Naścia. Dochodzi nawet do przypadkowego zabójstwa w szpitalu.

Flor, który na wszystko, prócz swego uczucia dla Heleny, zawsze umie znaleźć radę, wypycha niewygodnego Leszka w świat — zaraziwszy młokosa, nudzącego się w szpitalu, własną tęsknotą do puszczy, sąsiadującej z miasteczkiem. Niestety wyprawa w puszczę nie udaje się nieobytemu amatorowi przestrzeni. W czasie swych wędrówek Leszek o mało co nie zabija

(*) Józef Mackiewicz, *Karierowicz*. Str. 251. Ilustracje K. Pacewicza. Wyd. Orbis-Księgarnia Polska, Londyn 1955, cena 14/6.

kobiety — dawnej kochanki Flora, a gdy potem w popłochu wraca do miasteczka, dostaje po głowie kozacką szablą.

Leszek (którego autor przez cały ciąg powieści nazywa tym zdrobniałym, chłopięcym imieniem) urodził się jednak pod szczęśliwą gwiazdą i wszystko obraca się dlań w końcu na dobre. Przez dość skomplikowany zbieg okoliczności dezerter, przypadkowo rąbnięty przez kozaków, wyrasta na narodowego bohatera i dostaje za ten „swój czyn bojowy" piękne odznaczenie.

Istotny przebieg sprawy znają tylko ludzie na miejscu. Natomiast do dalekiego domu wraca Leszek w aureoli niezasłużonego bohaterstwa i trzeba stwierdzić, że po nietrudnym uporaniu się ze skrupułami, szybko uczy się korzystać ze swej sytuacji.

Powoli dokonywa się w Leszku nieunikniona przemiana. Na początku był po prostu niewyrobionym i nie bardzo mądrym, ale raczej sympatycznym szczeniakiem. Gdyby życie ułożyło mu się twardziej, byłby może wyrósł na przeciętnego, lecz porządnego człowieka. Ale powodzenie zbyt łatwe, to niebezpieczna szkoła.

Pod wpływem resztek owego młodzieńczego popędu, który go w swoim czasie wyciągnął ze szpitala w lasy, a w braku jakichś innych, rzetelnych zainteresowań, Leszek po wyjściu z wojska wybiera zawód leśniczego. Wysokie odznaczenie, jak różdżka czarodziejska, przeprowadza go bez trudu przez wszystkie egzaminy, a w końcu zdobywa mu doskonałą posadę.

Tu jednak łaskawy los zastawił na niego pułapkę. Posada znajduje się w tej samej puszczy, której Leszek miał wszelkie powody unikać — gdzie mógł spotkać Flora, Helenę, Naścię, świadków jego niesławnego zranienia, niedoszłego zabójstwa i szczeniacko zerwanego romansu. Leszek zrazu broni się; nie może jednak nie przyjąć zaszczytnej nominacji i ulega w końcu w nadziei, że „jakoś to będzie".

Niestety trudno uniknąć spotkań z prowincjonalnej dziurze i chociaż Leszek po przybyciu do miasteczka od razu zaszywa się w puszczę — a nawet żeni się ażeby uniknąć nudów samotności — ta strusia metoda nie na długo skutkuje. Po kolei spotyka wszystkich swoich szpitalnych znajomych. Wynika z tego cały szereg niemiłych i groźnych dla naszego bohatera komplikacji, wśród których amator lasu wyzbywa się szybko swej romantycznej do niego miłości, jak i moralnych skrupułów.

W perypetiach tych ujawnia się wyraźnie kim Leszek był od początku i pozostał do końca: szczeniakiem bez charakteru. Nawet w swych łajdactwach, którymi usiłował się ratować z kłopotów, jest on jakiś niedojrzały, amatorski, naiwny. Kupiec Szapiro, z którym Leszek wszedł w niezbyt uczciwe interesy, ocenił go jako „niepoważnego" człowieka.

Cała sprawa powinna była źle się skończyć dla naiwnego adepta podejrzanych interesów. Od czegóż jednak magia orderu? Przełożeni obchodzą się w rękawiczkach z „bohaterskim

winowajcą" i zamiast wyrzucenia z posady uzyskuje on przeniesienie na inną — z dala od puszczy, której miał dosyć.

Dzieło wybawienia Leszka z kłopotów zostaje wielkodusznie doprowadzone do końca przez znaną nam ze szpitala trójkę, której spotkania Leszek przedtem tak bardzo się obawiał.

A dziecko szczęścia, nie pożegnawszy się nawet ze swymi dobroczyńcami, wyjeżdża z miasteczka na nową posadę.

Cała historia, jak widzimy, ma ironiczne zacięcie jakiegoś „Rewizora z Petersburga". Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nawet tytuł powieści posiada w intencji autora wydźwięk ironiczny. Jakiż bowiem karierowicz z tego „wiecznego szczeniaka", który nigdy do niczego by nie doszedł, gdyby nie łut szczęścia i brak charakteru? Właściwie tytuł powieści powinien brzmieć „Szczeniak". Szczeniak, któremu wydaje się, że jest karierowiczem.

2.

Powieść — formalnie złożona z trzech części — rozpada się jakby na dwa odcinki odmienne w nastroju i sposobie ujęcia: odcinek szpitalny (który stanowi pierwszą część powieści) oraz właściwe dzieje kariery Leszka (wypełniające części dalsze). Części pierwszej patronuje postać Flora; w następnych Flor prawie znika na rzecz Leszka. Myślę, że omówienie powieści należy również podzielić na dwa odrębne odcinki.

Część pierwsza to chyba najlepsze karty, jakie Mackiewicz kiedykolwiek napisał i bodajże trwały wkład do polskiej literatury. Znałem je już z „Kultury" pod tytułem „Przyjaciela Flora", ale czytałem po raz drugi z niezmienioną przyjemnością, potwierdzając sobie w całej osnowie swój pierwotny, wysoki sąd o rzeczy. Mało utworów wytrzymuje bez porażki taką podwójną próbę.

Nie można nadziwić się celności i równocześnie oszczędności środków, którymi autor zdołał na przestrzeni zaledwie kilkudziesięciu stron zbudować ten cały szpitalny świat, z jego ludźmi, zdarzeniami i nade wszystko swoistą wizją życia.

Od pierwszej chwili, gdy Leszek przychodzi do szpitala i wszystka uwaga pielęgniarki przyjmującej go u drzwi skupia się na kocie zamiast na chorym żołnierzu — czujemy się nieomylnie wprowadzeni w prawdę życia, porwani przez jej nurt. I cała część pierwsza pełna jest takich elektryzujących wtajemniczeń, które trzymają czytelnika pod czarem współprzeżywania. Mackiewicz to nie tylko obserwator rzeczywistości, to realista z intuicją, który czuje wątek życia, jak zwierzę las i zawsze umie znaleźć właściwą i — najkrótszą drogę. Jego artystyczne sposoby są zupełnie proste, tak jak proste bywają wielkie wynalazki. Ale trzeba intuicji Mackiewicza, by na nie trafić.

Istota urzeczenia, jakie rzuca na czytelnika „Przyjaciel Flor" leży jednak jeszcze w czymś innym: nie tyle w samej

autentyczności prawdy życiowej, ile w kręgach jakie ona zatacza i nastroju jaki budzi.

U Mackiewicza mały szpital prowincjonalny nabiera cech jakiegoś skrótu życia — podobnie jak okręt na morzu, gdzie w ciasnym kręgu okrętowych ścian dokonywa się z dnia na dzień los zamkniętych w nim ludzi, bez pomocy z zewnątrz, bez możności ujścia i z wielkim morzem dokoła, które kusi więźniów swobodą swoją i bezmiarem, tak jak puszcza kusiła osadzonych w szpitalu Flora i Leszka. Ciężkie westchnienie Flora ,,Ech życie'' unoszące się nad całą częścią pierwszą, urasta do jakiegoś zasadniczego refrenu, do wykładnika nastroju, który na nas z tej opowieści płynie.

Niewesoły to nastrój. Znamy go już z opowiadań Mackiewicza i z ,,Drogi do nikąd'', ale tutaj wszystkie jego elementy skupiły się w szczególnie zwięzłym i przejmującym akordzie: poczucie duszącej ciasnoty, nudy i brzydoty życia; uparte a daremne wyrywanie się z tego więzienia w nieograniczoną przestrzeń, na swobodę; gniewny protest przeciw każdej wierze w ocalenie, ziemskie czy niebieskie; rozpaczliwa pustka rozczarowania i niewiary; i bezsens, bezsens tego wszystkiego.

Nawet bunt przeciw temu wydaje się bez sensu. Bo chyba to nie przypadek, że gniewny dowód Flora przeciw istnieniu Boga — historia z płaszczem jego żony — nie jest właściwie żadnym dowodem, lecz pretensją rozżalonego dziecka, mimo całej swojej pasji i wzruszającego piękna. Chciałbym zwrócić uwagę na to króciutkie opowiadanie Flora o płaszczu; jest ono istną perłą, małym arcydziełem naturalności, psychologii i nastroju. Nie podobna również zapomnieć galerii typów, które spotykamy w szpitalu, od miniatury przestraszonego Lodzia do doktora Dawydowa, co zmieniał nazwiska jak rękawiczki. Każdy z tamtych ludzi narysowany jest jeszcze celniej, przy jeszcze większej oszczędności środków, niż to zazwyczaj bywa u Mackiewicza. Jedynie dla Flora pisarz nie szczędził barw, wycieniował go z nieskrywaną miłością.
Flor to arcyportret Mackiewicza, jakiś swojski, odmienny Nosminuje nad całą powieścią, owymi dziejami ludzkiej miłości i zakłamania, niby dobrotliwy olbrzym, symbol prostego, prawdziwego człowieczeństwa — ze swą dobrocią bez sentymentalizmu, mądrością bez złudzeń i głębokiem umiłowaniem swobody. Przy idealnych prawie wymiarach jest on równocześnie realny w każdym rysie i drgnieniu — po prostu tamtejszy człowiek z puszczy.
Flor to arcyportret Mackiewicza, jakiś swojski, odmienny Nos-tromo, ,,człowiek z ludu''.

Część pierwszą powieści zamyka opis wyprawy Leszka w puszczę. Mackiewicz kocha przyrodę, ptaki, drzewa — ale nade wszystko puszczę, królestwo drzew. Puszcza jest dla tego uciśnionego człowieka wszystkim: miejscem wolnym od ludzi, niezmąconym pięknem, swobodą, wyzwoleniem. Puszcza stoi opodal ciasnoty miasteczka i zaduchu szpitala jak wysokie, wol-

ne niebo nad płaską ziemią. Mackiewicz wiele już pisał o drzewach, o lesie. Cała „Droga do nikąd" snuje się po lasach. Ale w „Karierowiczu" pisarz dał najbogatszy, najlepszy ze swych opisów puszczy.

Start „Karierowicza" jest wstrząsający, głęboki, pełny i artystycznie po prostu bezbłędny. Dalszy ciąg powieści (część druga i trzecia) nie dorasta już do wysokiej miary zakreślonej przez początek.

Zmienia się przede wszystkim ton. Powieść przeradza się w rodzaj gorzkiej komedii a spojrzenie pisarza na Leszka, traktowanego dotąd z życzliwą pobłażliwością — staje się lekceważące i ironiczne, najwyżej z przymieszką litości.

Mackiewicz nie jest pisarzem wesołym, ani nawet ironizującym swobodnie. To pisarz gniewny i smutny; z uśmiechem, nawet gorzkim, mu nie do twarzy. Toteż nie czuje się w nim istotnego upodobania do ironicznej koncepcji dziejów Leszka, jaką sobie postawił, nie umie on uchwycić własnego konsekwentnego tonu, lawiruje pomiędzy ironią i obiektywną analizą psychologiczną — nie jest sobą.

To przejście w obcą pisarzowi dziedzinę, ten brak porwania tematem odbija się na całym opracowaniu kariery jego lekceważonego bohatera. W porównaniu do zwięzłego ale jakże sugestywnego i plastycznego opisu zdarzeń w szpitalu, wszystko niemal, co dzieje się z Leszkiem później jest potraktowane jakoś pobieżnie, nie dość wyraziście i bardziej szablonowo. Mackiewicz jakby się spieszył; szkicuje raczej niż wykańcza. Pierwszorzędny pomysł sfingowanego bohaterstwa nie został przezeń ani wycieniowany, ani wykorzystany w pełni.

Ta sama szkicowość czy niewyraźność rysunku, ten brak prawdziwego umiłowania cechuje również portrety osób, które wysunęły się na czoło w dalszym ciągu powieści: Leszka i jego żony Ani. Oboje oni wydają się jakby malowani wodnymi farbami w porównaniu do rzeźb Flora i reszty ludzi ze szpitala. Czuje się, że to inna robota, choć nie zawsze łatwo określić na czym różnica polega. Znamienne że ilekroć tamci ludzie wkraczają w powieść (wizyta Flora w sprawie budulca, czy spotkanie Leszka z Naścią) powieść nabiera od razu tężyzny i rumieńców życia.

Mackiewicz jest pisarzem, który przede wszystkim widzi, słyszy, czuje. Długie rozbiory psychologiczne nie są mu swojskie ani potrzebne, bo potrafi ukazać nieomylnie przeżycia wewnętrzne człowieka w kilku gestach lub słowach. W opisie przeżyć Leszka Mackiewicz ucieka się często do psychologizowania, jak gdyby do drogi zastępczej; rzekłbyś że ten nijaki bohater nie jest dla niego dość konkretny i bliski — w skutku zaś owo wrażenie szkicowania lub wodnych farb, o których wspomniałem.

Innym znakiem, że do Leszka i jego spraw autor odnosi się z jakąś tłumioną niechęcią jest zbyt już wyraźne przeciw-

stawienie mu ludzi ze szpitala i jaskrawe forytowanie ich pod koniec powieści. W części szpitalnej wszyscy oni Helena, Naścia, nawet Flor byli zwyczajni, ludzcy, ani zanadto źli, ani nieskazitelnie dobrzy. W dalszym natomiast ciągu powieści całe to towarzystwo staje się już wyłącznie i aż podejrzanie szlachetne. Leszek kluczy, kłamie, oszukuje siebie i drugich — oni wyciągają go z tarapatów, nie żądając niczego wzamian i wiedząc dobrze, z kim mają do czynienia.

Kontrasty te są tak wyraziste, że nie pozostawiają wątpliwości, co do intencji pisarza. Z ,,Karierowicza'' wieje ten sam surowy osąd i niechęć do typu współczesnego inteligenta, do nijakości jego uczuć i słabości moralnego kręgosłupa, które wyczuwało się już w obrazie niechlubnego egzaminu inteligencji, jako grupy, w ,,Drodze do nikąd''. Wszystko to byłoby w porządku. Przy czytaniu ostatnich rozdziałów ,,Karierowicza'' doznaje się jednak chwilami niepokojącego wrażenia moralnej powiastki o zacnych prostakach i zdemoralizowanym panku. Osobiście żałuję, że cała trójka szpitalna wyszła na ostatecznym zdjęciu tak już bez jednej skazy. Obawiam się, że cały problem został przez to trochę uproszczony i spłycony.

3.

Przechodzę do wniosków końcowych.

Wydaję mi się, że jako całość ,,Droga do nikąd'' pozostanie na razie najlepszym dziełem Mackiewicza : jest jednolitsza, szersza w swoim zakresie, bardziej przekonywująca szczerością i powagą.

Natomiast jeśli idzie o sztukę powieściopisarską : o ciekawą fabułę, umiejętność rozwinięcia akcji, o żywność jej i napięcie, nawet o wyrobienie stylu — nowa powieść stanowi niewątpliwie krok naprzód. Nie zapominajmy przy tym, że zawiera ona epizod szpitalny, szczyt twórczości pisarza.

W nowej powieści uderza przede wszystkim jej odmienność : poza częścią pierwszą, gdzie pozostał wierny sobie, pisarz potrafił w sposób zdumiewający zmienić rodzaj tematu , spojrzenie, nastrój. Zdawałoby się to świadczyć o nieograniczonych możliwościach jego talentu.

A jednak właśnie ,,Karierowicz'' zakreśla granice tego wielkiego talentu. Wyczuwało się je już w ,,Drodze do nikąd''; teraz widzimy je wyraźnie. Mianowicie — emocjonalny i, pozwolę sobie użyć wyrażenia : natchniony charakter realizmu Mackiewicza, narzuca jego sztuce pewne ograniczenia. Duże napięcie uczuciowe na ogół nie trwa długo, intuicja opuszcza w niespodziewanej chwili swoich wybrańców. I tu wracam do tezy, która świtała mi już przy omawianiu ,,Drogi do nikąd''. Powieść nie wydaje mi się własną dziedziną Mackiewicza. Temu świetnemu pisarzowi brak długiego powieściowego oddechu.

Oba jego ostatnie utwory dowodzą tego — choć każdy na swój sposób. Przy czytaniu ,,Drogi'' można było jeszcze się łudzić: tam bogaty reportażowy materiał wypełnił szerokie ramy powieści, a wstrząsający temat przydał pisarzowi rozmachu i pozwolił mu dokończyć dzieła bez obniżenia lotu — jakkolwiek Mackiewicz musiał sobie pomagać więzią mechaniczną: objazdami bohatera po kraju, by połączyć luźne elementy w powieściową całość. W ,,Karierowiczu'' zabrakło pisarzowi takiego wielkiego tematu i uczuciowej podniety — a raczej dostarczyła jej tylko część pierwsza. Pisarz zrobił imponujący wysiłek, ażeby rozwinąć ten produkt natchnienia w pełną powieść, zapłacił jednak utratą werwy i obniżenia lotu.

Ceterum censeo: Józef Mackiewicz, mimo wybitności swoich powieściowych osiągnięć jest przede wszystkim mistrzem życiowego epizodu, noweli czy dłuższego opowiadania — i to jest jego powołanie. Materiał życia nie układa mu się łatwo w rozległe budowy; natomiast w opowiadaniu potrafi on skondensować w niezapomniany sposób wizję życia, która innemu wystarczyłaby może na wypełnienie *roman fleuve*. Wcale jednak nie żałuję, że Mackiewiczowi niedostaje tego jednego daru. Siły uderzenia, jaka tkwi w kondensacji, nic nie zastąpi.

Wit TARNAWSKI

Listy do Redakcji

Hamburg, luty 1956.

Czytam po raz drugi „Niemiecki Kompleks" Józefa Mackiewicza („Kultura" Nr 1/99) i coraz mniej wiem, gdzie się doprawdy znajduję: na odczycie literackim snobizującego pisarza, przy stoliku kawiarnianym błyskotliwego konferansjera, czy na popisach akrobaty?

Cóż za niefrasobliwe przemieszanie wszystkich płaszczyzn, cóż za skoki, prawdziwie ekwilibrystyczne, cóż za przerzuty od nieprawdopodobnych do jeszcze nieprawdopodobniejszych argumentów.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że patrzę na akrobatę, który ze zwinnością sztukmistrza przeskakuje z poziomu na poziom, z trampoliny na trapez i sam bawi się bardziej własną zręcznością, niż publiczność — denerwującym widowiskiem.

Spróbujmy rozłożyć to wszystko na właściwych płaszczyznach i wyrysować w rozsądnej skali.

Tych płaszczyzn jest kilka, i kto jak kto, ale p. J. Mackiewicz winien je umieć ustawić pod właściwymi kątami.

Oczywiście zgadzam się z nim, że całkowitą naiwnością jest wymaganie od matki czy krewnego zamordowanej ofiary, by rozgrzeszał on mordercę w pamięci zbrodni uprzednio popełnionych. Jest to rzeczywiście „postulat nierealny", sprzeczny z kierunkiem działań instynktów ludzkich.

Czyż p. Mackiewicz nie widzi jednak, że jego „postulat", aby Polacy, uważający się za anty-totalitarystów, tym goręcej musieli potępiać sprawców zbrodni na Niemcach, — jest w tym samym stopniu sprzeczny z instynktem ludzkim?

W świecie natury, do którego należą instynkty (p. Mackiewicz jest przyrodnikiem, więc prawa natury musi znać dobrze), każda akcja musi wywołać reakcję. Piłka rzucona o ścianę musi się od niej odbić, jak rzucona w twarz nienawiść — odbić się musi nienawiścią.

W tym świecie natury i na tej płaszczyźnie instynktów najbardziej zasadniczą jest właśnie kwestia „akcji", wywołującej „„reakcję", kwestia „kto pierwszy zaczął?", gdyż w najbardziej wulgarnym uproszczeniu sprawa sprowadza się do sytuacji: „gdybyś mnie nie uderzył — to bym ci nie oddał".

Istnieje oczywiście inna płaszczyzna, a raczej szereg częściowo nakładających się płaszczyzn: chrystianizmu, humanitaryzmu, ludzkości itd. — na których ta sama sprawa wygląda całkiem inaczej. Prawdziwy chrześcijanin za zło i krzywdę winien odpłacić pozytywnym dobrem, humanitarysta — przynajmniej poniechaniem zemsty.

Człowiek jednak, o czym znów dobrze przyrodnik Mackiewicz wiedzieć musi, zbudowany jest na masie swych zwierzęcych instynktów i nader często zdarza się, że wyskakują one ze swych kryjówek, gdy czyjeś brutalne ręce gniotą na miazgę delikatną tkankę „ludzkości" w człowieku.

Mimo wszystko, czytając ze ścierpłą skórą podane przez Mackiewicza

przykłady rosyjskich czy czeskich bestialstw, nie mogę się uwolnić od instynktownego, refleksyjnego niemal odruchu — że przecież to nie oni „pierwsi zaczęli", że byli to mordercy i zbrodniarze „w afekcie".

Otóż właśnie: w afekcie. Znający „naturę" człowieka prawodawca przewiduje możliwość łagodniejszego wymiaru kary za czyn zbrodniczy, jeśli popełniony on został „w afekcie". Na płaszczyźnie moralności i prawa czyn ten nie uzyskuje przez to kwalifikacji czegoś gatunkowo „lepszego". W płaszczyźnie jednak psychologii ludzkiej czyn taki staje się bardziej *zrozcmiały*, mniej obrażający „kolektyw" (że użyję terminologii p. Mackiewicza)), mniej niebezpieczny. Po prostu poruszony do głębi swojej zwierzęcości człowiek „nawalił" i postąpił nie *po ludzku*.

Ale np. kwestia odpowiedzialności moralnej za sprowokowanie takich „zbrodni w afekcie" — to znów inna płaszczyzna i wcale znów nie taka śliska, by nie można było na niej znaleźć kilku mocnych punktów uchwytu.

Popatrzmy jednak jak skonstruowana jest główna trampolina p. Mackiewicza, z której odbija się on do najryzykowniejszych skoków — kwestia „zbiorowej odpowiedzialności".

Przez wiele lat przedwojennych sprawa była beznadziejnie jasna. „Zbiorową odpowiedzialność" zna jedynie barbarzyństwo. Wielkie duchy wieku oświecenia i wielki duch humanitaryzmu XIX wieku wychował nas w najsłuszniejszym, wydawałoby się, przekonaniu, że każdy odpowiadać może tylko za swój czyn, nikt nie może być karany za winy czy czyny innych.

Gdy w listopadzie, czy grudniu 1939 roku stu trzydziestu mieszkańców podwarszawskiego osiedla Wawer zostało rozstrzelanych w odwecie za zabitego w burdzie karczemnej żołnierza niemieckiego, cała Warszawa zachłysnęła się przerażeniem. Potem potoczyła się już lawina: polskie Palmiry i Majdanki miały swe czeskie, ukraińskie, rosyjskie i francuskie odpowiedniki. Zbiorowe morderstwa w ramach „zbiorowej odpowiedzialności" stały się przez długie lata powszednią rzeczywistością europejską.

Jak to było możliwe, że w owej ucywilizowanej przez wieki renesansu, oświecenia, humanizmu i humanitaryzmu Europie, ukazało się nagle widmo z czasów Dzingis Chanów?

Jak jest to możliwe, by tak inteligentny publicysta, jak p. Mackiewicz, mógł widzieć w nazizmie tylko „zorganizowaną bezduszną machinę"? Cóż za nieodpowiedzialna czarnokawiarniana terminologia.

Cały problem niemiecki — nie tylko niemiecki — cały obecny problem ludzkości polega na przerażającym fakcie, że rozmaite nazizmy, faszyzmy i totalizmy nie są *machiną* — lecz żywym *organizmem*. Nie są one czymś tylko mechanicznym, przecierającym ze zgrzytem w trybach masę ludzką, lecz czymś organicznym — są produktem samej tej masy.

Największy humanista XX wieku (że tak ośmielę się go nazwać) Jose Ortega y Gasset w swej książce „Rebelia Mas", wydanej na długie lata przed dojściem Hitlera do władzy, powiedział o nazizmach rzeczy tak głęboko trafne i odsłonił tak przerażające perspektywy toczącego się procesu — że „zagadka niemiecka" nie powinna być już dla nikogo nierozwiązalnym rebusem.

Wszystkie nazizmy, faszyzmy i totalizmy rosyjskie (podkreślam: rosyjskie, ponieważ komunizm jest tylko mimikra biologicznej masy rosyjskiej, walczącej o ekspansię), są według nomenklatury hiszpańskiego filozofa *ruchami masowymi*. To nie „klika", która terrorem trzyma cały naród (chociaż klika i terror należą do najbardziej „podpadających" cech zewnętrznych totalizmów), to nie tylko „bezduszna zorganizowana machina" (chociaż ona właśnie umożliwia *techniczny* rozrząd tych systemów) — to przede wszystkim *masa*, masa ludzka tworzy organizm tych „ruchów". Wiek XVIII stworzył ideologię, a wiek XIX wytworzył ramy praktyczne z których

wyszedł w wieku XX-tym *człowiek masy*, — homo vulgaris. Człowiek ten o infantylnym mózgu pół-nieuka, zepsuty łatwością warunków życiowych, zapewnionych mu przez wielki rozwój techniki (ten czynnik nie gra jeszcze roli w Rosji), karmiony pseudo-nauką wulgarnej popularyzacji i pseudo-ideologią gazeciarską, uwierzył wreszcie w to, co mu od czasów oświecenia wmawiano: że to on właśnie powinien wziąć rządy w swe ręce, do niego, a nie do jakiejś historycznej „elity" należeć ma władza.

Spójrzmy na sylwetki owych „dyktatorów" XX-go wieku. Mussolini, Hitler, Stalin — zarozumiali, niebezpieczni pół-nieucy wypełnieni jednak żarliwą wiarą w swą dojrzałość i zdolność do „czynów" — w nich właśnie, jak w najlepszym zwierciadle odbija się twarz „człowieka masy".

Nie jest żadnym paradoksem ani żadną, jak chce Mackiewicz, „nierozwiązalną zagadką", skąd w Niemczech, owym, przed wiekiem, kraju myślicieli i poetów, wyskoczył nagle hitleryzm. Wcale nie wyskoczył — on organicznie narósł. Naród niemiecki w latach 1930-tych nie składał się wcale z tych samych elementów, co w roku 1830-tym. Na pierwszy plan sceny wyszła właśnie masa — masa tych milionów, o które, dzięki warunkom zapewnionym przez postęp techniczny, powiększył się w stuletnim okresie ten naród.

Wyjście Hitlera na czoło tej masy nie było jakimś niesamowitym przypadkiem, czy spiskiem kombinujących na odwetową wojnę niemieckich kapitalistów. Został on wypchnięty w górę ruchem tektonicznym masy, podobnie jak erupcja wulkanu przygotowana jest przez lata podziemnych ciśnień. Uosabiał on we wszystkim, w swoich poglądach i pseudo-filozofii, metodach działania, braku skrupułów, brutalności, grze najniższych instynktów i przede wszystkim w swej chęci narzucenia wszystkiemu i wszystkim swej przeraźliwej przeciętności (nikogo rozsądnego nie mogą przecież wprowadzić w błąd jego kabotyńskie zgrywania się na „geniuszowstwo), — człowieka masy. Ten człowiek go rozpoznał, poparł go, oddał mu się całkowicie i stał przy nim wiernie do momentu ostatecznej katastrofy pod berlińskim bunkrem.

Jedną z głównych cech charakterystycznych „człowieka-masy" jest jego niezdolność myślenia kategoriami historyczno-filozoficznymi. Jego myślenie jest tylko logiczną maską, nakładaną na nagie oblicze instynktów i popędów. Człowiek masy jest barbarzyńcą, robiącym „porządek" w pałacach i muzeach naszej kultury. Pod jego ręką kruszą się najcenniejsze dzieła przeszłości, jego stopa miażdży bezcenne skarby wielu wieków. W stosunku do innych narodów człowiek masy jest również tym samym barbarzyńcą. Nie ma kresu dla jego życiowej ekspansji, jego chęci życia kosztem innych. To ten właśnie popęd poruszał nogami żołnierzy niemieckich po Atlantyk, po fiordy i po Wołgę.

Od barbarzyństwa krok tylko dzieli do bestialstwa. Wszystko to, co wówczas działo się w Europie nie było dziełem „bezdusznej, zorganizowanej machiny" — a wyzwolonej z więzów ludzkiej bestii, skokiem wstecz w czasy Dzingis Chanów.

Nie należy też zapominać, jak wielką rolę w manifestacji tego bestialstwa odegrała — kompensacja.

Trzymany przez szereg pokoleń w sztywnej obroży pruskiego drylu człowiek masy, zmuszony do stłumienia wszystkich instynktów i odruchów w tej najostrzejszej z tresur społecznych, poczuł naraz popuszczenie łańcucha —został spuszczony na innych. Uwięzione i niewyżyte energie psychiczne były tak potężne, że efektem ich nagłego wyzwolenia — był wybuch.

Tak, w przybliżeniu, wyglądała rzeczywistość niemiecka tamtych lat.

Gdy w roku 1945 zwycięzcy alianci zapragnęli „re-edukować" naród niemiecki, spotkali się oko w oko z przerażającym faktem: poza więzieniami i obozami koncentracyjnymi nie można było w całych Niemczech

znaleźć przysłowiowych ,,10-ciu sprawiedliwych". Ci, co nie byli Parteigenosse byli na pewno Mitlaeuferami. Oczywiście skrót ten jest karykaturalnie przesadzony; karykaturą jednak w dużo większym stopniu była owa osławiona ,,denazyfikacja". Dla uczciwej denazyfikacji zabrakło po prostu uczciwych denazyfikatorów.

To,co w następnych latach wydarzyło się w Niemczech, należy do najbardziej złośliwych figlów historycznych. Po wieloletnim nazistowskim Rauschu, po krótkim okresie paraliżującego przestrachu, w Niemczech Zachodnich powstała autentyczna republika demokratyczna ze zdrowym systemem partyjnym, dobrze funkcjonującym parlamentem, sprawnym rządem, względnie rozsądną opozycją. Co się właściwie stało i komu należy ten fakt zawdzięczać? Z pewnością nie alianckiej ,,re-edukacji" i błazenadzie denazyfikacyjnej. Sądzę, że najbliższym prawdy będzie stwierdzenie, że niezwykły ten efekt spowodowany został również przez *masę*. Bez jej poparcia najzręczniejszy i najinteligentniejszy polityk w rodzaju Adenauera nie zaszedłby zbyt daleko. Adenauera poparła masa. Dowodem na to były ilości głosów wyborców, jakie zebrał. Zapyta ktoś: jak to jest możliwe, że ta sama masa, popierająca przed kilku laty i wierząca bez zastrzeżeń w uwodzicielskiego demagoga, poparła po kilku latach, znów bez zastrzeżeń, jego jaskrawe przeciwieństwo — rozsądnego, realnego i umiarkowanego polityka? Odpowiedź jest niezmiernie prosta: daje ją zawiedziona wiara masy. Kto żył w latach 1945-1947 w Niemczech, zna dobrze te nastroje. Każdy Niemiec czuł się przez Hitlera oszukany, zawiedziony. Hitler, w ciągu tygodnia, stał się z bożyszcza przedmiotem powszechnej nienawiści. Tak reagować może tylko masa — emocjonalnie. Wierzyli w niego do ostatniej chwili —a on ich tak zawiódł. Więcej — zabił w nich całą wiarę w niepokonalny Herrenvolk. I oto po kilku latach przychodzi reforma walutowa, sklepy zaczynają się napełniać żywnością, pensje pracowników zaczynają nabierać rozsądnego stosunku do cen, fabryki zostają odbudowywane z gruzów. Na czele rządu staje człowiek, pokazujący każdemu prosty i jasny cel: odbudowanie własnego mieszkania, domu, warsztatu pracy... Adenauer nie mógłby sobie wymarzyć lepszej koniunktury psychologicznej w narodzie.

Ta ,,zmiana twarzy" masy niemieckiej po roku 1948 nie jest znów czymś niesamowitym, lecz prostym rezultatem faktu, że masa po prostu nie ma żadnego oblicza, ma tylko *miejsce na twarz*, na które nakładać może wypożyczane maski. Dzisiaj narastają w Niemczech inne i niebezpieczne trudności — ale to odprowadziłoby nas zbyt daleko od naszego tematu.

Świadomość o ,,masowości" ruchu nazistowskiego była powszechną w opinii świata w latach wojny. Tym należy tłumaczyć fakt, że pierwszym odruchem zwycięzców była chęć jakiejś reakcji przeciw — masie niemieckiej.

Szereg drakońskich (choć od początku skutecznie sabotowanych) zarządzeń z lat 1945-1946, masowe rekwizycje mieszkań, mebli, owe nader krótkotrwałe i ośmieszone zakazy ,,fraternizacji", były widomym znakiem szukającej rozładowań kompensacji.

Dokonano jednak jeszcze poważniejszej próby kompensacyjnej. Był nią proces norymberski, pierwszy w historii świata proces przeciwko politykom i wojskowym zwyciężonego państwa, osądzonym przez opinię ludzkości za zbrodniarzy wojennych. Cokolwiek by się o tym procesie nie powiedziało, jakiekolwiek argumenty przeciwko niemu nie wytoczyło (między innymi ten najpoważniejszy, że wśród sędziów zasiadał jeden ze zbrodniarzy wojennych) — stało się tu coś w historii świata zupełnie nowego. Obrażone poczucie moralne ludzkości umiało sięgnąć ręką po winnych. Był to akt symboliczny. Winnych było nie kilkudziesięciu, a... znacznie więcej. Było w tym coś z symbolu i jednocześnie coś z magii. Wybrano kilkanaście kukieł, którym przebito serca szpilkami — tym przekłuciem zabijano jednak w każdej

duszy nazistowskiej mit narodowej sagi bohaterskiej. Ten wstrząs był konieczny. Do „człowieka masy" nie trafia się argumentem i filozofią, dobrze wymierzony cios doprowadza go jednak do przytomności, jak trafne uderzenie stawia na nogi pijanego. Masa niemiecka odczuła ten cios — i zareagowała właściwie.

Podkreślić jednak należy z całym naciskiem, że z wyjątkiem pierwszych odruchów afektu, przybierających czasami formy tak przeraźliwe, jak opisane przez p. Mackiewicza, „odwet zwycięzców" przede wszystkim po tej stronie Łaby — był żaden, lub prawie żaden. Musimy to uznać za wyjątkowy sukces: lata wojennego barbarzyństwa cofnęły się, ustąpiły przed porządkiem moralnym cywilizowanej ludzkości.

Pozostaje jeszcze do rozważenia ostatnio kwestia: w jakim celu p. Mackiewicz napisał swój essay?

Jeśli była to próba rozładowania „kompleksu niemieckiego" u Polaków, to była ona przedwczesna, pohopna i stanowczo nie udana. Przedwczesna, gdyż zestawienie sytuacji, w jakiej obecnie znalazły się „kwestie" niemiecka i polska, budzić może u nas tylko głęboką gorycz. Nie udana, gdyż do rozładowywania kompleksów potrzebne jest ścisłe stosowanie metod psychoanalitycznych. Taki essay pisze się nie w kawiarni, a przy biurku psychologa.

Jeśli jednak za artykułem kryła się jakaś chęć zszokowania potulnych „rodaków" wyjątkową woltą, jakaś gombrowicziada — to cel został osiągnięty.

Sądzę, że nie tylko ja ale i wielu innych czytelników poczuło się zszokowanymi.

J. HORSKI



Drogi Panie Redaktorze — proszę o głos!

W numerze 101 Pańskiego Pisma p. Mieroszewski jeszcze raz podnosi sprawę porozumienia polsko-niemieckiego. Nie jestem — mówi — za Niemcami. Jestem przeciwko Rosji.

To motyw słaby. Przeciwnik każdy sparuje go łatwo lotnym słóweczkiem o diable i belzebubie. Wolałbym obyć się bez tego wyboru.

Ale ważniejszą jest rzeczą, że nie koniecznie rozumiem, co znaczy w tym wypadku słowo porozumienie. Kto z kim? P. Zaleski z p. Adenauerem? Czy Rada Trzech z Kanclerzem? Czy np. ND z FDP, albo PPS z SPD? Żadna z tych stron nie może zawrzeć żadnej umowy, bo Kanclerz Niemiec Zachodnich w sprawach kapitalnych, dotyczących przyszłości, odwołuje się do reprezentacji Zjednoczonych Niemiec.

A dalej. Co my możemy dać ze swojej strony? Pakt o gwarancji? A może układ handlowy? Do każdych pertraktacji przyszlibyśmy z pustymi rękami.

Otóż trzeba zejść z płaszczyzny pertraktacyj i wyrównania różnic. Trzeba znaleźć wspólny interes obu, ba, więcej niż obu narodów. Trzeba sobie zdać sprawę, czy wspólny interes istnieje, czy nie. Czy istnieje kierunkowa bodaj do tego interesu. Odpowiedź sam p. Mieroszewski dał już nieraz. Tym wspólnym interesem może być — waham się w tej chwili z użyciem terminu — Zjednoczona Europa czy Federacja Europejska, czy Europa zszwajcaryzowana. Pojęcie — przyznaję jest płynne, dla którego dotąd okre-

ślonej ściśle definicji nie znaleziono. Ale przecie jedynie w zrealizowaniu go narody — nie tylko Polski mogą uzyskać to, co niezupełnie ściśle nazywamy niepodległością — czyli pełnię praw rządzenia u siebie. Zjednoczenie, które urzeczywistnia prawa ludzi bodaj według Karty Narodów Zjednoczonych. I sądzę, że nadszedł czas do poważniejszej i bardziej realistycznie ujętej pracy nad urobieniem tego pojęcia, nad daniem mu pełnej treści nie jako marzenia grupy inteligenckiej, ale jako programu.

Leży to w interesie narodów i francuskiego i belgijskiego i polskiego i niemieckiego i wielu innych. Bez Polski tak jak bez Niemiec tego zjednoczenia urzeczywistnić się nie da. Na tej płaszczyźnie urabiania opinii we wspólnym interesie spotykać się trzeba. I trzeba — z czasem — tym spotkaniom nadać cechy organizacyjne. Bo ten program musi być szerzony równie dobrze wśród Francuzów jak wśród Niemców i Ukraińców i Litwinów i Polaków. Dopiero gdy ta opinia zostanie urobiona — będzie można przejść do pracy wyraźnie organizacyjnej. Wtedy i granice i uprawnienia wydedukuje się z przyjętych zasad.

Bodaj bym się mylił — ale nie jest to sprawa krótka. Wymaga olbrzymiego wysiłku. I — chyba nie ze strony czynników politycznych.

Proszę przyjąć wyrazy poważania i przyjaźni.

Adam UZIEMBŁO

◆

Ankara, w marcu 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

W nadzwyczaj interesującym szkicu Czesława Miłosza, poświęconym życiu i pismom ojca Conrada, Apollona Nałęcz-Korzeniowskiego, poruszone zostały kwestie związane z powstaniem Styczniowym. Pewne niedokładności w ich przedstawieniu wymagają sprostowania, względnie uzupełnienia.

Manifest Aleksandra II z 19 lutego (3 marca) 1861 był aktem ,,oswobodzenia włościan'', czyli zniesieniem tzw. *Kriepostnawo prawa, i* nie był rozciągnięty na gubernie Królestwa Polskiego dlatego, że swoboda osobista właścian istniała tam od czasów Księstwa Warszawskiego, od 1807 roku. Nie był to więc, jak mylnie pisze autor, ,,manifest uwłaszczenia chłopów'', a tylko umożliwiał tym ostatnim, jako odtąd wolnym ludziom, nabywanie części uprawianej przez nich ziemi, zresztą na bardzo niedogodnych warunkach. Dopiero na skutek powstania polskiego i aktu Rządu Narodowego, zapowiadającego uwłaszczenie włościan, ponowionego w końcu 1863 przez dyktatora Traugutta, wydany został ukaz cesarski z 2 marca 1864 o uwłaszczeniu, ograniczony tym razem do Królestwa. Akt ten był, w przeciwieństwie do aktu z 1861 roku, aktem uwłaszczenia właścian, to znaczy nadawał im ziemię, przez nich uprawianą, w zasadzie bez wynagrodzenia. Jako obowiązujący w Królestwie, objętym powstaniem, był aktem konkurencyjnym, mającym na celu przychylne usposobienie chłopów dla władz carskich.

Zacytowane przez autora ostre i bezwzględne sądy o polityce powstania Styczniowego wymagają również komentarza i bez takowego wprowadzają w błąd. Podstawą polityki powstańczej były rachuby na interwencję mocarstw zachodnich, w szczególności Anglii i Francji. Rachuby te, wobec precedensu 1855 roku, ówczesnej zbiorowej akcji mocarstw, nie były bezpodstawne. Od świadków tamtych czasów wiem, że nawet najkrytyczniej

do powstania zbrojnego odnoszący się, trzeźwi politycy, uważali noty państw zachodnich z 17 kwietnia 1863 za zwrot w sprawie polskiej zasadniczy, i w myśl dyrektyw otrzymanych z Paryża doradzali czynnikom ruchu — trwać.

◆

Przy tej sposobności, niech mi wolno będzie odpowiedzieć na list p. Chylińskiego w sprawie Umowy Suwalskiej z 7 października 1920. Oczywiście, nie był to żaden traktat polityczny, była to umowa o zawieszenie broni. Rzecz w tym, że tego rodzaju układy prowadzą zazwyczaj do rokowań pokojowych; w tym zaś wypadku, właśnie w dniu kiedy zawieszenie broni między wojskami litewskimi a polskimi miało wejść w życie, 9 października, nastąpiła akcja Generała Żeligowskiego na Wilno, zajęte wówczas przez siły zbrojne litewskie. Dlatego, starając się zrozumieć uczucia Litwinów, pisałem („Kultura", Nr 98) że „niewypełnienie Umowy suwalskiej wyżłobiło ciężką urazę". Stwierdzałem tylko fakt niewypełnienia umowy i urazy Litwinów, a zaraz w następnym zdaniu wymieniałem fakty poprzednie — Traktat litewsko-sowiecki z 12 lipca, usprawiedliwiający postępowanie strony polskiej.

Dyskusja między Polakami a Litwinami dzisiaj powinna stać powyżej interpretacji czysto prawniczej. Toteż w moim skromnym do takiej dyskusji przyczynku chodziło mi o umacnianie „pomostów zgody" polsko-litewskiej, nie zaś o wykazanie większego czy mniejszego znawstwa przepisów Umowy Suwalskiej.

Z prawdziwym poważaniem

Michał SOKOLNICKI

◆

Iscoyd Park, 30. 1. 1956.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze !

Ja osobiście, ani mówcą, ani też pisarzem nie jestem, a natomiast oblatałem się po lwowsku powiedziawszy między ludźmi na emigracji, a wylądowałem w angielskich szpitalach po odbyciu krajoznawczej wycieczki po „Raju" sowieckim z 10-letnim wyrokiem, za co, to nawet ten co mi je dawał z pewnością nie wiedział, po całej bardzo wyczerpującej eskapadzie, naturalnie na koszt rządu sowieckiego wylądowałem w Buzułuku i stąd już z A.P.W. dalej — koniec. Obecnie zetknąłem się z „Kulturą". Z p. gen. Rayskim jechałem samochodem we Forli w czasie akcji (ja prowadziłem samochód p. gen. R. Odzierzyńskiego), a p. gen. szedł do swego samolotu — podwiozłem , a to z polecenia i z p. gen. R. O. na lotnisko, a wówczas też zrozumiałem, że gdyby było dużo takich ludzi to by nie było 1939 roku i dziś gdy przeczytałem jego „Uwagi o Lotnictwie Polskim we Wrześniu", to przypomniały mi się jego rysy twarzy i postanowiłem napisać do Was Panowie z podziękowaniem za tę prawdę, bo naprawdę trzeba mieć dużo odwagi i wydrukować a nie tylko powiedzieć — słowo drukowane nie znika tak prędko jak powiedzonko. To jedno. Drugie to artykuł p. S. Czaplińskiego o założeniu banku, dobra myśl i gdyby ją „rozwałkować" lepiej nie czekając aż ktoś ubiegnie to byłaby kopalnia złota tak dla społeczeństwa, polskiego jak i sprawy polskiej. Całkiem poprostu na podstawie akcji po £1.0.0. lub więcej, a potrzebna kwota by się

prędko znalazła, nawet między szaraczkami. Znaleźć tylko kilku ludzi którzy by się tym zajęli i pieniądze by się znalazły.

Dalej, Szanowny Panie Redaktorze! Czy mógłby mi Pan np. wytłumaczyć dlaczego to nigdzie (a może nie czytałem) żadnej wzmianki o gen. Zulaufie, jeden z obrońców Warszawy, ja byłem z nim aż do dnia kapitulacji i później na jego to rozkaz odszedłem, a tyle czasu czytam rozmaite pisma, wspomnienia, a o tym człowieku to ani słowa. Ja byłem w szkole kiedy on był w 19-tce we Lwowie, a później w DOK Kielce i w 1939 dowódcą II-go Rzutu 5-ej Dyw. Obrony Warszawy. Pytam tak po prostu z ciekawości, bo ten człowiek był dla nas to znaczy jego żołnierzy (1939) naprawdę wszystkim i są tu w Londynie ludzie, którzy byli z nim dalej. Dlaczego ani słowa o nim, myślę, że p. gen. Rayski go zna i mógłby coś powiedzieć, a warto. Kończę Panie Redaktorze życząc dalszego pomyślnego rozwoju.

Pozostaję oddany

A. MOROZ

•

South Bend, Indiana, USA, 7 marca 1956.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Nie wiem dlaczego Sz. Redakcja tak mało miejsca poświęca w rubryce listów problemowi tak głośnemu na Zachodzie jakim jest jej ,,odezwa do 48". Z dwóch możliwości: że nie powiększył się worek poczty redakcyjnej lub że się otrzymanych listów nie ogłasza, nie chcę wierzyć żadnej. Pozwalam sobie przesłać, z zacisza biblioteki Uniwersytetu Notre Dame, parę uwag na ten interesujący temat.

Skrupulatna i spokojna, przeprowadzona za oceanem i z dala od centrów gorączki politycznej emigracji, analiza powodów ogłoszenia tej odezwy wydobywa następujące możliwości:

1. ,,Sancta simplicitas" P.T. Redakcji, doskonale scharakteryzowana przez p. J. Kowalewskiego w liście ogłoszonym w numerze 1/99. Argumenty jego są wystarczające żeby powątpiewać w niejednokrotnie podkreślaną przez pismo Panów znajomość obecnych stosunków w Polsce i realiów polityki w ogólności.

2. ,,Wyrwało się" pod wpływem temperamentu i zapalczywości, cech nie zawsze właściwych u publicystów mających ambicje więcej niż literackie, bo i polityczne. W tym świetle odezwa ,,Kultury" zbliża się do określenia jak w punkcie pierwszym.

3. Stanowisko ,,polityki realnej", gotowej pertraktować z każdym rzeczywistym odłamem opinii politycznej Kraju. Taka realna polityka zakłada znajomość systemu komunistycznego i oceny czy jest w nim miejsce na ,,niezależne grupy społeczne". Skądinąd przypadkowa lista nazwisk 48 sygnatariuszy, nie mających między sobą nic wspólnego poza wybiciem się na różnych polach, nie pozwala na określenie jej jako zorganizowanej grupy w socjologicznym czy politycznym znaczeniu tego słowa. Lepiej pod tym względem wyglądająca grupa ,,Pax", jest, jak to dobrze wiemy, znacznie bardziej marionetką Bezpieki niż czymkolwiek innym. Bardziej ,,realnym" byłoby w związku z tym zwrócenie się do B. Piaseckiego i jego współpracowników, w dodatku łatwiej mogliby zdobyć się na sfinansowanie podróży niż ci z ,,48".

4. Pogoń za sensacyjnością ze strony P.T. Redakcji — czy wypada żeby poważne pismo literacko-kulturalne puszczało się na takie „czerwoniackie" wody? Niedzielne pisma angielskie zyskują swoimi „shockers" rozgłos i nowych abonentów — nie wiem jak to drugie wygląda w wypadku „Kultury", ale rozgłos posiada ona dzięki Jordanowi, Gombrowiczowi, Kowalewskiemu, Miłoszowi, Wieniewskiemu (żeby wspomnieć tylko kilku), a nie przez sensacje które zakrawają na naiwność. Pismo tego kalibru najbardziej chyba powinno obawiać się śmieszności przez właśnie naiwność i ignorancję dziedzin tak poważnych jak np. polityka.

5. Podkreślenie „non-konformizmu" pisma — zamiar na ogół pożyteczny jeżeli prowadzi do wyników konstruktywnych. W konkretnym przypadku nie udał się wobec zdecydowanej naiwności wystąpienia.

6. Próba stworzenia „grupy społecznej" przez wzięcie poważnie możliwości istnienia takowej w dzisiejszej Polsce. Wprawdzie wynurzenia p. Światło pociągnęły za sobą szereg zmian w organizacji wewnętrznej U.B., ale nie spowodowały jego zniesienia, bo oznaczałoby to samobójstwo systemu, któremu instytucja ta jest tak samo potrzebna do życia jak wolne wybory demokracji. Czy wobec tego można było liczyć na samo-likwidację teorii społecznych komunizmu przez zezwolenie na powstawanie samodzielnych grup społeczno-politycznych? Non-konformizm istnieje w demokracji, która się na nim opiera, ale nie w soc-realizmie który od niego ginie. Próby, wobec tego, stworzenia grupy społecznej przez akceptację sugestii zawartej w ulotce propagandowej są znowu przynajmniej naiwnością.

7. Możliwość „złej woli" ze strony P.T. Redakcji, jak to sugeruje wystąpienie Zarządu Związku Dziennikarzy, ale nasuwa się pytanie: wobec kogo? Mogłaby tym być chęć uprzedzenia akcji jakiegoś większego i bardziej, przynajmniej liczbowo, reprezentacyjnego ciała emigracyjnego jak np. TRJN, ZPZ, ZRRP itp. Jednak wypowiedzi tych organizacji i rozmaitych pism emigracyjnych jasno zaliczały „odezwę 48" do trików propagandy reżymu i w ten sposób wykazały realność ich polityki cechę której tak często się im odmawia.

Chęć pokazania masie emigracyjnej że jest ktoś kto czuwa i wykazuje inicjatywę — dobrze, ale jaką? Jeżeli oparta jest ona na przekonaniu że taka grupa społeczna istnieje naprawdę to wracamy do punktów 1, 2 i 3. Jeżeli zaś wypływa z przeświadczenia że rozmawiać można nawet z osobami instruowanymi przez U.B. to dochodzi się do stanowiska odrzucanego konsekwentnie przez Syngmana Rhee, Czang-Kai-Szeka, nie mówiąc o licznej rzeszy emigrantów europejskich. Tutaj leży sedno rzeczy wspomniane przez Związek Dziennikarzy: „i... przestrzec polskie społeczeństwo emigracyjne przed niebezpiecznymi konsekwencjami politycznymi". Zresztą jeżeli chce się koniecznie rozmawiać z reprezentantami reżymu to po co narażać ich na wydatek związany z przywiezieniem 48 osób do Francji — można to zrobić w ambasadzie w Paryżu i z takim samym skutkiem jeśli chodzi o zaczerpnięcie wiadomości z Polski. Jedyne co się traci to opinię, że jest się bezkompromisowym przeciwnikiem reżymu i wszystkiego co on reprezentuje — w warunkach naszego życia na Zachodzie jest to zła wola w stosunku do samego siebie, tak zła że gorszej być nie może.

Następnym pytaniem jakie należy sobie zadać w tej analizie jest: jaki był odzew na wezwanie Sz. Redakcji? Jeżeli chodzi o Kraj to odpowiedź jest całkowicie negatywna, bo innej być nie mogło. System tamtejszy nie ugnie się i nie zmieni pod wpływem wezwania „Kultury". To co mówi czy pisze Florczak, agent z zamiłowania i gotów służyć każdemu za miesięczną pensję, może być brane pod uwagę tylko jako wynurzenia Bezpieki. Tzw. kompromitacja reżymu komunistycznego też nie może być brana poważnie w roku 1956, w piętnaście lat po Katyniu, dwanaście po Po-

wstaniu Warszawskim, dziewięć po wyborach itd. Znacznie ważniejsza natomiast była gama reakcji na emigracji, rozciągająca się od zarzutów agenturalnych do wyśmiania, z tym że po początkowym wybuchu sprawa zniknęła z łam prasy w myśl maksymy „co z oczu to z pamięci" i pewnego zakłopotania że są jeszcze naiwni intelektualiści i publicyści na emigracji.

Wobec tego nasuwa się pytanie: co dalej i jak wybrnąć z tego impasu? Możliwości, wydaje mi się, są trzy:

1. Przemilczeć i zapomnieć; czas zmyje plamę z tarczy, a pisarze z „26-letnim" doświadczeniem politycznym potrafią zwrócić uwagę ogółu na inne zagadnienia, może mniej błyskotliwie, ale za to poważniej i ostrożniej.

2. Przyznać się do błędu — naturalnie wymaga to dużo odwagi osobistej i zdolności oceny prawdziwej sytuacji. Jest to raczej mało prawdopodobne wobec tego że P.T. Redakcja żyje na non-konformizmie, mniejsza z tym czy słusznym i czy z przekonania, iż taka decyzja spowodowałaby „stratę twarzy" w jej przekonaniu.

3. Uznać że PZPR, rząd reżymowy, „grupa społeczna", U.B. itp. „ulękły się" inicjatywy „Kultury" i wycofały się niesławnie z sytuacji stworzonej zaproszeniem. Artykuł P.H. w numerze 2/100 i notatka P.T. Redakcji zdają się wskazywać że to jest linia wybrana. Upieranie się przy pojęciu „grupy społecznej" i insynuacje pod jej adresem à propos „zręczności manewrowania wśród nie znoszących sprzeciwu władz i nieznajomości spraw emigracyjnych" jest albo nieodpowiedzialną dziecinnadą albo ciężkim oszczerstwem wobec ludzi którzy w większości zasługują na znacznie większe poszanowanie niż p. P.H.

W konkluzji pozwalam sobie wysunąć następujące sugestie: wobec faktu że wystąpienia literackie są znacznie bardziej w zakresie sił i zasobów zespołu współpracowników „Kultury" czemu psuje się je wycieczkami w dziedzinę polityki, rzeczy znacznie bardziej złożonej i wymagającej gruntownej znajomości przedmiotu i zdrowego sądu? Jest to szczególnie ważne w wypadku wydarzeń najświeższych, gruntu grząskiego i niepewnego dla publicystów poza tymi najbardziej doświadczonymi. W żadnym natomiast wypadku nie rzucajmy oszczerstw, podejrzeń i insynuacji na ludzi którzy nie mogą się bronić — używając słów J. Kowalewskiego: „nie zapisujmy na konto społeczeństwa... wystąpień i występków reżymu".

Życząc dalszej owocnej pracy na polu kulturalnym pozostaję
z wyrazami głębokiego szacunku,

Stefan C. MACZYŃSKI



Toronto, 27 lutego 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

W chwili gdy „Kultura" jest przedmiotem najbardziej niewybrednych ataków, pragnę przesłać Panu słowa sympatii i uznania za prowadzoną odważnie walkę w obronie niezależności myśli polskiej, zagrożonej przez konformistów i obskurantystów wszelkiego autoramentu.

W załączeniu przesyłam przekaz pocztowy na Dom Kultury w wysokości 10 dolarów.

Z poważaniem

J. KORWIN-ŁOPUSZAŃSKI

25 lutego była nadana w rozgłośni „Kraj" audycja w której brali udział L.H. Morstin, dr Z. Radwańska-Barycka, Jerzy Zagórski, Janusz Makarczyk i R. Michalski. Znalazł się w niej fragment następujący :

— Przypominam, że swego czasu „Czytelnik" zwrócił się do Melchiora Wańkowicza z prośbą o wydanie jakiejś jego książki. Zdaje się, że chodziło o „Monte Cassino. Książka to niewątpliwie cenna, dokument walki, o której wszyscy pamiętają. Otóż to ciekawe, że autor się nie zgodził.

— No więc, w takim razie, kto nie chce ?

— Kto przeszkadza ?

— Można rozumieć subiektywne opory autora, ale obiektywna wymowa jest inna.

— Dlaczego nie zgodził się ?

— Może obawiał się ?

— No, czy ja wiem. W takiej sytuacji należałoby się zwrócić tylko do Wańkowicza.

— Panie Melchiorze, prosimy odpowiedzieć nam na łamach „Kultury", dlaczego Pan nie chciał ?

— Czy szczerze odpowie ?

— Odpowie, bo to jest bardzo prawy człowiek.

Redakcja „Kultury" przekazała ten tekst Wańkowiczowi, który nadesłał następującą odpowiedź :

Otrzymałem propozycję wydania dwuch książek. Prawa na „Monte Cassino" nabył Zbigniew Mokrzycki, właściciel wydawnictwa „Awir" wpłacając mojej rodzinie zaliczkę pół miliona złotych. Nie otrzymał jednak zezwolenia na wydanie książki. „Na Tropach Smętka" chciał wydać „Czytelnik". Istotnie nie dałem zgody dlatego, że planowałem wyjazd na trzy miesiące do Polski i nie chciałem stwarzać pozorów zależności materialnej. Żałuję, że nie podjąłem tego obowiązku pisarskiego.

Zaraz potem zmieniono nazwę ulicy mego imienia w Prusach Wschodnich i zdjęto z maszyny studium literackie o mojej twórczości. Wydanie „Smętka" przestało być aktualne.

W moim archiwum znalazł się odpowiednik z tej strony Żelaznej Kurtyny : jest to zdjęta z maszyny odbitka mojej odpowiedzi na list otwarty Z. Florczaka. W ostatniej chwili pismo nie zdecydowało się puścić tekstu Florczaka tylko moją odpowiedź. Nie zgodziłem się, bo nie mogłem żądać, aby moja odpowiedź była drukowana w drodze wzajemności.

Melchior WAŃKOWICZ

Londyński korespondent „Kultury" : Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń : cała strona 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs.
(*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt-légal : 2e Trimestre 1956.

KULTURA **REDAKTOR : JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S.& O.)
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata ½-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 4, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria olaca", Serrano 2076, Buenos Aires	15 peso	90 peso	180 peso
AUSTRALIA: „Vistula" (Australia) PTY Ltd., 7, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab rzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. , Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia arcińska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de aneiro; **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curi-iba, Paranà; **Hanna Lekszycka,** r. Guiarà 139, ila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tangany-a, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, airobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, aris (4e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 0 A, Amsterdam-Z., Tel.: 716080	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., .D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; t. **L. Lemanski,** 472 Aïkins St., Win-ipeg/Man.; **H. R. Radomski,** 107, Rose Park Dri-e, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; **St. Zybała,** 1089 ueen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec",** 1475 ueen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado ostal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomosci", Gendarme-le Kaserne, Mannheim-Schoenau; **St. Mikiciuk,** 13b) München 45, Gablonzerstr. 7/I.	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thal-erg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsga-an 3/IV, Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book C°, 1136 Milwaukee ve., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski,** „Gryf ubl.", 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **L. Duda-ew Ossetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, alifornia; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.— 5 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewa-owski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **. Konopacki,** 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. el. SW-1-2040; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robin-ood Ave, Toledo 2, Ohio; **A. Pleszczynski.** 2025 onterey St. Santa Barbara, Calif.; **K. Troja-owski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. **. Dobczynski, Alma Shipping Co.,** 11 Cooper t., New York 34, N.Y. **The Polish Book Import-ng Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf" Publication Ltd., 169-71, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso rieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.
aleźności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 180 frs.